

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 09 (178) Wrzesień 2019



Jak przeczytać Rusinka i nie zwariować

Grzech sprayowy

Kantor okiem Buscarina



9 771733 045903 08

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

MAURIZIO BUSCARINO

KO MEDIA CO NCI! MEDIA NS!

7.09—
28.12.2019

TEATR CRICOT 2
NA FOTOGRAFIACH

CRICOT 2 THEATRE
IN PHOTOGRAPHS

ORGANIZATOR / ORGANISER:

cricoteka

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Projekt dofinansowano
ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
The project co-financed
by the Minister of Culture
and National Heritage

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Przy wsparciu finansowym
Włoskiego Instytutu Kultury
w Krakowie
With financial support from
the Italian Institute of Culture
in Kraków

**ISTITUTO
italiano
di CULTURA**

PARTNER / PARTNER:

MuFo
Muzeum Fotografii
w Krakowie

PATRONAT MEDIALNY / MEDIA PATRONAGE:

Classic

**TVP3
KRAKÓW**

KRAKÓW

TEATR

SwiatObrazu.pl



Współpraca:

MNK
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

Francisco de Goya, *Gdy rozum śpi, budzą się potwory*, 1797–1798, akwaforta, Muzeum Narodowe w Krakowie

Od niechęci do pogardy... i przemocy

Tekst: Małgorzata Kossowska

Nienawistna narracja odnosi w Polsce niebywały skutek. A stosując mowę nienawiści, dajemy sygnał, że nie chodzi nam o rozwiązanie sporu, ale wyeliminowanie oponenta. Stąd już krok do przemocy fizycznej.

Otacząca rzeczywistość coraz częściej jest dla nas wyzwaniem. Czujemy, że przestaliśmy ją rozumieć i kontrolować. Eksperti podpowiadają, że winna temu globalizacja, drapieżność ponadnarodowych korporacji i krach neoliberalnej polityki. Do tego katalogu dorzuca się jeszcze zagrożenie terroryzmem. A także niezwykle tempo postępu technologicznego.

Polska lista strachów jest również długa. Boimy się Rosji, cyberterroryzmu i tak zwanego Państwa Islamskiego, uchodźców i wojny, lękamy się o byt materialny. Niektórych z nas niepokoją rządy PiS. Naszą niepewność wzbudza nie tyle informacja, co niepokoją-

skupia się na przedstawicielach mniejszości, grup najsłabszych, nieuprzywilejowanych i wykluczonych. Dzieje się tak po części dlatego, że reprezentowany przez nich światopogląd jest po prostu dla niektórych nie do przyjęcia (na przykład akceptacja kary śmierci dla osoby o poglądach liberalnych lub zgoda na zawieranie małżeństw homoseksualnych dla katolika). Po części zaś dlatego, że są stroną sporu politycznego, a więc w sposób naturalny reprezentują zło. W imię walki ze złem można odebrać im prawa, odmówić człowieczeństwa, obwinić o klęski i niepowodzenia. Zanika więc przyzwoitość. Normy kształtujące komunikację międzyludzką przestają działać (np. norma grzeczności i szacunku). Uniwersalne wartości (np. być dobrym i uczciwym człowiekiem) przestają mieć zastosowanie. Można lżyć, poniżać i nawoływać do przemocy. Co więcej można, rzekomo!, to robić, bo przykład idzie z góry – od rządzących polityków i wspierających ich dziennikarzy. Kiedy przestajemy widzieć w oponentach człowieka, to przestajemy go także traktować jak człowieka. Przemoc werbalna szybko staje się normą społeczną i jest społecznie akceptowana.

Nienawistna narracja odnosi w Polsce niebywały skutek. Wystarczy przyjrzeć się dyskusji na temat uchodźców. Wszyscy pamiętamy, że szef partii rządzącej uzasadniał sprzeciw Polski wobec przyjęcia uzgodnionej z Komisją Europejską liczby uchodźców

To, co powszechnie nazywane jest „mową nienawiści”, wynika raczej z pogardy aniżeli z nienawiści. A pogarda to poniżająca emocja, która blokuje jakiejkolwiek reakcje empatyczne i uprzedmiotawia człowieka.

wystąpieniem rychłej katastrofy sanitarnej, gdyż „już są przecież objawy pojawienia się chorób bardzo niebezpiecznych i dawno niewidzianych w Europie. Cholera na wyspach greckich, dezynteria w Wiedniu. Różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, a mogą tutaj być groźne” (wypowiedź

Jarosława Kaczyńskiego z 10 października 2015 roku). To był początek. Przypomnijmy, że w 2015 roku, 72 proc. Polaków zgadzało się na przyjęcie uchodźców (CBOS, 2015). W 2017 roku 74 proc. Polaków nie wyraża na to zgody (CBOS, 2017), 48 proc. uważa za konieczne szczelne zamknięcie granic przed uchodźcami, a 30 proc. uważa, że jest zbyt wielu imigrantów w naszym kraju (Ipsos, 2018). Dalej, trzy czwarte Polaków obawia się, że poszukujący azylu nie są tymi, za których się podają – w rzeczywistości są to terroryści lub ludzie przybyli do Europy z powodów ekonomicznych i chcący wykorzystać nasz system opieki społecznej (Ipsos, 2018).

Z mową nienawistną spotykamy się właściwie wszędzie. Młodzież głównie w internecie, osoby dorosłe głównie w mediach tradycyjnych oraz w codziennych rozmowach. Słyszmy ją na ulicy, w sklepie, w szkole. Uniwersytety, mimo deklaracji, też nie są od niej wolne. Z ogłoszonego w 2017 roku raportu Mikołaja Winiewskiego i współpracowników wynika, że w latach 2014–2016 znacząco wzrósł odsetek osób mających do czynienia z mową nienawiści w mediach, także tych publicznych. O ile w 2014 co piąty dorosły Polak deklarował, że w telewizji polskiej słyszał drastyczne wypowiedzi antymuzułmańskie, antyżydowskie czy antyukraińskie, o tyle w 2016 roku prawie połowa Polaków przyznaje, że słyszała w publicznej telewizji obraźliwe słowa pod adresem wyznawców islamu, a co czwarty Polak słyszał w telewizji mowę nienawiści skierowaną przeciw Ukraińcom. W raporcie tym nie ma danych dotyczących mowy nienawiści wobec przeciwników sporu politycznego. Codzienny przegląd prasy nie pozostawia jednak wątpliwości, że mowa nienawiści jest wszechobecna w codziennym dyskursie politycznym. Pamiętamy zresztą, że na ostatniej konwencji PiS Jarosław Kaczyński nazwał opozycję „siłami zła”, uciekając się tym samym do ostatecznej formy wykluczenia.

Czy chcemy czy nie, jesteśmy na nienawistną mowę narażeni. To nie pozostaje bez wpływu na nasz do niej stosunek. Treści, które wysycają dyskurs społeczny przenikają do naszej świadomości niejako mimochodem. Jeżeli nie zostaną aktywnie poznawczo przepracowane, mogą decydować o naszej gotowości do pewnych ocen lub zachowań. I właśnie tak, czyli niejako mimochodem, kształtują się nasze przekonania związane z wieloma sprawami, które bezpośrednio nas nie dotyczą. Ważne są jednak nie tylko treści, którymi „nasiąkamy”, ale i to, w jaki sposób się one pojawiają: jaki jest poziom dyskusji społecznej, język, którym jest ona prowadzona, oraz normy, które ją regulują. Toczący się w przestrzeni publicznej dyskurs pełen nienawiści i braku szacunku dla drugiego człowieka toruje dostępność takich form komunikacji, a tym samym sprzyja ich swo-

Im większy jest kontakt z mową nienawiści w otoczeniu, tym bardziej ludzie się z nią oswajają, przestając postrzegać mowę nienawiści jako poważny problem społeczny.

bodnemu używaniu. I to wszystko dzieje się w dużej mierze niezależnie od naszych rzeczywistych intencji.

Badacze pokazują także, jak łatwo się do przemocy, także werbalnej, przyzwyczajamy (Soral i współpracownicy, 2018). Im większy jest kontakt z mową nienawiści w otoczeniu, tym bardziej ludzie się z nią oswajają, przestając postrzegać mowę nienawiści jako poważny problem społeczny. Z badań tych wynika, że dziś znacznie mniejszy odsetek młodych i dorosłych Polaków uważa antymuzułmańskie, antysemityczne czy antyromskie wypowiedzi za obraźliwe, chętniej też sami je stosują, deklarują większą gotowość do stosowania przemocy w życiu codziennym, a także większe poparcie represji wobec uchodźców (dla stosowania izolacji, zamykania granic, inwigilacji, karania). Lżenie przeciwnika politycznego dla wielu stało się właściwie obowiązkiem.

Na koniec warto wiedzieć, że to, co powszechnie nazywane jest „mową nienawiści”, wynika raczej z pogardy aniżeli z nienawiści. Pogarda to poniżająca emocja, która blokuje jakiejkolwiek reakcje empatyczne i uprzedmiotawia człowieka. Jej źródłem jest pogwałcenie reguł moralnych obowiązujących w grupie (szacunku, obowiązku, hierarchii). O ile złość i nienawiść mają na celu zmianę czyjegoś zachowania, funkcją pogardy jest wykluczenie. Stosując mowę nienawiści, dajemy jasny sygnał, że nie chodzi nam o rozwiązanie sporu, ale wyeliminowanie oponenta. A stąd już krok do przemocy fizycznej.

W tekście wykorzystano fragmenty książki *Tolerancja w czasach niepewności* autorstwa M. Kossowskiej, E. Szumowskiej i P. Szwed wydanej w 2018 roku przez wydawnictwo Smak Słowa.



Małgorzata Kossowska – psycholog, profesor nauk humanistycznych, kierownik Zakładu Psychologii Społecznej i Center for Social Cognitive Studies w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bada procesy (poznawcze, motywacyjne)

leżące u podłoża złożonych zjawisk społecznych (radykałnych przekonań ideologicznych, uprzedzeń i konfliktów społecznych). Identyfikuje czynniki sprzyjające zamkniętości umysłowej, sztywności i niezmienności poglądów.

**TEMAT MIESIĄCA:
WSZECHOBECNOŚĆ NIENAWIŚCI****Grzech sprayowy**– z Waldemarem Domańskim /Jakub Ciećkiewicz **s. 29**

Współpraca w obrębie plemienia wymaga szacunku, bez tego nie da się nic zrobić, tymczasem nastąpiła erozja szacunku przez wzajemne dorzynanie się słowami.

**ESEJ****Od niechęci do pogardy... i przemocy**Małgorzata Kossowska **s. 1****KRAKÓW MÓWI****Jak przeczytać Rusinka i nie zwariować**– z Michałem Rusinkiem/Paweł Kopeć **s. 12****Mieszczkańskość, salony i sztuka**– z Magdaleną i Gawłem Kownackimi/Magdalena Huzarska-Szumiec **s. 34****LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA****Rekomendacje: Pamięci gwiazdy****Rekomendacje: Szekspir, życie**(i Beata Rybotycka) **s. 11****„Kobiety przynoszą nam wolność”**Platon w Lanckoronie Marta Kalfas **s. 18****Dwóch od duchów**(o zdjęciach Maurizia Buscarina) **s. 20**Paweł Głowacki **s. 26****Rekomendacje: Pierwsze lata konspiracji****Rekomendacje: Tajemnice wszechświata**Kawiarniana *silva rerum* Ewa Kozakiewiczowa **s. 42****Kraków w moim sercu:**Krzysztof Daukszewicz **s. 52****Kronika kulturalna**Krzysztof Burnetko **s. 18****Krakowski łącznik**Jan Ordyński **s. 87****Kraków (Główny)**Mieczysław Czuma **s. 90**Magdalena Miśka-Jackowska **s. 91**Iga Dzieciuchowicz **s. 92**Jerzy Pilch **s. 96**Ewa Lipska **s. 5**Witold Bereś **s. 6**Krzysztof Burnetko **s. 7**Jan Ordyński **s. 40**Mieczysław Czuma **s. 81**Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**Iga Dzieciuchowicz **s. 83**Jerzy Pilch **s. 96**Ewa Lipska **s. 5**Witold Bereś **s. 6**Krzysztof Burnetko **s. 7**Jan Ordyński **s. 40**Mieczysław Czuma **s. 81**Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**Iga Dzieciuchowicz **s. 83**Jerzy Pilch **s. 96****TEATR****Kolor oczu jego rozmówców** Paweł Głowacki **s. 66****FILM****Z Polski do Hollywood**– z Julią Gniadecką/Witold Bereś **s. 72****Kraków patrzy na Gdynię** Maria Malatyńska **s. 74****LITERATURA****O kobiecie pracującej**– z Marcinem Wilkiem/Janusz M. Paluch **s. 70****KSIĄŻKI****Nasza biblioteka****s. 84****GALERIA „KRAKOWA”****Roman Banaszewski** Paweł Kopeć **s. 48****FELIETON****NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska **s. 5****OKIEM BERESIA** Witold Bereś **s. 6****Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko **s. 7****FELIETON GOŚCINNY** Jan Ordyński **s. 40****SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma **s. 81****W WARSZAWIE** Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82****BEDEKER KRAKOWSKI** Iga Dzieciuchowicz **s. 83****PASY PANY** Jerzy Pilch **s. 96****OKŁADKA****Michał Rusinek** Fot. Alicja Rzepa**Moda jesienna 2019**

Do najważniejszych trendów nadchodzącego sezonu należą kolory brunatne połączone z kolorami biskupimi, cyklamem kardynalskim i *millennial purple* (tysiącletni fioletowy). Wracają wszystkie odmiany ciemnego brązu, khaki, zgniłej i butelkowej zieleni. Z materiałów: kreton, popelina, perkal, barchany (tkanina jednostronnie barwiona). Kapelusze w kolorach zgaszonej słomy, czasami cnotliwy woal. Na wybiegu szlafroki obszyte futrem. Satyna nie ma szans.



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Ostatnio za całokształt twórczości otrzymała Wrocławską Nagrodę Poetycką Silesius.

Potęga języka

Tekst: Witold Beres

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga” – zaczyna się jedna z najważniejszych ksiąg świata (Ewangelia według św. Jana). Cytat ten, pomijając w tym momencie teologiczne dywagacje, pokazuje sprawczą siłę słowa. Słowa, które tworzy, zmienia, naprawia, ale i... psuje.

Ludzkość wie o tym od tysięcy lat. Ale dopiero systemy autorytarne i totalitarne powstałe w XX wieku podeszły do sprawy nie tylko całościowo i na skalę przemysłową, ale przede wszystkim odkryły przepis na skuteczne kłamstwo: okazało się, że ważniejsze niż same kłamstwo jest zmiana pierwotnego, powszechnego znaczenia słów.

LTI – *Lingua Tertii Imperii*, dziennik Victora Klemperera z okresu III Rzeszy, mówi o języku nazistów. Przy całym swoim hajdactwie, w jakimś sensie język

Podział społeczeństwa – jak wydaje się nieodwracalny – ma swoje podstawy właśnie w języku. I zniszczenie języka, zmiana znaczeń, a następnie stworzenie dwóch języków osobnych, nieprzystających do siebie, przyniesie katastrofalne następstwa dla nas wszystkich. Nie tylko dlatego, że nie będziemy umieli się porozumieć. Ale dlatego, że budzi to kolosalną nienawiść i grozi faktyczną, a nie metaforyczną destabilizacją państwa.

ten był prosty. „Polacy zaczęli wojnę”. „Żydzi roznoszą tyfus”. „Praca czyni wolnym”. Te przykłady dosłowności kłamstwa doskonale oddają jego ówczesną potęgę. Na wyższy szczebel krętałości doprowadził słowo komunizm – jego kłamstwo było, rzecz można, bardziej wyrafinowane, pozwalało dorabiać sobie usprawiedliwienie do hajdactw. Choćby koronne hasło komunizmu „Niech żyje walka o pokój!”, było z jednej strony wezwaniem do szlachetności pacyfizmu, ale z drugiej strony nie pozostawiało wątpliwości, że komuniści o ten pokój będą walczyć tak, że nie pozostanie kamień na kamieniu.

Ale naprawdę niezwykle zmiany w języku zaczęły się, paradoksalnie, w epoce wolności. Szybko się okazało, że część polityków używa języka jako narzędzia walki i próbuje monopolizować wielkie słowa. Tak udało się narzucić nowe odczytanie kodów językowych.

Dziś okazuje się, że z terminem „liberalizm”, co w najczystszej postaci, przez dziesiątki lat oznaczało umiłowanie wolności, kojarzony jest tylko egoizm, a nawet kradzież. Z kolei „niepodległość”

stała się pozytywnym symbolem nacjonalizmu. A lewicowość to symbol zaparcia się wartości patriotycznych.

Ten, nazwijmy go roboczo, „LTR – *Lingua Tertii Republicae*”, język Trzeciej Rzeczypospolitej (bo nie jest wytworem tylko czasów ostatnich), w jakimś sensie mógłby być zrozumiały. Jeżeli chce się dotrzeć do ludzi, to trzeba akceptować pewien sposób mówienia: nie wolno się uciekać do długich wywodów, ale do hasła i sloganów. Nie można więc potępiać polityka, gdy stosuje nośne metafory. Rzecz w tym, w jakiej mierze odwołują się one do silnych skojarzeń negatywnych, wrogości wobec obcego, do strachu i w jakiej mierze są kłamstwem.

Ktoś powie, że to nie jest tylko specyfika polska. To prawda. Ale problem w tym, że u nas jest to bardziej niebezpieczne. Zachód może sobie pozwolić, by tam doszła do głosu demagogia, bo ma już funkcjonującą gospodarkę, a elektorat bardziej wyedukowany – i nawet demagog Trump nie osłabi potęgi USA.

My zbieramy plony szaleństwa dużo bardziej złośliwe. Podział społeczeństwa – wydaje się, że nieodwracalny – ma swoje podstawy właśnie w języku. I zniszczenie języka, zmiana znaczeń, a następnie stworzenie dwóch języków osobnych, nieprzystających do siebie, przyniesie katastrofalne następstwa dla nas wszystkich. Nie tylko dlatego, że nie będziemy umieli się porozumieć. Ale dlatego, że budzi to kolosalną nienawiść i grozi faktyczną, a nie metaforyczną destabilizacją państwa.

Co robić?

Istnieje obszar poglądów, który można określić mianem wspólnego dobra – ale tu się nie umiemy porozumieć. Ale jest też obszar, który można nazwać etyką życia codziennego: takie rzeczy jak solidność, dotrzymywanie zobowiązań, lojalność czy nawet punktualność – to może być sposób na zachowanie pionu w czasach zatarcia języka.

Czy to wystarczy na naprawienie języka i skalenie Polski?

Szanse są małe, ale nadzieja umiera ostatnia.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Ambasador Czech w Krakowie, ambasador Polski w Pradze

Tekst: Krzysztof Burnetko

Jakże szczęśliwe jest miasto, w którym mieszkają pasjonaci innych miast, krajów, kultur. Ale może też i w samym takim mieście musi być coś, co takich ludzi kształtuje i pozwala im te swoje miłości do Innego realizować oraz propagować?

W Krakowie urodził się Jacek Baluch i w Krakowie niedawno zmarł. To w Krakowie (i w Pradze) uczył się ukochanego czeskiego, a potem w Krakowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim, przez lata wykładał czeski i czeską kulturę, zaś na praskim Uniwersytecie Karola – polską. W Krakowie też tłumaczył z czeskiego na polski i z polskiego na czeski. Ot, choćby staroczeską poezję miłosną (w zbiorze pod wymownym tytułem *Drzewo się liściem odziewa* i tamtejszych symbolistów, dekadentów oraz anarchistów z przełomu XIX i XX wieku. A także prozę: *Cierpienia księcia Sternenhocha* Ladislava Klímy i *Historię Partii Umiarkowanego Postępu* (w *Granicach Prawa*) Jaroslava Haška.

A w drugą stronę – chociażby *Lokomotywę* Tuwima. I to, jak mówił mi kiedyś czeski odpowiednik prof. Balucha, czyli Vaszek Burian, „brawurowo”, bo idealnie zachowując stylistykę i duch, jako że nie tylko znał się na teorii przekładu, ale też uwielbiał bawić się słowem. Pasjami układał choćby limeryki (już po polsku, a w każdym razie o czeskich jego dziełach tego gatunku nie słyszałem... Ale zaraz – wydał przecież quasi-słownik języka czeskiego *Powiedz coś po czesku! Igraszki językowo-literackie*).

Pisał też poważne rozprawy krytycznoliterackie, ale i popularyzatorskie (znowu: po polsku o pisarzach czeskich, a po czesku – o polskich). A wreszcie – teksty polityczne, bo zaangażowanie publiczne traktował jako obowiązek. Był zresztą specem także od historycznych polsko-czeskich relacji oraz, szerzej, fenomenu Europy Środkowej.

W bloku wschodnim ludzie takiej natury i takich zdolności często kończyli w opozycji – z więzieniem włącznie. I on trafił w grudniu 1981 roku do obozu internowania (skądinąd pod celą wymyślił wiele fraz jednej z popularniejszych piosenek więziennych stanu wojennego, *Zielonej WRONy*). Po wyjściu działał w solidarnościowym podziemiu, a polską wiosną 1989 roku koordynował kampanię wyborczą Komitetu Obywatelskiego w Śródmieściu Krakowa.

W wolnej Polsce dopadła go też naprawdę wielka polityka: został ambasadorem RP – oczywiście w Pradze. Wszak wtedy Polskę reprezentowali w świecie ludzie z klasą: zarówno intelektualną, jak etyczną i towarzyską (a Profesor potrafił brylować na salonach, oj, potrafił).

Pamiętam, jak – razem z Witoldem Beresem i Adamem Szostkiewiczem – pojechaliśmy do Pragi na rozmowę z samym Václavem Havlem, wtedy prezydentem, dla ówczesnego „Tygodnika Powszechnego”. Poszliśmy wcześniej oczywiście

po radę do ambasadora Balucha – i przy becherowce w jego rezydencji dostaliśmy dogłębną analizę sytuacji w Czechach oraz roli samego Havla zarówno jako lidera Aksamitnej Rewolucji, a później – jako prezydenta właśnie. Obaj panowie zresztą doskonale się rozumieli, również dlatego że podobnie pojmowali rolę polityki, by nie wspominać o wzajemnej fascynacji swoimi krajami, ich kulturą i historią.

Przełożył na język polski *Historię Partii Umiarkowanego Postępu* (w *Granicach Prawa*) Jaroslava Haška. A na czeski – chociażby *Lokomotywę* Tuwima. I to brawurowo, bo idealnie zachowując stylistykę i duch oryginału.

Kiedy skończył przygodę z dyplomacją, wrócił do Krakowa, by nadal zajmować się Czechami – ale teraz także Krakowem właśnie. I wobec miasta miał multum pomysłów. Kiedyś kreślił mi choćby wizję, jak to pięknie by było, gdyby betonowy parking przed byłym Pewexem przy ul. 18 stycznia (dziś Królewska) zastąpić deptakiem czy też może dzielnicowym rynkiem – z zielenią, kawiarniami, publicznymi dyskusjami. Dlaczegoż każda dzielnica Krakowa nie mogłaby mieć swojego rynku? – przekonywał jak zawsze z zaangażowaniem i wielkim przejęciem. W tym akurat nie był z czeskiego ducha (przynajmniej tego narzuconego stereotypem).



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Zielone schronisko

Tekst: Paweł Kopeć Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

W jej schronisku nie usłyszysz szczekania, miauczenia ani innych zwierzęcych odgłosów. Jest w nim natomiast bardzo zielono. Marta Tymowska-Malec dba, aby rośliny w Krakowie nie pozostawały zbyt długo bez opieki.

Opowiada: – Schronisko dla niechcianych roślin to nie jest mój pomysł. To inicjatywa Witolda Szwedkowskiego, który w aglomeracji śląskiej prowadzi prawdziwą ogrodniczą partyzantkę, między innymi sieje dynie na skwerach, no i przede wszystkim założył takie schronisko, gdzie przygarnia rośliny, które są przez swoich właścicieli porzucane. Zasady są proste: zbieramy porzucone rośliny – niekiedy spod śmietników, a czasem pytamy różne instytucje, czy nie przekażą nam roślin, zamiast je wyrzucać. Później ich nie przetrzymujemy, ale staramy się, jak najszybciej znaleźć nowego właściciela – kogoś, kto się nimi zaopiekuje, tym razem porządnie. Ja najpierw je leczę, potem dopiero puszczam dalej.

Zgłosiłam się, aby poprowadzić schronisko w Krakowie, bo nikt się tym jeszcze tutaj nie zajmował. Zaczęłam w ubiegłym roku, ale trudno mi wskazać konkretny dzień: po prostu napisałam do Witka, że chcę pomóc, i jakoś się zaczęło.

Rośliny są obecne w moim życiu od zawsze. Do szóstego roku życia mieszkałam na wsi. Dziadek był klasycznym ogrodnikiem – warzywa, owoce, kwiaty... Takim, który idzie na targ, sprzedaje, przychodzi, znowu coś robi w ogrodzie – bo z tego żył i z tego utrzymywał rodzinę. Moi rodzice także zawsze mieli rośliny. Kiedy więc sama założyłam dom, oczywiste było, że nie może w nim zabraknąć kwiatów. Szybko odkryłam, że może to być wciągająca pasja. Opieka nad rośliną to coś zupełnie innego niż zajmowanie się zwierzęciem. One po prostu... rosną. Kiedy uda się uratować roślinę, która była już niemal obumarła, jest to niezwykle satysfakcjonujące uczucie. Ostatnio dostałam kilka kaktusów w stanie prawie agonalnym. Były stare, zdrewniałe – najprawdopodobniej spędziły kilka lat na balkonie przykryte jakąś szmatą. Udało mi się je pociąć i się wreszcie ukorzeniły. Pękałam z dumy!

Rośliny najczęściej wyrzucane są przez niewiedzę. Niektórzy kupili trudną roślinę, która traci liście i nie potrafią sprawić, by znowu wybujała. Często powodem są pasyżycy – ludzie widzą, że wokół roślinki zaczynają krążyć jakieś owady i wolą pozbyć się

kwiatu, aby robactwo się nie rozprzestrzeniło. Najczęściej są to mszyce czy przędziorki. Ciężko się to leczy i trzeba odseparować zainfekowaną roślinę od innych. Mam odrębne pomieszczenie, w którym trzymam zarażone okazy, ale nie każdy ma wiedzę i warunki, aby taki problem zwalczyć.

Zasady są bardzo proste: zbierają porzucone rośliny, niekiedy spod śmietników. Później starają się, jak najszybciej znaleźć im nowego właściciela – kogoś, kto się nimi zaopiekuje, tym razem porządnie.

Nigdy nie odmawiam, jeżeli ktoś chce zaadoptować roślinę. Jeżeli mam wątpliwości, pytam najwyżej, czy ktoś będzie się umiał nią zająć – raczej aby taką osobą nauczyć, a nie aby jej odmówić. Zdarzały się osoby, które przychodziły do mnie z pytaniem „czy ona ma korzenie?” albo „czy oddaje pani roślinę z doniczką?”. Jestem jednak cierpliwa i usiłuję edukować. Cieszy mnie, że wyrzuca się coraz mniej roślin. Świadomość rośnie z roku na rok i pozostaje tylko mieć nadzieję, że kiedyś moje schronisko nie będzie w ogóle potrzebne!

W sprawie oddania rośliny lub zaopiekowania się nią można się skontaktować z panią Martą Tymowską-Malec przez stronę Facebooka Schronisko dla Niechcianych Roślin lub telefonicznie: 784 603 343



Paweł Kopeć – gdańszczanin na poniewierze, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.



Wędrowny szlifierz, ul. Jabłonowskich i Feliks Dzierżyński

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: Agencja Fotograficzna „Światowid”

W czasach przed-domofonowych, kiedy bramy domów stały otworem, często odwiedzali je rzemieślnicy oferujący mniej typowe usługi, jak szlifowanie noży czy lutowanie garnków. Kres temu przyniosły lata 70. ubiegłego wieku, kiedy w handlu pojawiła się oferta tanich noży, a garnki były już niemal wyłącznie emaliowane.

Fotografia wykonana dla Agencji Fotograficznej „Światowid”, zapewne w latach 30. XX wieku, dowodzi, że szlifierz niekoniecznie musiał być królem podwórka. W tym przypadku rozłożył swój warsztat na chodniku. Być może to niełatwe do rozpoznania, ale to na pewno chodnik ul. Jabłonowskich, przed I Domem Akademickim. Zapewne stamtąd szlifierz spodziewał się napływu klienteli, jednak tłumy nie widać. Na razie zajęty jest pracą, a dla rozluźnienia pyka fajeczkę. Minął go właśnie objuczony torbą listonosz, a wcześniej dwie panie wchodzące w ul. Czapskich. Nie dowiemy się już, czy stojący obok biednie ubrany chłopiec to klient czy może raczej pomocnik szlifierza.

Warto przyjrzeć się jeszcze sztafażowi. Zwracają uwagę kute secesyjne elementy markizy nad wejściem do akademika. Niestety, markiza nie zachowała się w tym kształcie, zastąpiła ją nowa, skromnie stylizowana. Ulica posiada już wyłożony betonowymi płytami chodnik, ale nie ma jeszcze trwałej na-

wierzchni, utwardzony jest jedynie rynsztok z wapiennych pieńków.

Po prawej widać fragment kamienicy u zbiegu ulic Jabłonowskich i Czapskich. Jej wyróżnikiem są atlanty dźwigające wsporniki naczółków okien, w narożnej strefie pierwszego piętra. Ukończona w 1892 roku, według projektu Leopolda Tlachny, jest jednym z ciekawszych przykładów malowniczego, barokizującego historyzmu poza pierwszą obwodnicą miasta. Widoczny jest też fragment szyldu z napisem „TOWARY MIESZANE”, co przez lata oznaczało po prostu sklep wielobranżowy.

Na koniec dodać można, że w 1903 roku w kamienicy tej mieszkał Feliks Dzierżyński, ikoniczna później postać ruchu bolszewickiego. Dzierżyński wydawał wówczas i kolportował na teren Rosji, drukowany w Berlinie, organ marksistowskiej SDKPiL „Czerwony Sztandar”. Do Krakowa powrócił raz jeszcze – w 1910 roku – by wziąć tu ślub z Zofią Muszkat.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Kandyd; Małgorzata Walewska jako Old Lady, fot. Łukasz Łuszczek

Pamięci gwiazdy

Tekst: Anna Woźniakowska

Nikt jej podobny nie pojawił się dotąd na naszej muzycznej scenie. Iwona Borowicka – śpiewaczka i tancerka, primadonna krakowskiej operetki, ulubienica polskich melomanów – w pełni zasłużyła na ulicę swego imienia. Dziś na rogu Lubicz i Borowickiej, w miejscu jej debiutu w 1954 roku, mieści się gmach Opery Krakowskiej.

Na rogu Lubicz i Borowickiej to tytuł uroczystego koncertu, którym 14 września czcłowi artyści Opery Krakowskiej złożą hołd charyzmatycznej gwiazdzie w 65. rocznicę jej zabytnięcia na krakowskim firmamencie oraz w 35. rocznicę jej przedwczesnej śmierci. Zabrzmią arie i duety, w których brylowała, fragmenty dzieł ze złotego okresu operetki wiedeńsko-węgierskiej.

Będzie to zarazem inauguracja nowego sezonu krakowskiej sceny muzycznej. Zwracam uwagę na trzy nowe pozycje w jej bogatym repertuarze. Miłośnicy baletu i choreograficznego talentu Giorgia Madii ujrzą w październiku przygotowany przez niego *Sen nocy letniej* z muzyką Feliksa Mendelssohna-Bartholdy’ego. Kto widział wdzięcznego *Kopciuszkę* w inscenizacji włoskiego mistrza, ten wie, że możemy oczekiwać fantastycznych klimatów.

Zwolennicy wielkiej romantycznej opery z radością powitają po czterdziestu siedmiu latach nieobecności na krakowskiej scenie *Don Carlosa* Verdiego, mroczny, pełen namiętnych uczuć dramat, opatrzony zjawiskową muzyką, która zapewnia mu nieśmiertelność. Kto chce się bawić, w marcu 2020 wybierze się z pewnością na *Orfeusza w piekle* Offenbacha – w ironiczny, nieco absurdalny sposób ukazującego wciąż żywe ludzkie przywary.

Polecam też dwie pozycje z bieżącego repertuaru. Pierwsza to *Kandyd* Leonarda Bernsteina według Voltaire’a w reżyserii i kostiumach Michała Znanięckiego – piękne, barwne, roztańczone widowisko, które bawiąc, nie gubi swego filozoficznego przesłania. Druga, to umuzyczniona bajka *Ongaku* – trzy kamienie Pawła Wójtowicza, opowiadająca o przełamywaniu barier i budowaniu relacji ze światem, a dzięki audiodeskrypcji i przekazowi w języku migowym trafiająca także do dzieci z niepełnosprawnościami wzroku i słuchu. Uczestnictwo w takim spektaklu jest niezapomnianym i pouczającym przeżyciem.

Na rogu Lubicz i Borowickiej, Opera Krakowska, 14 września 2019.

Jak przeczytać Rusinka i nie zwariować

Rozmawiał Paweł Kopec Zdjęcie: Alicja Rzepa

Michał Rusinek: Jest w tej chwili taka maniera – dotyczy zresztą nie tylko książek, ale kultury w ogóle: obejrzymy za ciebie najgorsze filmy i powiemy, z czego masz się śmiać.

Paweł Kopec: „Nie musisz tego czytać, ja przeczytam za ciebie” – coraz więcej jest tego typu pozycji na rynku. Podobnie napisana jest Pana najnowsza książka *Niedorajda, czyli co nam radzą poradniki*. Pan też podąża za modą?

Michał Rusinek: Jest w tej chwili taka maniera – dotyczy zresztą nie tylko książek, ale kultury w ogóle: obejrzymy za ciebie najgorsze filmy i powiemy, z czego masz się śmiać. Moja książka rzeczywiście wpisuje się w tę konwencję. Ja jednak wychodziłem z innej pozycji. Zajmuję się retoryką, a w tym wypadku interesował mnie dyskurs nakłaniający, doradczy – bardzo ostatnio rozpowszechniony. Analiza rynku wydawniczego pokazuje, że Polacy najchętniej sięgają właśnie po poradniki, książki, których tytuły zaczynają się od „jak”. Kiedy pierwszy raz zabrałem się do tego tematu, wydawało mi się, że będę miał materiał na jeden felieton. Tymczasem okazało się, że otwarła się przede mną otchłań: nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele jest tego typu książek. Postanowiłem im się przyjrzeć: z jednej strony – jak są zrobione, a z drugiej – jak ludzie się stosują do zawartych w nich porad.

Skąd się wzięła ta moda na czytanie za kogoś? W „Gazecie Wyborczej” ukazywały się felietony *Czytam za was pravicową prasę*, Dorota Maślowska opisuje swoje spotkania z popkulturą w *Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu*, gdzieś w internecie miga tytuł *Obejrzelismy „Kler”, abyście nie musieli tego robić*. Mam wrażenie, że u podstaw leży perwersyjna potrzeba powiedzenia innym, jak należy rozumieć pewne zjawiska.

Ba, co więcej, żyjemy w katolickim kraju, w którym nie czyta się Biblii, bo Kościół katolicki daje nam do zrozumienia, że robi to za nas i nam opowie, jak ją rozumieć. Bardzo bym nie chciał zostać w ten nurt wpisany. Chodziło mi o coś innego. Uważam, że jeżeli chcemy zrozumieć rodaków, to powinniśmy czytać nie tyle Mickiewicza czy Miłosza, ile zajrzeć do tego, czym oni się naprawdę dzisiaj karmią. Oczywiście, nie karmią się wyłącznie

poradnikami, ale ten język, ten typ wypowiedzi musi mieć wpływ na ich decyzje, wybory czy zachowanie.

Mimo że pisze Pan o poradnikach, to trudno byłoby wyciągnąć z lektury *Niedorajdy* konkretne porady, a wręcz przeciwnie: raczej dowiadujemy się, czego nie robić.

Sądzę, że sięgamy po poradniki w stylu „Jak być prawdziwym mężczyzną”, ponieważ chcemy być inni, niż jesteśmy. To również

Żyjemy w katolickim kraju, w którym nie czyta się Biblii, bo Kościół katolicki daje nam do zrozumienia, że robi to za nas i opowie nam, jak ją rozumieć.

mnie interesowało: kim chcemy się stać, w kogo chcemy się przemienić. Muszę przyznać, że doskonale się bawiłem przez niemal cały czas – wyjątkiem były właśnie poradniki, jak być mężczyzną. Nie tylko nie chcę być taki, jak projektują te poradniki. W ogóle nie chciałbym żyć w świecie, w którym tacy mężczyźni są większością. Tymczasem mężczyzna typu macho króluje zarówno w bezpruderyjnych czasopiśmie dla panów, jak i w poradniku wydanym przez katolickie wydawnictwo.

Można się spodziewać, że takie poradniki to będą zupełnie przeciwległe bieguny...

Ale cel jest wspólny: za wszelką cenę utrzymujemy patriarchalny model i wzmacniamy stereotypy. Poradniki z obu stron można też czytać jako katalog lęków i obaw współczesnego mężczyzny. Wygląda na to, że ten mężczyzna najbardziej obawia się nie tyle niewieściałości, ile po prostu odkrycia w sobie skłonności homoseksualnych. Gej jest tu figurą wszelkich lęków. Czytając te poradniki, miałem nawet wrażenie, że stosowanie się do podanych w nich porad ma ułatwić zamaskowanie potencjalnie drzemającego w nas homoseksualizmu. Dlatego prawdziwy męż-

czyzna pije tylko wódkę, a nie – broń Boże – białe wino.

No to mam problem.

Ja też (śmiech).

Ale ten przykład pokazuje, że czytając *Niedorajdę*, zamiast wyciągać jakiegokolwiek wnioski, można karmić własne poczucie wyższości. Zastanawiając się nad tym, z czego się śmiałem w czasie lektury, czułem, że niejednokrotnie to nie był śmiech, ale rechot

Zarówno w bezpruderyjnych czasopiśmie dla panów, jak i w poradniku wydanym przez katolickie wydawnictwo króluje mężczyzna typu macho.

inteligenta, który patrzy z góry i cieszy się, że jego to nie dotyczy.

Dlatego jeden z rozdziałów poświęcam sylwetce inteligenta, aby pośmiać się też z nas. Starłem się, pisząc te teksty, aby nie było widać tej wyższości, żeby ten wybór pozostawić czytelnikom: czy będą rechotać z wyższością czy raczej wykorzystają lekturę, aby dowiedzieć się czegoś o bliźnich. I być może o sobie samych. Choć nie mogę zaprzeczyć, że były rzeczy tak rażące, iż nie mogłem sobie oszczędzić złośliwości – na szczęście forma felietonu na to pozwala. Jednocześnie starałem się dokonywać rzetelnej analizy tego, co czytamy.

Wiele omawianych poradników rzeczywiście jest ciężkostrawnych choćby ze względu na formę, nie wspominając o treści.

Jeden z rozdziałów jest poświęcony leczeniu. To teraz gorący temat. Ruchy antyszczepionkowe to tylko wierzchołek góry lodowej: tak naprawdę cały ten paramedyczny dyskurs to wyraz antyintelektualizmu. Nie da się przejść obok nich obojętnie, nie tyle nie szydząc, ile nie współczując ludziom, którzy się karmią takimi poradami. W internecie można znaleźć potwierdzenie dowolnie wybranej tezy, bez względu na poziom jej idiotyzmu. Nie byłoby w tym nic niepokojącego, gdyby internetu nie traktowano jako wyrocznia.

Ale ruchy antyszczepionkowe to jednak przypadek inny niż na przykład poradnik *Jak być paryżanką*: mówimy o zjawisku, które po prostu obraża inteligencję, kwestionuje fakty...

Jest wyrazem regresu cywilizacyjnego. Wracamy do form quasi-magicznych, przedrozumowych. Nie tylko medycyjni hochsztaplerzy wmawiają nam, że nauka nic nam nie da, ale i politycy coraz częściej pokrzykują, że „elity” chcą nas okraść i oszukać, że nie trzeba mieć kompetencji intelektualnych, by sprawować władzę. „Elity” stały się określeniem obelżywym. Natomiast dowartościowany został prosty, niewykształcony i sfrustrowany

człowiek, bo jest cennym i łatwym do zmanipulowania wyborcą. To w dużej mierze właśnie taki człowiek sięga po poradniki.

Zgoda. Mam jednak wrażenie, że inteligencja takie traktowanie zafundowała sobie sama, ponieważ poczucie wyższości, o którym mówiłem, jest wśród niej bardzo rozpowszechnione. Świetnym przykładem była ostatnio plotkarska wieść o związku Remigiusza Mroza i Katarzyny Bondy. Na pewnym forum, gdzie dyskutuje się o tak zwanej literaturze wysokiej, nie było końca niesmacznym i niezrozumiałym szyderstwom. Ta pogarda prowokuje lustrzaną reakcję wzgardzanych.

Jasne. Inteligencja sporo sobie nagrała. Nagrała sobie tym, że nie potrafiła rozmawiać z prostymi ludźmi. To coś, co się nazywa w języku partii rządzącej „przemysłem pogardy” – nawet jeżeli określenie „przemysł” jest oczywistą przesadą – z pewnością było i wciąż jest obecne w postawach ludzi lepiej wykształconych i uposażonych. Figurą inteligencji zawsze była ironia. Ale ironia ma działanie uboczne: wyklucza tych, którzy jej nie dostrzegają i nie rozumieją. Jeżeli się w tę grę nie bawisz, to wypadasz. Wykluczający może być także w ogóle język naukowy, specjalistyczny, dostępny dla wybranych. Cieszę się, że coraz więcej instytucji naukowych – w tym i mój Uniwersytet Jagielloński – przekonuje się do tego, by inwestować w popularyzację wiedzy, czyli przekładać naukowe koncepcje z języka naukowego na popularnonaukowy, a więc szerzej rozumiały. To jest nic innego jak wyraz szacunku dla tych ludzi, którym dyskurs akademicki jest po prostu niedostępny. Teraz nadszedł moment, by powiedzieć głośno i wyraźnie: bardzo bym nie chciał, aby *Niedorajda* była odbierana jako element przemysłu pogardy.

Wracamy do form quasi-magicznych, przedrozumowych. Medycyjni hochsztaplerzy wmawiają nam, że nauka nic nam nie da. Politycy pokrzykują, że „elity” chcą nas okraść i oszukać, że nie trzeba mieć kompetencji intelektualnych, żeby sprawować władzę.

To jak chciałby Pan, aby była odbierana? Lektura, która dostarczyła mi dużo rozrywek, ale wciąż zastanawiałem się, co jeszcze z niej wynoszę. Koniec końców to spojrzenie z boku na odbiorców tychże poradników. Nie ma się wglądu w to, jak oni sami je przyjmują i jak się do nich stosują.

Felietony, które pisałem wcześniej, *Pypcie na języku*, miały taką ambicję, aby ukazać, że język jest pewną materialnością. Zdajemy so-



Michał Rusinek jest literaturoznawcą, tłumaczem i pisarzem. Przez lata pełnił funkcję sekretarza Wisławy Szymborskiej. Autor książek dla dzieci (*Jak przeklinać. Poradnik dla dzieci, Jaki znak twój? Wierszyki na dalsze 100 lat niepodległości*,) a także przekładów słynnych brytyjskich bajek, m.in. serii o psie Snoopym, o misiu Paddingtonie, książek o Kubusiu Puchatku czy Piotrusiu Panu. W książkach dla dorosłego czytelnika skupia się na zagadnieniach językowych i retorycznych.

W 2017 roku napisał serię felietonów do krakowskiego dodatku „Gazety Wyborczej” poświęconych schematom i nawykom językowym. Felietony te złożyły się na zbiór *Pypcie na języku*.

Niedorajda, czyli co nam radzą poradniki to książka napisana na podobną modłę, autor koncentruje się jednak na analizie poradników, po które najczęściej sięgają Polacy. Rusinek próbuje dowiedzieć się z nich m.in., jak podrywać, jak sprzedawać czy jak zostać pisarzem – i komentuje otrzymane rady.

bie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy na jego powierzchni pojawia się jakiś wyprysk. Chodziło o to, aby zwrócić uwagę na język: ponieważ mam głębokie przeświadczenie za-

„Elity” stały się określeniem obelżywym. Natomiast dowartościowany został prosty, niewykształcony i sfrustrowany człowiek, bo jest cennym i łatwym do zmanipulowania wyborcą.

wodowe, że człowiek, który jest świadomy swojego języka, podejmuje bardziej świadome decyzje – nie tylko polityczne. Ta książka dotyczy podobnej świadomości, ale na poziomie dyskursu perswazyjnego. Chciałem zwrócić uwagę na to, jakiego niedorajdę robi z nas dyskurs doradczy.

Obawiam się jednak, że osoba, która kupi któryś z „poradników prawdziwego mężczyzny”, raczej nie sięgnie po Niedorajdę... Ale być może na przykład dziewczyna, która zastanawia się, czemu jej partner jest, jaki jest, przeczyta mój felieton i zacznie się domyślać, skąd się biorą pewne jego zachowania. Nie oznacza to, że ten mężczyzna akurat przeczytał jakiś poradnik – po prostu ich analiza mówi wiele o wzorcach, jakie obecnie funkcjonują w społeczeństwie.

Zastanawiałem się, w jakim stopniu na kształt poradników wpływały ideologie? Wyraźnie było widać to w felietonie poświęconym poradnikom o seksie, jak ten temat przedstawiały (czy częściej nie przedstawiały) poradniki katolickie. Truizmem jest, że dzisiaj walka ideologiczna toczy się także na polu języka. Odczuł to Pan na własnej skórze, wydając na rocznicę odzyskania niepodległości książkę dla dzieci *Jaki znak twój? Czy porozumienie na tym polu jest jeszcze możliwe? Model, który tam Pan proponował, był dość ostrożny, promujący postawy obywatelskie. A jednak przez tak zwaną prawicę został odebrany jako atak na wartości.*

Oczywiście, zaostrenie sporu politycznego, które obserwujemy, silnie przekłada się na język. Jest to także świadomy zabieg partii politycznych: podkreślanie różnic wzmocnia poziom identyfikacji ze swoimi wyborcami. Przy obecnej, zero-jedynkowej narracji politycznej – zdrajcy kontra patrioci – nie ma możliwości, by się dogadać. Ta narracja nawet nie musi być narzucana, ona po prostu w nas drzemała, a teraz została obudzona. Jednak jej propagowanie, konserwowanie różnic, jest kolejnym przejawem regresu i antyintelektualizmu wokół nas. Nie da się dogadać, jeżeli się uważa, że osobę po drugiej stronie trzeba zniszczyć. Dogadamy się dopiero wtedy, kiedy zmienimy metafory. Gdy wrócimy, na przykład, do metafor sportowych: rywa-

lizujemy, ale po wszystkim podajemy sobie dłonie, a nawet wymieniamy się koszulkami. Teraz prędzej się pozabijamy, niż wymienimy uściski. Wyrazem radykalizacji języka są dwa wydarzenia z niedawnej przeszłości, gdzie przemoc symboliczna zamieniona została na przemoc fizyczną. Pierwszym było morderstwo prezydenta Pawła Adamowicza, a druga – akt spalenia książek w jednym z gdańskich kościołów. To jest ten moment, kiedy coś, co miało być wyłącznie językowe, metaforyczne, zostało przełożone na czyny.

W obecnym dyskursie politycznym nie da się używać jeszcze wyższego stopnia przymiotników, bo te zwyczajnie nie istnieją – widać to doskonale na przykładzie pasków w telewizji publicznej. Za najwyższym stopniem nienawistnych przymiotników kończy się język i zaczyna przemoc.

To szczytny postulat: zmienić metafory. Ale jak to zrobić?

Po pierwsze, przypomnieć sobie rok 1989. Co się wtedy wydarzyło: w PRL-u właściwie wszystko działało w systemie zero-jedynkowym: były dwie strony barykady. Tadeusz Mazowiecki wprowadził wówczas słynną zasadę grubej kreski. Chodziło nie o to, by zamienić ze sobą miejscami ludzi po obu jej stronach, ale by w ogóle znieść barykadę i byśmy wspólnie wzięli odpowiedzialność za państwo.

Figurą inteligencji zawsze była ironia. Ale ironia ma działanie uboczne: wyklucza tych, którzy jej nie dostrzegają i nie rozumieją.

Ernest Bryll napisał wierszyk na użytek wyborów 4 czerwca '89: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. / Nie stój, nie czekaj. Co robić? Pomóż!”. Proszę zwrócić uwagę, że kryje się w tym fundamentalna zmiana podejścia do różnicy: to już nie jedna różnica między dwoma zwalczającymi się obozami, ale seria różnic między nami, obywatelami tego samego państwa. To był cywilizacyjny postęp, wielkie językowe i światopoglądowe osiągnięcie tamtego czasu. Osiągnięcie, które od kilku lat jest systematycznie niszczone przez rządzących. Niszczone w Polsce, ale i w każdym z nas.

Regres, powrót do bardziej prymitywnych form myślenia jest łatwy. Widać to nie tylko w Polsce. Znajomy, który mieszka w USA, opowiedział mi, czym się różni Ameryka Trumpa od Ameryki Obamy: odkąd Trump został prezydentem, jawnie seksistowskie i homofobiczne żarty stały się normą w głośnych rozmowach na siłowni, na którą ów znajomy chodzi. Ludzie przestali się wstydić, przestali starać.

Skoro to jest w myślach, to przecież fakt, że w niektórych koniunkturach politycznych

nie jest to mówione na głos, nie zmienia faktycznych przekonań obywateli. W jakim stopniu więc ten język ma moc sprawczą?

Ma, i to ogromną. Jeżeli czegoś nie mówimy, to nie uczymy tego następnych pokoleń. Najważniejsze jest to, jaki model świata pokazujemy naszym dzieciom. Dlatego tak ważne jest dbanie o jakość literatury dziecięcej. Bo wtedy jest szansa, że te wartości się utrwalą.

W obecnym dyskursie politycznym nie da się używać jeszcze wyższego stopnia przymiotników, bo te zwyczajnie nie istnieją. A za najwyższym stopniem nienawistnych przymiotników kończy się język i zaczyna przemoc.

To niebywałe, jak duża jest siła oddziaływania dyskursu politycznego na nasze codzienne rozmowy. Gdy patrzymy na frekwencję wyborczą, widać, że najwyższe co drugi Polak w jakikolwiek sposób interesuje się życiem politycznym. A jednak wpływ polityki właśnie na język jest ogromny.

Bo polityka to nie tylko sejm, ale też wiele tematów obyczajowych czy społecznych, które dotyczą każdego. Czy wie pan, jaka jest największa obelga w przedszkolach od pewnego czasu?

Nie mam pojęcia.

„Ty uchodźco”. To najlepszy przykład, jak w negatywny sposób język dorosłych przenosi się na sposób mówienia i myślenia najmłodszych. Dzieci słyszą, jak się rozmawia przy stole, słuchają radia i telewizji, o internecie nie wspominając. Przeświadczenie, że są tego nieświadome i nie zwracają uwagi, to lekkość i głupota.

Prawicowa prasa natychmiast powie: „No, siadł Rusinek i znów bąka, jak to psuje język prawa strona”. A środowiska liberalne nie mają sobie nic do zarzucenia?

Zdecydowanie mają. Łatwo zauważyć – i zwracają na to uwagę także moi koledzy dziennikarze – że język strony liberalnej łatwo zaraża się radykalizmami prawej strony. Co więcej, kiedy prawa strona podzieliła nas na dwa „sorty”, to ci uznani za gorszy zaczęli dumnie nosić przypinki z tym określeniem, zamiast wymyślić własną, pozytywnie wartościującą kategorię czy podział. Radośnie gramy w grę, której zasady ktoś ustala. Mnie nie interesuje bycie ani gorszym, ani lepszym sortem. Chciałbym być niesortem. Wojnę na języki wygrywa prawa strona. To ona narzuca język, język zaraźliwy. Strona liberalna powinna stworzyć swój język. Język, którego nie zaprojektują nam adwersarze. Wiem, że to mało medialne. To mrówcza praca, którą trzeba będzie wykonać, ale jest ona niezbędna.

Czy potrafi Pan wskazać jakieś pozytywne nawyki językowe, które jednak przenikają do naszej debaty publicznej? Czy raczej jest tylko równia pochyła?

Trudno powiedzieć o jakichś jednoznacznych tendencjach, ale na pewno są chwile, kiedy udaje się spojrzeć na ten spór inaczej. Nastąpiło to zaraz po śmierci prezydenta Adamowicza. Padło wiele deklaracji wspólnotowych, kładących nacisk na jedność. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak tę straszną sytuację przekuć na coś dobrego. To pokazuje, jak ważną rolę mogą odgrywać samorządowcy, którzy znajdują się jednak odrobinę obok tego ogólnopolskiego sporu politycznego – bo naturalnie nie całkiem poza nim. Innym pozytywnym zjawiskiem jest Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy: rok w rok jest to prawdziwe święto życzliwości na terenie całej Polski, nawet jeżeli niektórzy starają się tę inicjatywę dyskredytować. Takimi wydarzeniami były protesty kobiet czy manifestacje w obronie niezawisłości sądów. Nie ma ich, niestety, wiele, ale dobrze, że od czasu do czasu potrafimy się jednoczyć w imię wyższych wartości.

Niezbyt optymistyczna wizja wypływa z tej naszej rozmowy o języku.

Bo nie ma też co silić się na naiwny optymizm, że wystarczy zmienić władzę i wszystko będzie przepięknie. Przyznam, że nie zazdroścę ekipie, która przejmie rządy po PiS.

Wojnę na języki wygrywa prawa strona. To ona narzuca język, język zaraźliwy. Strona liberalna powinna stworzyć swój język. Język, którego nie zaprojektują nam adwersarze.

Trzeba będzie wykonać szalenie nudną, pozytywistyczną pracę u podstaw. Mam jednak nadzieję, że mimo postępującej korupcji języka, który próbuje nam wciąż narzucać populistyczne podziały, dojdzie do przyspieszonego kursu obywatelskości. Może sytuacja, w której się teraz znajdujemy, posłuży jako realna lekcja na przyszłość.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na poliwiercie, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.



Fot. Tomasz Szkodziński/Krakowski Teatr Scena STU

Szekspir, życie (i Beata Rybotycka)

Tekst: Wacław Krupiński

Błękitne krewetki autorstwa Jacka Cygana i w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego to właściwie spektakl benefisowy (choć bez narzucającej przez kalendarz okazji). Niemniej powstał z myślą o Beacie Rybotyckiej – o jej scenicznym talencie, wdzięku, temperamencie, jej walorach wokalnych. Są więc w nim odwołania do dokonania aktorki w Teatrze STU, do Beckettowskich *Szczęśliwych dni*, do jej spotkania z Jerzym Nowakiem w uroczym *Wieczorze nietoperzy*, czyli *intymnym seansie kabaretowym*, ale przede wszystkim do roli Gertrudy w *Hamlecie*. Tym razem oglądamy Rybotycką w garderobie, którą dzieli z Alicją Wojnowską, grającą w tej sztuce w STU Ofelię. Łączy je Szekspir, ale też życie; młodsza jest studentką starszej, nawet zwróci się do niej – jak w Akademii Sztuk Teatralnych, gdzie Beata Rybotycka ma zajęcia z piosenki – per „Pani profesor”. I tak przenikają się wątki z Szekspira, teatralna rzeczywistość ukazana w zabawnych anegdotach, jak i doskwierające życie, którego ani kostium, ani sceniczny make-up nie są w stanie przesłonić. To refleksyjnym, to zabawnym dialogom pań towarzyszą głównie premierowe piosenki, bardzo ważne w spektaklu – i to nie dlatego, że jest ich 17, ale

że stanowią istotny element dramaturgiczny. Piosenkami aktorki opowiadają o sobie, odsłaniają zakamarki duszy. *Przeglądają się w lustrze* – by odwołać się do osobistej piosenki Beaty Rybotyckiej z muzyką Piotra Rubika.

Kompozytorzy to inny atut przedstawienia – między innymi Leopold Kozłowski, Seweryn Krajewski, Romuald Lipko, Maciej Muraszko, Ryszard Rynkowski, Stanisław Sojka, Grzegorz Turnau, Zbigniew Wodecki. A aranżacje opracował Krzysztof Herdzin. O tym, że Beata Rybotycka znakomicie śpiewa, że ma oryginalną barwę głosu, wiemy dzięki jej recitalom, spektaklom, niegdyś występom w Piwnicy pod Baranami... Potrafi wzruszyć, nie boi się komediowego przerysowania, nigdy nie pozostawia obojętnym. Tu ma wspańnię partnerkę w postaci swej studentki Alicji Wojnowskiej, zwłaszcza że głosy obu pań harmonizują idealnie.

Bo w tym spektaklu współbrzmie naprawdę wszystko! To sceniczny bibelot, z którego wyjdą Państwo artystycznie usatysfakcjonowani i w znakomitych nastrojach.

Błękitne krewetki, Krakowski Teatr Scena STU



Roman Banaszewski
Twarz, akwarela, 21 x 30 cm, 1959

„Kobiety przynoszą nam wolność”

Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Takie hasło przyświecało dyskusji zorganizowanej w związku z przyznaniem Krystynie Jandzie przez miesięcznik „Kraków” medalu „Za mądrość obywatelską”. Prezentujemy zapis fragmentów spotkania zorganizowanego – nie przez przypadek – niemal dokładnie w 30. rocznicę epokowych wyborów 4 czerwca 1989 roku.

Witold Beres: Czy kobiety przynoszą nam wolność? A czy teraz ją przyniosą? I nie chodzi tylko o politykę. Bo symbolem jest choćby to, że poziom płac identycznie wykształconych i zajmujących to samo stanowisko pracowników bywa inny w przypadku kobiet i mężczyzn. Jeszcze większą hańbą jest brutalna ingerencja państwa w życie intymne obywateli, co w szczególności odbija się na życiu kobiet. Równocześnie nie chodzi też o język, choć tu akurat można wrzucić kamyczek do ogródka feministycznego: mnie akurat irytuje doktrynalne mówienie o potrzebie rewolucyjnej zmiany języka, prowadzącej się do używania dziwologów typu „premierka” zamiast zwrotu „pani premier”.

Dowodem na to, jak człowiek się zmienia, jest to, że jeszcze kilka lat temu należałem też do przeciwników odgórnego ustalania równej liczby kobiet i mężczyzn wśród kandydatów na listach wyborczych. Ha, ha, ha, śmiałem się, przecież mamy wybrać lepszych,

Ewa Lipska: Czym innym jest walka o sprawę kobiet, a czym innym, że tak powiem, ideologiczny feminizm. Ja takiego feminizmu nie reprezentuję. Raczej mi jest bliski XIX-wieczny stosunek do walki o prawa kobiet, kiedy to kobiety zakładały na przykład grupy samopomocowe i powoli żądały dla siebie kolejnych praw.

a nie decydować ze względu na płeć. Przekonała mnie dopiero Kazia Szczuka: Beres, ale wybierasz za kurytyną, wybierasz więc, kogo chcesz. Tylko musisz dostać okazję wybrania kobiety, mężczyzny lub transwestyty – kogo chcesz. Wolność zostaje, tylko musisz dać szansę.

Na szczęście jest i tu poprawa. Minęło 30 lat od Okrągłego Stołu. Wtedy, podczas głównych obrad po stronie rządu siedziała jedna kobieta i po stronie „Solidarności” też jedna, Grażyna Staniszevska. Wcześniej, jeszcze w czasach podziemia, koledzy związkowcy też nie chcieli jej przekazać władzy przewodniczenia regionowi Podbeskidzie, bo uznali, że nie będą baby słuchać. A sami się też do tej niebezpiecznej roboty nie palili.

Dlaczego o tym mówię? Bo chcę podkreślić, że mamy prawo się mylić i zmieniać zdanie. Kraków

jako miasto i „Kraków” jako miesięcznik też nie boją się przyznania do błędów, bo wiedzą, że najważniejszą rzeczą jest słuchanie i rozmowa.

Przedstawiam Państwu ludzi, którzy wiedzą o tym wszystko i wyprostują moje i Państwa błędy. Jest z nami Krystyna Janda. Jest Masza Potocka, kuratorka sztuki i szefowa muzeum MOCAK, gospodarza tego spotkania, oraz Iga Dzieciuchowicz, felietonistka „Krakowa” i autorka „Codziennika Feministycznego”. I wreszcie Ewa Lipska – wielka poetka, a również felietonistka „Krakowa”.

Spotkanie poprowadzi Andrzej Morozowski. Dzięki, przyjacielu, że przyjechałeś do nas specjalnie z dalekiej Warszawy.

Andrzej Morozowski: Witam Panie. Ewa Lipska powiedziała mi przed chwilą, że nie jest feministką. Dlaczego Pani się odcina?

Ewa Lipska: Czym innym jest walka o sprawę kobiet, a czym innym, że tak powiem, ideologiczny feminizm. Ja takiego feminizmu nie reprezentuję i nie mam nawet takiej potrzeby. Raczej mi jest bliski ten XIX-wieczny stosunek do walki o prawa kobiet, kiedy to kobiety zakładały na przykład grupy samopomocowe i powoli żądały dla siebie kolejnych praw. Jak się dawniej pojechało na wioski polskie, to było tam zawsze koło gospodyń wiejskich czy coś w tym rodzaju. One tam haftowały serwetki, ale równocześnie coraz bardziej zaczynały domagać się choćby wpływu na wybór sołtysa. Na zasadzie: nie jesteśmy tylko do gotowania. **Morozowski: Pani Krystyno, Pani chyba nie powinienem pytać, czy Pani jest feministką, bo Panią pamiętam z filmu Człowiek z marmuru, gdy Pani grała Agnieszkę.**

Krystyna Janda: Jak grałam *de facto* mężczyznę!

Morozowski: Feministkę. Ja wtedy byłem młody i nie umiałem tego nazwać.

Janda: Nigdy nie czułam, że jestem gorsza od jakiegokolwiek mężczyzny, że jestem głupsza, nigdy nie zarabiałam mniej niż moi koledzy. Zawsze byłam w jakimś sensie szefową, decydowałam o tym, co będę grała i jak będę grała. Nikt nigdy mnie nie ograniczał. Jestem pierwszą kobietą w mojej rodzinie, która się rozwiodła. A wiem z mojego dzieciństwa, że większość to były nieszczęśliwe kobiety w związkach, których nie miały odwagi opuścić, ponieważ nigdy w rodzinie nie było rozwodów.

Masza Potocka: Ja mam wrażenie, że jestem mężczyzną. Natomiast mam również poczucie obowiązku walki o prawa człowieka. Tutaj oczywiście pojawiają się prawa kobiet.

Natomiast mam również wrażenie, że feminizm przegiął, że w pewnym sensie doprowadziliśmy do dezorientacji męskości u mężczyzn. Pamiętajmy, że mężczyzna to jest istota zdeprawowana dwoma tysiącami lat władzy. My w tej chwili mamy wykształcenie, mamy prawo do kariery i mamy intuicję, którą w walce z mężczyznami wyrobiłyśmy przez te dwa tysiące lat. Jesteśmy totalnie uzbrojone. Tak że musimy w tej chwili troszeczkę zacząć się opiekować mężczyznami. Ja jako mężczyzna z poczuciem obowiązku do walki o prawa człowieka, walczę o prawa mężczyzny również w tej chwili.

Iga Dzieciuchowicz: Pracując w „Codzienniku Feministycznym” też często mam wrażenie, że bardziej walczę o prawa człowieka niż prawa kobiet. Przychodzi do nas dużo listów od kobiet, które dotyka ogromna przemoc – nie tylko ze strony partnerów, mężów i ojców, ale też instytucjonalna ze strony państwa.

Dla mnie feminizm jest walką o to, żeby ta przemoc się skończyła i żeby powstały instytucje, które kobiety będą chronić. Bo w tym momencie Polska jest krajem, który nie chroni kobiet.

Morozowski: Pani Krystyno, do Pani mam pytanie o słynny mem. Mężczyzna trzyma banknot, kobieta ze wsi modli się do tego banknotu i na górze napis „Daj głos!”. To jest po wyborach. Pani go zamieściła u siebie na Facebooku. Znalazłem w internecie wypowiedź pani, która się przedstawia, że jest w zarządzie głównym KOD, więc nie jest bynajmniej przedstawicielką PiS-u, i pisze mniej więcej tak: oglądam memy, które z ludzi robią kłęczące małpy, dzielą Polskę na lepszą i gorszą... Wy nie znacie najwyraźniej problemów zwyczajnych ludzi w zwyczajnym świecie. Gdzie są prawa kobiet, kiedy mówimy o Halinie z czwórka dzieci, dla której 2 tysiące to jest własna godność, to są właśnie prawa kobiet? Niejedna Halina może kupić teraz dziecku trampki i ananasa, i jeszcze sobie żakiet na komunię syna i farbę do włosów w kiosku, żeby jej sąsiadka nałożyła.

Janda: W ogóle nie zwróciłam uwagi, czy kłęczą kobieta czy mężczyzna. Zwróciłam uwagę na to, że to jest rysunek mówiący o korupcji wyborczej. Tylko to mnie zainteresowało. Jestem absolutnie przeciwna 500+ dla bogatych. Matki samotnie wychowujące dziecko są odcięte od 500+. Z jakiego powodu? Tyle jest potrzeb, tylu ludzi potrzebujących pieniędzy, niepełnosprawnych. Nauczyciele – trzeba im dać pieniądze. Po co 500+ dla bogatych? Jestem tylko przeciwko temu.

Morozowski: A jak się Paniom podoba?

Potocka: Ktoś, kto pisał, że ona jest ze wsi, już dawno nie był na wsi. Kobiety tam inaczej wyglądają.

Morozowski: Ona wygląda jak mieszkanka wsi z czasów Chłopów Reymonta.

Potocka: Absolutnie. Ale trzeba uważać z obrazami, które się umieszcza, dlatego że obrazy zawsze mówią więcej, niż się wydaje.

Dzieciuchowicz: Feministkom się nie spodobało bardzo to, że pani Krystyna to umieściła. Ale ja rozumiem, że to był komentarz do wyborów. Też tak to rozumiałam. Ale dla wielu osób ten rysunek się okazał za mocny i stygmatyzujący.

Morozowski: Jako człowiek, który się od lat obserwuje scenę polityczną, miałem nadzieję, że jak się pojawią w polityce kobiety, to ona złagodnieje.

Janda: Nigdy nie czułam, że jestem gorsza od jakiegokolwiek mężczyzny, że jestem głupsza, nigdy nie zarabiałam mniej niż moi koledzy. Zawsze byłam w jakimś sensie szefową, decydowałam o tym, co będę grała i jak będę grała. Nikt nigdy mnie nie ograniczał.

A mam wrażenie, że kobiety w polityce nie tylko nie wprowadzają żadnej łagodności, ale wręcz ją zaostrzają. Osobą, która dostała najwięcej głosów w ostatnich wyborach, jest Beata Szydło. Najbardziej się ją pamięta z krzyków z mównicy sejmowej, że nam się należało. Temu elektoratowi była pani premier się podobała.

Janda: Jako aktorka obserwuję, jak ona mówi i dlaczego ona robi wrażenie. Ona ścisza na końcu każdego zdania, jakby jej nie zależało, i robi kropki.

Morozowski: Myśli Pani, że miała lekcje retoryki?

Janda: Nie, myślę, że ona taka akurat się urodziła. Pani Szydło ma nerwy z żelaza. Pani Szydło nie ma emocji. Ale potrafi zagrać wkurzenie.

Morozowski: Czy nie uważacie, że pani Szydło to wzór feministki?

Lipska: Myślę, że tutaj gra wizerunek dobrej cioci, który się sprawdził. To, że pani Szydło jest uważana za osobę, której Warszawa nie zepsuła.

Janda: Ale żeby wrócić do tematu: kobiety są wspańskie. Naprawdę. Założyłam fundację 14 lat temu. To ciężka sprawa: tylko 40 etatów na dwa wielkie teatry, które zagrały dziewięćset razy w tamtym roku. Dookoła mnie są same kobiety i wiem, że wszystko będzie w porządku: że one wstaną w nocy, wszystko zrobią, przewidzą, będą myślały do przodu, że zapobiegą katastrofom. Mam absolutne poczucie bezpieczeństwa z tymi dziewczynami. Wiele z nich jest wykształconych, inteligentnych, mają mieszkania, mają samochody i nie mają partnerów życiowych. Druga połowa ma partnerów życiowych, których w jakimś sensie podtrzymuje, utrzymuje, a oni zajmują się wyższymi sprawami. Kobiety pracujące dookoła mnie dają mi poczucie bezpieczeństwa. I odwrotnie jest wśród aktorów. Mężczyźni aktorzy dają mi poczucie bezpieczeństwa, że nic się nie stanie, że będą grać, a kobiety – same problemy.

Morozowski: Czy to jest kwestia przypadku, czy to jest kwestia płci?

Janda: To kwestia innej wrażliwości. Specyfiki zawodowej. Aktorki to kobiety wrażliwe, ale i przewrażliwione na swoim punkcie – to jest zarządzanie trudnym materiałem osobowościowym.

Morozowski: Powiem ze swojego podwórka: często mi się zdarza, że odmawia mi przyjscia do programu kobieta i jak się poskrobie dlaczego, to się okazuje, że nie była u fryzjera, że nie ma zrobionych paznokci itp. Mężczyzna nigdy takiego powodu nie poda.

Potocka: Bo to nie jest tak całkiem równo. Marzy mi się, żeby skończyć z tym rozgraniczeniem, żeby wreszcie zacząć mówić o ludziach. Ale cały czas jesteśmy na pozycji lekko kokietującej pięknotki. Cały czas w jakiś sposób próbujemy się przypodobać mężczyznom, co nie jest wyłącznie kwestią tego,



Od lewej: Ewa Lipska, Iga Dzieciuchowicz, Maria Anna Potocka, Krystyna Janda, Andrzej Morozowski

że mamy szpilki, makijaż czy się stroimy, ale również to pojawia się na co dzień w pewnego rodzaju zachowaniu.

Moim zdaniem blokuje również pewien rodzaj niezależności myślenia. Zaproszono mnie do tej rozmowy i myślałam, że mówimy o wolności. O wolności, a nie o tym, że kobieta ma dawać wolność.

Morozowski: Pani, która krytykuje mem upowszechniony przez panią Krystynę, pisze, że wolność to są pieniądze. Jeśli się ma 500+.

Potocka: Pieniądze to jest swoboda. Wolność to jest pewien rodzaj niezależności własnego istnienia w stosunku do świata. My się dużo w MOCAK-u zajmujemy Holokaustem. Badałam więc również problem wolności w obozie koncentracyjnym. Tam były dwa sposoby na wolność. Jeden to była religia indywidualna, egoistyczna wolność. Drugi to było pomaganie innym. To, co robi również pani Krystyna – w momencie kiedy jestem teatrem, a nie jestem sobą, zapominam o sobie, jestem dającym. To była wolność, którą również wypracowano w obozach koncentracyjnych. Jak daję, to przestaję tak cierpieć, ponieważ nie ja jestem najważniejszy.

Tutaj wiele kobiet, takie działaczki trochę jak my wszystkie, potrafi znaleźć swoją wolność. To jest

Potocka: Marzy mi się, żeby skończyć z tym rozgraniczeniem na kobiety i mężczyzn – żeby wreszcie zacząć mówić o ludziach. O obowiązku walki o prawa człowieka. I tutaj oczywiście pojawiają się prawa kobiet.

pierwsza wolność. Druga to jest wolność taka, żeby człowiek potrafił ocenić to, co mu mówią. Kobieta na tym memie jest jej pozbawiona z różnych powodów – nie dostała tego daru oceniania sytuacji, w którą została wpłątana. Wolność – pieniądze. Biorę, bo to wolność. Nieprawda, bo wolność jest zupełnie gdzie indziej.

Morozowski: Ale pieniądze dają poczucie wolności, bo trzeba mieć miejsce, gdzie się żyje.

Potocka: Swoboda.

Morozowski: Swoboda to nie jest to samo, bo można kupić jedzenie dla dzieci, bo można kupić buty dla dzieci, bo kobieta, która ma dzieci, troszczy się o nie. Dla niej posiadanie pieniędzy to jest poczucie bezpieczeństwa.

Potocka: To jest poczucie bezpieczeństwa, ale pieniądze mają aspekty – albo ma się ich tyle, żeby przeżyć, i wtedy się nie nazywają pieniądze, albo ma się ich dużo więcej i o takich pieniądzach ludzie najczęściej mówią.

Dzieciuchowicz: Dla mnie wolność jest troszeczkę gdzie indziej. Jeśli myślę o kobietach, które mi przynoszą wolność dziś, to są dla mnie kobiety, które przerwały milczenie. Nie mówię tylko o kobietach znanych, jak Kasia Figura, która mówiła o przemocy domowej, czy Weronika Rosati ostatnio, ale w ogóle o takich zwykłych kobietach, które mają odwagę opowiedzieć o swojej krzywdzie. Myślę na przykład o byłej żonie posła Piaseckiego, która ujawniła

straszny przemoc, która ją dotykała, i rozpoczęła ogólnopolską debatę na ten temat.

To są dla mnie współczesne bohaterki, bo poruszają tematy, których nikt nie chce ruszyć. Zazwyczaj wszyscy zmieniają temat. Jeżeli ten temat się rozpoczyna, to najlepiej powiedzieć kilka wyświechtanych słów o tym, że nie wiadomo jak to było, a w ogóle to po co tam szła, po co piła.

Te kobiety powinny otrzymać medale. Powiedzieć publicznie o swojej krzywdzie jest ogromną odwagą. Większość kobiet milczy.

Morozowski: Wynik ostatnich wyborów pokazał, że wygrała partia, która jest partią patriarchalną. Mają tam jako przywódcę dobrego ojca, oni go tak traktują. Okazało się, że 45 proc. Polaków uważa, że tak to powinno wyglądać. Dlaczego tak jest?

Lipska: Marcin Król powiedział mądre zdanie, że do rządzenia trzeba mieć albo pieniądze, albo seks. Tak się składa, że partia rządząca ma pieniądze, które rozdaje w różnych momentach, natomiast partia opozycyjna nie jest, jak do tej pory, sexy. Zobaczmy, co będzie dalej, bo pieniądze się kiedyś kończą. **Janda:** Oczywiście wiadomo, że jest przemoc domowa i wiadomo, że instytucje państwa tych kobiet nie bronią. Dlatego między innymi, że jest taka tradycja patriarchalna. Dlatego że matki wychowują tak synów. To, że mężczyźni są tacy, jacy są, to między innymi wina kobiet.

Morozowski: Dlaczego one ich tak wychowują? Przecież to nie jest w ich interesie.

Janda: Takie są tradycje i nikt tych tradycji nie przełamuje. Natomiast faktem jest też, że matka dostaje opiekę nad dziećmi, a ojciec nie, nawet jak bardzo chce. Tematy nie zostały podjęte, a idą ślepych zwyczajem, nawykami, bezmyślnie. Wszystko to wymaga edukacji, wymaga sposobu myślenia dużo bardziej szerokiego niż mamy. To wymaga po prostu zajęcia się tymi sprawami i tyle. Wczoraj zamieszczałam, co wzbudziło burzę, dwa wierszyki, jak to fajnie być chłopczykiem i jak to fajnie być dziewczynką. Po prostu groza, co jest tam napisane. To książka do religii dla klas trzecich. Świetnie jest być chłopczykiem, bo się ma przed sobą świat, i świetnie jest być dziewczynką, bo ma się przed sobą pranie, zakupy i dzieci. Tak będzie, dopóki ktoś na to nie zwróci uwagi, dopóki kobiety będą się zgadzały na to, że będą bite, bo w jakimś sensie boją się reakcji, bo nie ryzykują, dlatego że są pewne, że jak wyjdą z domu, to nikt im nie pomoże i zostaną same. Dlaczego kobiety pozwalają, żeby mężczyźni tak traktowali ich dzieci?

Morozowski: Co Panie sądzą o akcji MeToo?

Janda: Ja nie doświadczyłam.

Morozowski: Czy słyszę żart Pani w głosie?

Janda: Boję się konsekwencji. Mam wrażenie, że ta akcja, która w wielu punktach opiera się na słuszności, to w wielu momentach, albo w większości momentów, na pewnego rodzaju egzageracji. Na wyolbrzymianiu, przejawskrawianiu i przypisywaniu czemuś nadmiernego znaczenia. Oraz na pewnego rodzaju wyrzucie sumienia i oskarżaniu innych. Ale generalnie nasza kultura idzie w stronę nierozmnażania się. Lęk przed jakąkolwiek akcją seksualną, bo straszenie mężczyzn przed akcją seksualną doprowadzi do tego, że scena rozmnażania zrobi się

ostroźniejsza i trochę pozbawiona pięknych emocji. Wydaje mi się, że jest takie zagrożenie.

Morozowski: Czyli za daleko poszła ta akcja?

Janda: Rodzi się lęk przed seksem totalnym. Jeżeli ktoś ma podpisać umowę przed pójściem do łóżka, to lepiej nie pójść.

Morozowski: Spisać dobrą umowę.

Dzieciuchowicz: Ja się znów sprzeciwię. W MeToo chyba nie chodzi o sytuacje, kiedy ludzie ze sobą flirtują albo ma początek jakaś romantyczna relacja. Akcja MeToo polegała na tym, żeby ujawnić osoby, które wykorzystują relacje władzy, żeby się dobrać do kobiecych ciał. Bardzo dobrze, że ta akcja ruszyła i ruszyła falą. Widzę dużą zmianę świadomości po tej akcji w naszym kraju. Jestem pełna podziwu dla chłopaka, który wygrał konkurs recytatorski i sprzeciwił się, kiedy juror seksistowsko potraktował jego koleżankę, która również w tym konkursie brała udział. Pan aktor, który ją oceniał, mówił o jej piersiach, mówił, że jest bardzo atrakcyjna wizualnie, chociaż w ogóle nie pamięta wiersza, który mówiła.

Janda: Zdarzyło mi się dwa razy napisać list do reżysera, że nie życzę sobie, żeby do aktorki zwracał się takim tonem i jeżeli jeszcze raz usłyszę... Jest dwóch reżyserów w Warszawie, którzy noszą te listy ode mnie napisane w bardzo ostrym tonie i pokazują – zobaczcie, co ona mi napisała i uważają, że to jest coś wyjątkowego. Ja po prostu dwóm reżyserom napisałam prawdziwe groźby, ponieważ powiedzieli: stań, zobaczę, jak ci się cycki bujają. Takie żarty niby. Ja napisałam naprawdę ostre listy. Co więcej, wiem, że takie listy ostrzegające napisało wiele kobiet, moich znajomych, które są szefami dużych korporacji. Nie dopuszczają do tego rodzaju sytuacji u siebie. I tyle. Zareagowałam natychmiast, bo przyszła do mnie aktorka z płaczem i powiedziała, że reżyser ją tak potraktował. Powiedziałam mu, że albo przestanie, albo go wyrzucę, i on z tym listem chodził. Trzeba na to reagować i tyle.

Morozowski: To Pani się nie spotkała nigdy z Kazimierzem Dejmkiem. Podobno to, co on mówił do kobiet na próbach...

Janda: Tak, w tamtych czasach... Jeżeli po 60 latach aktorka amerykańska przypomina sobie, że była molestowana i nagle robi się z tego afera, ale ona przyjęła tę rolę i zagrała w tym filmie, to sobie zadaje pytanie, dlaczego nie dała mu po mordzie w momencie, kiedy on ją molestował, ale wtedy oczywiście nie miałyby tej roli, prawda?

Potocka: Pani powiedziała coś symptomatycznego. Mianowicie, że oni chcą się dobrać do kobiecych ciał. A mówimy cały czas o równości. Mężczyźni, kobiety, równo, wszystko ma być równe. Nagle robi się sytuacja... tak samo my się chcemy dobrać do męskich ciał, jak oni do kobiecych. Obie strony mają podobną zdolność mówienia „nie” lub „tak”. Jeżeli traktujemy kobiety jako rodzaj przedmiotu, który chodzi i broni się przed pożądaniem, to w tym jest jakiś błąd równościowy i również brak szacunku wobec tego przedmiotu, który jest ciałem kobiecym. Coś mi tu nie gra.

Dzieciuchowicz: Jednak coś jest nie tak w tym, że mężczyźni proponują kobietom awans za seks. O to między innymi chodziło w akcji MeToo.

Potocka: Ale tutaj dalej jest – wolna wola jeszcze ma mnóstwo pola. A kiedy wolna wola ma pole, nie ma przestępstwa moralnego.

Dzieciuchowicz: Kobiety w Polsce borykają się codziennie z seksizmem. Fundacja Ster robiła badania, z których wynika, że 87 proc. Polek spotkało się z jakąś formą seksizmu ze strony obcych mężczyzn na ulicy czy w pracy. We Francji i w Niemczech werbalne molestowanie w pracy jest karalne. Nie można powiedzieć koleżance z pracy „masz fajne cycki”, bo można dostać finansową karę. We Francji za dotknięcie pośladków pan poszedł ostatnio na trzy miesiące do więzienia.

Janda: Jest to prawda. Ale jest to geografia moralności. Można powiedzieć – masz fajną fryzurę, nie można powiedzieć: masz fajny biust, ponieważ

Dzieciuchowicz: W MeToo nie chodzi o sytuacje, kiedy ludzie ze sobą flirtują albo ma początek jakaś romantyczna relacja. Akcja MeToo polegała na tym, żeby ujawnić osoby, które wykorzystują relacje władzy, żeby się dobrać do kobiecych ciał.

wchodzimy w teren seksu, który jest brudny, tajemniczy i nie należy o nim mówić.

Nie widzę żadnej różnicy pomiędzy: jak pięknie jesteś umalowana, jaką masz piękną fryzurę, jak piękne masz pośladki w tych spodniach. Gdzie tu jest molestowanie? Moje pracownice czasem przychodzą do mnie i mówią: „Widziała pani, jaki on ma tyłek?”.

Morozowski: Teraz właścicielem TVN jest Discovery, ale poprzednio była inna firma amerykańska. Jak to Amerykanie, przywiozła ze sobą przepisy na wszystko, między innymi na stosunki męsko-damskie w pracy. Wielką radość i nadzieję wzbudziło w nas to, że regulacje te przewidywały, iż koledze i koleżance z pracy można raz zaproponować seks. Jeśli odmówi, to nigdy więcej, bo to już byłoby molestowanie. Może to jest pomysł? Bardzo Paniom dziękuję.

Bereś: Namawiam Państwa, żebyśmy bronili po prostu słabszych. Gdy uznajemy, że kobiety są słabsze, a w wielu wypadkach są, to mamy obowiązek je bronić, jeżeli chcemy żyć w fajnym kraju. Niezależnie od tego, kto będzie rządził. Ale brońmy również innych słabszych.

Tak jak rozumiem dzisiejszą rozmowę, mamy obowiązek tkwić w opozycji przeciwko tym, którzy chcą nam zamienić życie na zorganizowane umundurowane państwo z ingerującą w nasze życie władzą. Przeciwko temu mówię „nie!”. Dlatego na koniec dla wszystkich mamy prezent: biała róża to nie tylko symbol czystych intencji, ale również oporu. Oporu przeciwko... Ja bym nie chciał mówić, że mężczyznom, nie chciałbym mówić, że przeciwko PiS-owi. Przeciwko chamstwu, draństwu i niesprawiedliwości. Jeżeli tak Państwu uważajcie, zamachajcie różami!

(opr. kb)

Platon w Lanckoronie

Tekst: Marta Kalfas Rysunek: Małgorzata Miklaszewska

Od trzech lat w podkrakowskiej Lanckoronie miłośnicy filozofii zagłębiają się w myśli Platona. Bez której przecież nic by się w dziejach cywilizacji nie wydarzyło...

Wszystko w ramach Akademii Platońskiej, inicjatywy mającej na celu propagowanie platonizmu za sprawą organizowanej corocznie szkoły letniej. Jako uczestnik pierwszego zjazdu, dzielę się garstką wspomnień i filozofii mistrza.

*

Żądny instrukcji obsługi umysłu człowiek już po dwóch godzinach dobrego wykładu o Platonie może rozpocząć rozbiórkę struktur swojej dotychczasowej tożsamości – dziesięciodniowe seminarium musiało nas odmienić. Dzięki nowemu narzędziu zwanemu dialektyką mogliśmy ujrzeć siebie z nowej perspektywy i angażując całą swoją egzystencję, zostać platonikami. To znaczy?

Platonik lanckoroński jest członkiem Akademii. Czasami na wykład schodzi w piżamie, lecz podróż w głąb siebie jest ważniejsza niż trendy odzieżowe. Czasami poranne seminarium przesyypia – cóż... kto wie, czy życie może nie jest snem, sen zaś życiem?

Pierwszego dnia, jako całkiem sobie obcy, czuliśmy twogę; garstka nieznajomych wzajem dusz ma spędzić przez dziesięć długich dni i nocy, każdą godzinę razem, dzieląc pokoje w stuletnim ośrodku Leśny Ogród. Po obiedzie uciekł Antoni. Szczęściem, filozofia antyczna wymusza wspólnotę poszukiwań, wzajemną pomoc i duchowe wsparcie. Toteż platonik lanckoroński przebywa w gronie przyjaciół, gdyż celem jego jest poznanie samego siebie, a – jak zauważał Platon w *Uczcie* – „człowiek tylko w przyjacielu, jakby zwierciadło, siebie samego ogląda”. Dobrze więc, że Antonii powrócił, bo cóż byśmy uczynili bez niego!

Było nas zatem jedenastu platoników i jeden gburowaty tomista oraz istota najważniejsza – figlarny duch samego Sokratesa zaklęty w relikwie starożytnego pisma.

*

Filozofia starożytności grecko-rzymskiej zawiera w sobie całe spektrum ćwiczeń służących do przekształcania widzenia, czyli rozumienia siebie i świata. Francuski historyk Pierre Hadot nazywa je „ćwiczeniami duchowymi” – jako uogólnienie nazwy na ćwiczenia „psychiczne”, „moralne”, „intelektualne”. Akt filozoficzny to nie teoretyzowanie, to czyn powodujący przewrót, to akt postępu, dzięki któremu stajemy się odrobinę lepszymi w życiu codziennym. Jesteśmy bardziej, bo zyskujemy coraz to więcej samoświadomości.

Dialog sokratyczny to nietypowy gatunek literacki, prowokujący „rozmówcę” do osiągnięcia określonej postawy umysłowej – dialogu z samym sobą. Nie jest wyłożeniem doktryny, lecz ćwiczeniem intelektualnym, a więc „duchowym”, Sokrates zaś jest żywym wezwaniem, rozbudzającym sumienie. Z listy trzydziestu pięciu dialogów, zatytułowanych imionami uczestników każdej rozmowy, codziennie braliśmy na warsztat po jednym tekście...

Lanckorona, dzień 2:

Fedon – ćwiczenie się w Śmierci.

Skazany na śmierć Sokrates, oczekuje wyroku. Dziwnym przypadkiem morska pielgrzymka na cześć boga Apollina wyrusza z Aten do Delos, a w mieście na ten czas zakazane jest życie komukolwiek odbierać. Toteż przez trzy dni odwiedzają przyjaciele swojego mistrza, który z pogodą ducha oczekuje w celi na powrót statku i rychłą śmierć, będąc... szczęśliwym! Koniecznie ta rozmowa o śmierci, w której wszyscy przepełnieni miłością do Sokratesa są pełni powagi i smutku, gdzie „raz się człowiek śmiał, a raz płakał”, podziwiając spokój skazańca, należy do najpiękniejszych ustępów literatury.

„Śmierć jest absurdem, bo jest końcem, a rewersem tego lęku jest popędowa żarłoczność” – tłumaczy profesor Piotr Augustyniak na wykładzie popołudniowym. „Człowiek chce się nażreć życia, żeby przetrwać. A to zabija Logos”. Koncepcja przyjemności jest szeroko omawiana przez starożytnych i pojęcie to jest często sprzeczne z tym, co przez nie rozumiemy współcześnie. Pisał Hadot: „Dla wszystkich szkół filozoficznych [grecko-rzymskich] podstawową przyczyną cierpienia, zamętu, nieświadomości człowieka są namiętności: chaotyczne pragnienia, wyolbrzymione obawy (...). Filozofia zatem okazuje się przede wszystkim leczeniem namiętności”.

Tylko jak tu filozofią leczyć się z namiętności do filozofowania?

Jaką technikę powściągnięcia namiętności stosował Sokrates? Po pierwsze, panowanie nad sobą przez ćwiczenie uwagi. Stała czujność, stała obecność ducha, rozbudzona samoświadomość i skupienie na chwili obecnej. Sokrates wielokrotnie przedstawiony jest jako osoba zdolna do nadzwyczajnej koncentracji umysłowej. Jego techniką był popularny



Sokratesowe „wiem, że nic nie wiem”
to stanowisko sceptyczne, informujące,
że nie wyrokuję o własnościach rzeczy.
Nie oceniam i nie wartościuję, ponieważ
wszystko jest względne. Dlatego
Sokrates nie boi się śmierci – bo skąd
może wiedzieć, czymże jest śmierć?

dzisiaj *mindfulness* – medytacja uwagi pozbawionej oceniania. Wszak sokratesowa niewiedza, „wiem, że nic nie wiem”, to stanowisko sceptyczne, informujące, że nie wyrokuję o własnościach rzeczy. Nie oceniam i nie wartościuję, ponieważ wszystko jest względne. Dlatego Sokrates nie boi się śmierci – bo skądże może wiedzieć, czymże jest śmierć?

Jednak w dialogu tym nie chodzi wyłącznie o śmierć jako oddzielenie się od ciała fizycznego, lecz także o śmierć „filozoficzną”, o śmierć swojej indywidualności i emocjonalnego punktu widzenia; śmierć ego. Stopniowe przekształcenie wewnętrzne następujące dzięki stosowaniu technik trenowania umysłu, prowadzi do wzniesienia się na poziom uniwersalnego punktu widzenia – doznawania i rozumienia tego, co rozdzielone jako połączone. Centralny tekst *Fedona*, „magna charta” metafizyki Zachodu, to – jak dowiódł w swojej monumentalnej *Historii filozofii starożytnej* Giovanni Reale – pierwsze racjonalne uzasadnienie istnienia rzeczywistości ponadzmysłowej.

Lanckorona, dzień 5:

Sofista – ćwiczenie się w Słowie.

Małeńka i krępa pani profesor z Wrocławia wpada do Lanckorony po poranku i wstrząsa nami jak grom Dzeusa. „Czy pan będzie palił teraz tego papierosa?” Gburowaty tomista peszy się i chowa fajkę. „Niech pan tego nie chowa. Mogę jednego?” Obserwujemy w milczeniu, jak pani Janina odpala papierosa z godną podziwu pewnością siebie. Zaciąga się dymem i rozgląda się po naszych twarzach; aura wokół jej osoby jest elektromagnetyczna. „A pan, panie Mieszko, pan to ma przechlapane”.

Zaczyna się poważna interpretacja ontologii Platona. Pytania o egzegezę dialogów, o status ontyczny ogółów, rozumowania logiczne, meta-logiczne i ścisłe. Siedzimy zamurowani. Każdy w pocie czoła robi notatki, śledzi szybki wywód ze strachem, że lada chwila coś się wymknie i zgubi. Tembr głosu, mądrość, Mowa pani profesor wypełniona po brzegi Sensem, energia jej słów „arche” i „archa”, czułość i szacunek, z jakim nazywa Parmenidesa „ojcem”... Siedzimy u jej stóp jak dzieci i z otwartymi buziami wyciągamy ręce do Prawdy, której nigdy nie uchwycimy rękami. Wszystko składa się w całość.

W XXI wieku odczytuje się dialogi według nowej optyki, która za ostateczne podstawy

nauk Platona uważa nieznaną nam przekaz ustny – to niesamowite! W lekturze dialogu *Fajdros* czytamy, że filozof „rzeczy najważniejszych” nie powierza piśmiu, lecz wyłącznie przekazuje je ustnie, ponieważ droga wiodąca do prawdy jest skomplikowana i tylko wiele wytrwale prowadzonych dyskusji, w ścisłej wspólnocie między nauczającym i tym, kto uczy, chroni przed zgubieniem się na ścieżce. Spotkanie z panią Janiną to był przekaz ustny, to była nasza inicjacja.

Lanckorona, dzień... (?) noc... (?)

Dialog z samym sobą. Burza.

Tylko ten, kto zdolny jest do prawdziwego spotkania z samym sobą, zdolny jest do prawdziwego spotkania z innymi – pisze Hadot. Na Akademii mówiliśmy do siebie nawzajem. Marek do Alana, Alan do Serafina, Serafin do Bartka, Bartek do Magdy, Magda do Mieszka... Szukaliśmy uniwersalnej nici porozumienia dla dobra ogółu, wytwarzając atmosferę współmyślenia. Tylko gburowaty tomista spierał się ze wszystkimi wokół, nie wiedząc, że spiera się sam ze sobą. Cóż, może miał prawo. W końcu był z nas wszystkich najbardziej odczytany.

Ulewna burza zastała nas, gdy nocą odczytywaliśmy na głos kosmologię *Timajosa*, o tym, jak bóg „każdą duszę jednej gwiazdy przydzielił, a wsadziwszy ją jakby na wóz – pokazał jej naturę wszechświata i powiedział im prawa przeznaczone”... Ustęp o budowie czasu i wzorach wiecznych wsiąkały głęboko w nasze umysły, będące przecież na pograniczu snu i jawy, kiedy leżeliśmy na podłodze o trzeciej nad ranem, a deszcz bębnił w stuletni dach niegdysiejszego aśramu, pod ruinami zamku króla Kazimierza... Czy na którymś uniwersytecie odczytuje się *Dialogi*, podczas gdy świadomość studentów balansuje między stanami hipnagogicznym (stan „przytomnej uwagi” przy zasypianiu) i hipnopompicznym (stan „przytomnej uwagi” przy wybudzaniu)? Kolejna ulewna noc i wino rozwodnione, jak przystało na poszukujących Prawdy Greków. Ogień i pełnia księżyca, śpiewy i bębny. Las na zboczu góry. Sokrates nieprzytomny na brzuchu i my stąpający po nim gołymi stopami.

Opanowanie ciała przez ruch świadomości. Uczta i miłość. Dobro. Dobro.

Piszę wciąż w liczbie mnogiej, lecz czy inni uczestnicy mieli podobne odczucia? I nie napisałam o najważniejszym. Na Dzeusa, nie napisałam o najważniejszym!



Marta Kalfas – absolwentka Wydziału Filozofii UJ w Krakowie, była studentka łódzkiej filmówki. Obecnie mieszka w Szkocji, gdzie realizuje kurs pedagogiczny w Szkole Waldorfskiej. W przyszłości pragnie założyć fundację chroniącą dzieci przed pornografią internetową.

Grzech sprayowy

Rozmawiał Jakub Ciećkiewicz Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Waldemar Domański, dyrektor Biblioteki Polskiej Piosenki, autor wielu projektów integracyjnych i kulturalnych, dyrygent krakowskich Lekcji Śpiewania: – Gdzie dwóch Polaków tam trzy zdania... Mamy z tym problem, więc starajmy się dzielić świat na małe porcje i tam gdzie się da, naprawiać go dla wspólnego dobra. A Kraków jest rodzajem wzorca dla Polski. Kiedy Warszawa dymi, Kraków jednak śpiewa.



Waldemar Domański/Archiwum Ośrodka Kultury „Biblioteka Polskiej Piosenki”

Co to jest grzech sprayowy?

Złowrogie słowo nabazgrane na murze działające na tysiące przechodniów. To nie jest zwykły akt poniżenia, zaszcucia czy agresji skierowanej do jednej osoby, lecz atak na wszystkich. To zawłaszczenie wspólnej przestrzeni. To gwałt na estetyce i prawie własności. Przecież ściany i mury Krakowa do kogoś należą, ktoś musi zapłacić za remont niszczonej elewacji. Gmina wydawała w poprzednich latach blisko 3 mln zł rocznie na zbędne malowanie budynków i komunikacji. Właściciele nieruchomości wydają podobne kwoty. Wulgaryzmy, mowa nienawiści, tagi i inne bazgroły dokuczają mieszkańcom bloków i kamienic, niszczą zabytki, mury ko-

ścielne i cmentarne. I dlatego powinny zostać uznane za nowy rodzaj grzechu. Poruszyłem ten temat w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego” w marcu 2016 roku i nie jest to moje ostatnie słowo na ten temat!

Od lat walczysz z wulgarnymi napisami, jak to się zaczęło?

Po raz pierwszy zamalowałem bazgroły na moim osiedlu na Klinach Porannych! Szedłem akurat do fryzjera, kiedy zobaczyłem wielki rysunek penisa. Pytam panie w zakładzie, czy im nie przeszkadza. Mówią, że owszem. OK. Zostało mi trochę farby po ostatnim remoncie, wróciłem z grupą sąsiadów i zamalowaliśmy. Wtedy pomyślałem, że ludzie mogą się do takiej akcji przyłączyć...



Jakie napisy są najpowszechniejsze?

Chamskie. Ale pośród bazgrołów i głupich rysunków natknąłem się na prawdziwą nienawiść, która wskazywała konkretne ofiary na przykład: „Zginiesz Kowalski, ty zdrajco!”. Widziałem też napisy przedstawiające sceny egzekucji kibica przeciwnej drużyny, które wisiały całymi miesiącami, stając się czymś w rodzaju powszechnego miejskiego wzornictwa, które nie poruszało zresztą wcale administratorów...

Chciałem, żeby ludzie przejrżeli na oczy i spróbowali coś z tym zrobić, postanowiłem wywołać rodzaj niezgody, uzyskać wpływ na administrację, ruszyć spółdzielnie mieszkaniowe, uruchomić audycje radiowe, media. Ale przede wszystkim organizowałem w miejscach skupisk napisów akcje zamalowywania połączone z piknikami. Okazało się, że jeśli dasz ludziom okazję żeby wyszli z domów, spotkali się z sąsiadami, pogadali, to przyprowadzą jeszcze wnuki, złapią za pędzle i będą mieli świetną zabawę. Krakowianie poświęcali swoje weekendy, oczyszczali najbliższą okolicę, a rozmawiając, utwierdzali się w przekonaniu, że inni myślą podobnie. To się rozlało po całym mieście. Na osiedlach witano nas serdecznie, bo przychodziliśmy z muzyką, farbą i pomysłem, żeby poprawić ludziom życie. Potem mieszkańcy stawali się strażnikami zamalowanych miejsc. Sami znajdowali autorów napisów. Naszą inicjatywę podjęły inne miasta w Polsce. Najprężniej działa Zielona Góra.

Miałeś wsparcie organizacji pozarządowych?
Przeciwnie. Pogromcy Bazgrołów stworzyli rodzaj zagrożenia, w środowisku NGO obawiano się, że sięgniemy po pieniądze, które mogłyby przypaść innym w formie grantów. Tymczasem my nigdy nie zabiegaliśmy o fundusze państwowe czy gminne, bo działaliśmy w ramach romantycznego zrywu społecznego.

Kim są autorzy nienawistnych napisów?

Uważają się za nocnych rycerzy sprayu, którzy zarządzają wspólną przestrzenią. To trzydziestolatkowie, chłopaki mieszkające u mamy za szafą, bez perspektyw na sukces i karierę. Ludzie słabi, pragnący mocy, potwierdzenia, że są kimś. Umawiają się w internecie, zbierają w grupy, formują nocną armię i organizują kibicowskie wypadki, żeby wyrazić wściekłość i pogardę. To się rozlewa na stadiony, przestacza w chamskie piosenki, okrzyki, lżenie przeciwnika.

Hejt w internecie to taka sama mowa nienawiści...

– ... płynąca przez klawiatury ludzi, którzy brak osiągnąć kompensują gwałtownością wypowiedzi, użyciem sztyletów słownych, mających zranic wszystkich, którym się powiodło. Oni po prostu lubią niszczyć innych. Potem patrz, jak sobie taki zaatakowany radzi. Jeśli zostanie ugodzony i próbuje się bronić, dopadają go i pałkują na oczach internautów, a bezradne ofiary prawie zawsze pozostają same, mimo że mają po 2 tysiące znajomych na Facebooku. Ich

Walczymy, popychamy w tramwajach, wylewamy wiele agresji w polemikach na FB, ale ciągłe życie w napięciu powoduje, że od czasu do czasu ludzie, którzy się po prostu nie lubią, chcą coś zrobić razem.

„przyjaciele” boją się zareagować, żeby hejter się do nich nie przykleił.

A Ty w strefie internetu bronisz ofiar?

Wytropiłem już dwóch trolli. Jeden zaatakował młodego chłopca z małej miejscowości, który chciał walczyć z napisami nienawiści. Obiecałem, że ukarzę sprawcę i szukałem go w sieci. W końcu znalazłem – pracował w dużej, ale jedynej w okolicy fabryce, która właśnie obchodziła jubileusz. Ponieważ pastwił się niemiłosiernie nad swoją ofiarą publicznie w rewanżu wkleiłem scriny hejterskich wypowiedzi na stronie jego zakładu pracy i zapytałem dyrekcję, czy wie, kto ich reprezentuje w necie. Drugi, którego dopadłem, przyczepił się do mnie. Jak się potem okazało, pracował w Biurze Rzecznika... Znalazłem jego dziwne zdjęcia – tańczył na przykład na rurce, robiąc obłeśne miny – zadzwoniłem do biura i przekazałem sprawę szefostwu.

Z hejtem można wygrać?

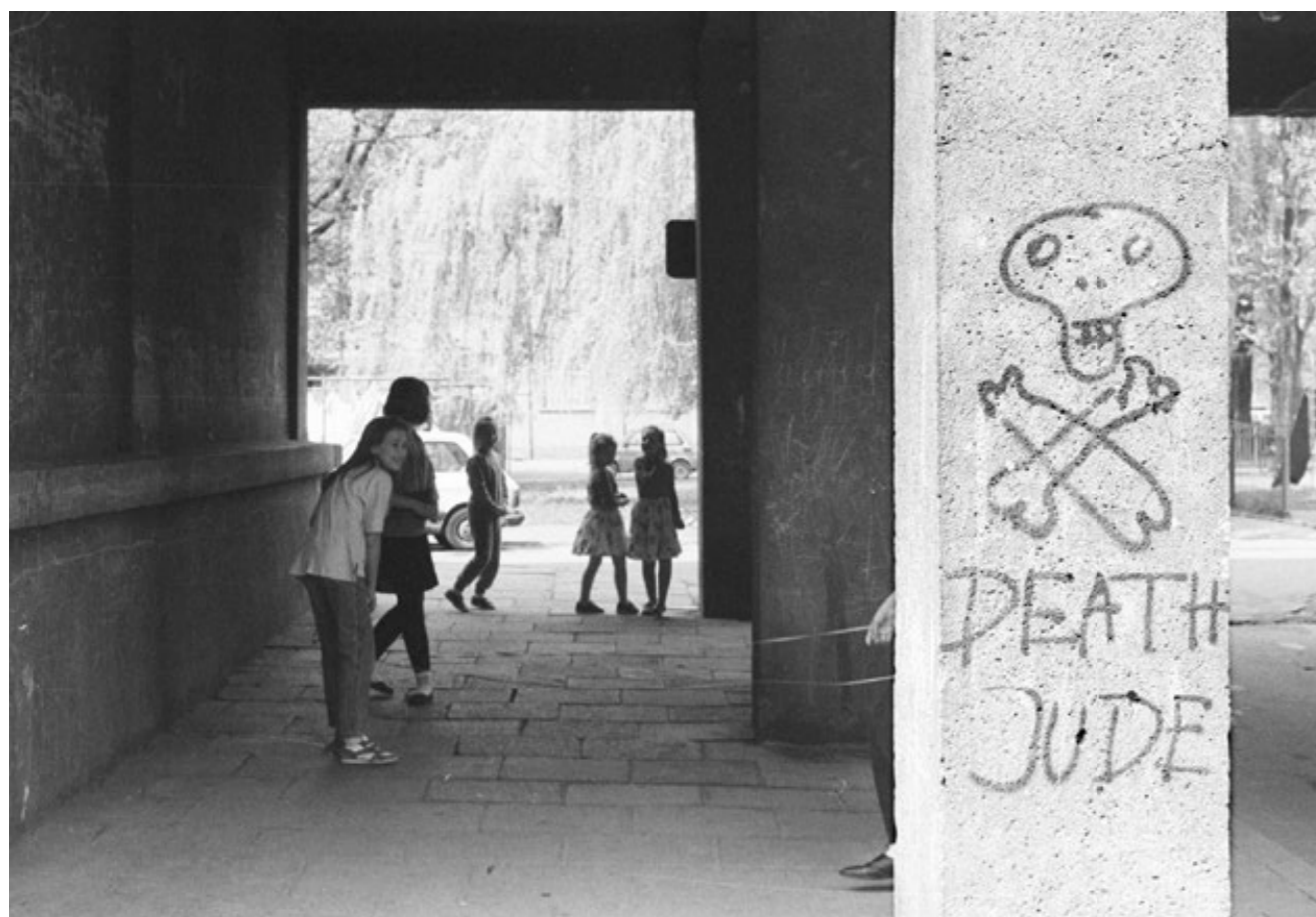
Facebook daje możliwość likwidacji kont o treściach faszystowskich czy pornograficznych, pozwala likwidować fałszywe profile. Trzeba powalczyć, aby móc zgłaszać także nienawistne komentarze. Konta, z których wypłynęły „trucizny” i fekalia słowne, powinny być blokowane czasowo, a recydywiści dożywotnio wymazywani...

Choć społeczeństwo jest podzielone, organizujesz Lekcje Śpiewania, które gromadzą na krakowskim Rynku wielkie tłumy ludzi o różnych poglądach. Jak to się udaje?

Najczęściej się nie lubimy. Walczymy, popychamy w tramwajach, wylewamy wiele agresji w polemikach na FB, ale ciągłe życie w napięciu powoduje, że od czasu do czasu ludzie, którzy się po prostu nie lubią, chcą coś zrobić razem. I formuła Lekcji Śpiewania, gdzie nie ma indoktrynacji ideologicznej, trafiła. A ma ona tak nastroić uczestników, by słysząc historie z przeszłości, nie popełniali tych samych błędów w przyszłości. I ten rodzaj lajtowej formy trybuna ludowego, którego odgrywam od lat – jakoś zdaje egzamin. Uczestnicy moich imprez bardzo się od siebie różnią, pochodzą często ze skrajnie odmiennych środowisk, o czym się dowiaduję w rozmowach po koncertach, a mimo to, stojąc obok siebie, każdy na swój sposób czci nasze święta państwowe i ważne rocznice. Śpiew jest jedyną znaną mi formą komunikacji międzyludzkiej, w której tysiące w tym samym momencie wyrażają tę samą emocję.

Kto przychodzi na Rynek?

Kiedyś przeważali starsi, ale od blisko 10 lat widzę ze sceny wszystkie pokolenia. Lekcja



Śpiewania to okazja do zlotów rodzinnych i spotkań towarzyskich. Tradycyjnie na Rynku pojawiają się mieszkańcy Gdańska, którym chce się jechać pociągiem wiele godzin do Krakowa, by zaśpiewać 25 piosenek. Parę lat temu z oficjalną wizytą przybył wiceprezydent Opola wraz z kilkoma autobusami mieszkańców. Podczas ostatniej Lekcji Kolędowania zebrali się krewni z podkrakowskich wsi, żeby się zobaczyć przed świętami. Przychodzą całe rodziny, bo rozumiały, że fajnie jest pośpiewać z dziadkiem na Rynku. Młodzi także uznali, że to ich impreza. W lipcu zadzwonił do mnie żołnierz i powiedział, że chciałby się oświadczyć podczas Lekcji. Kilka miesięcy później kompletnie zaskoczona dziewczyna ze sceny powiedziała TAK! Te spotkania to zestaw naprawczy polskiej duszy – po każdym koncercie jesteśmy chyba bardziej tolerancyjni, dumni, ofiarni i dobrzy. To również najszybsze i wiarygodne miejskie referendum. Ile razy coś mnie najdzie, pytam ludzi, czy mam rację. Kiedyś wkurzyły mnie bazgroły. – Czy tylko mnie to denerwuje? – zapytałem z estrady. 5000 tysięcy widzów podniosło rękę i tak powstał Pogromcy Bazgrołów, a potem inne miejskie projekty. Poza wszystkim... ten koncert wytwarza więzi i tworzy wspólnotę. W ciągu 14 lat w ponad 70 Lekcjach Śpiewania wzięło udział blisko pół miliona ludzi.

Czy po śmierci prezydenta Adamowicza z taką samą swobodą będziesz prowadził imprezy na Rynku?

Na pewno trzeba wprowadzić dodatkowe środki ostrożności. Kiedyś nie do pomyślenia było, żeby widz wskoczył na scenę. Teraz, w ramach rozpasania swobód obywatelskich, każdemu się wydaje, że może zrobić wszystko. **Ostatnio w szkołach odbywają się lekcje na temat zdarzeń w Gdańsku.**

To jest konieczne, ale nie przyniesie skutku. Życie wkrótce spłaszcy falę emocji. A dialog jest jedynym sposobem, aby zapobiec dalszemu rozbijaniu społeczeństwa. Współpraca w obrębie plemienia wymaga szacunku, bez tego nie da się nic zrobić, tymczasem nastąpiła erozja szacunku przez wzajemne dorzynanie się słowami. Ogromną rolę do odegrania ma Kościół, który nie wykorzystuje swoich możliwości. Niestety, częściej słyszę z ambonny przypowieści o Hiobie niż o hejcie. Tymczasem Kościół powinien uświadamiać wierzącym, że złowrogi napis w parafii, to powód do uruchomienia fali pomocowej pod hasłem „Pomóżmy Pani Zosi zamalować nienawistne słowa”. Odpowiedzialni za ład moralny nie mogą od tego nowego grzechu sprayowego odwracać głowy.

Jesteś znany z wielu akcji, których celem jest budowanie wspólnoty. Organizujesz popularne na Klinach pikniki sąsiedzkie, wprowadziłeś obyczaj rodzinnej nagrywania kolęd, zawiesiłeś z mieszkańcami 10 tysięcy budek lęgowych dla ptaków, odzyskałeś od władz Bawarii prawa do pieśni „Czer-

Życie wkrótce spłaszcy falę emocji. A dialog jest jedynym sposobem, aby zapobiec dalszemu rozbijaniu społeczeństwa. Współpraca w obrębie plemienia wymaga szacunku, bez tego nie da się nic zrobić

wone maki na Monte Cassino”, a ostatnio – wspólnie z Uniwersytetem Pedagogicznym – zaczęłeś nadawać certyfikaty kandydatom w wyborach samorządowych. Co Cię napędza do działania?

Jestem zadaniowcem. Patrę, jak się z czymś ludzie męczą, krew mnie zalewa i biorę się do tego. Mam koncepcję – ten to, tamten z tym, łączę wszystkie sznurki, o 3 rano strugam ludzi telefonem, aż doprowadzę projekt do końca.

A z zawodu kim jesteś?

Mam wiele umiejętności, choć brakuje w tym ciągu logicznego. Jako harcerz przez przypadek odkryłem, że jestem dobrym organizatorem. Bywałem oboźnym, szefem zastępu kwatermistrzowskiego, a na podwórku decydowałem, gdzie będziemy grać w zołkę... Byłem specjalistą ds. sportu, przewodnikiem PTTK, pocztowcem, radiowcem, prowadziłem audycję, która wykreowała moją przyszłą pracę w Bibliotece Polskiej Piosenki, przez wiele lat produkowałem meble, bywałem i bywam dyskdzokejem, a ostatnio prowadziłem miejskie sylwestry. Zostałem też obdarzony manualnie – prawie wszystko naprawię, zrobię, odnawiam przedmioty, spawam, lutuję, mogę ci nawet machnąć nagrobek, bo mam talenty kamieniarskie. W moim garażu dałem drugie życie wielu przedmiotom. Mam 25-letnią kosiarkę, która wygląda, jakby wczoraj była jeszcze w sklepie...

Za kogo się uważasz?

Kiedyś powiedziałem w żartach: jestem miotaczem idei. Wiem jedno, gdy ludzie spotykają na swojej drodze kogoś z pasją w sztytą pod skórę, dają się zarazić. Tak naprawdę chcą coś zrobić razem. Coś, co potwierdza ich udział w życiu osiedla, niedalekiej okolicy, państwa. Dlatego popularne są proste akcje w najbliższej przestrzeni. Potrzebny jest jednak katalizator, ktoś o uczciwych intencjach. Jeśli naprawdę zamierza coś zrobić, ludzie to wyczują. Nie chcą być manipulowani, służyć celom, które zostaną wykorzystane wyborczo albo dla kariery.



Jakub Ciećkiewicz – krakowski taksówkarz (nr boczny 256), fotograf (album *Światło Kraków*), autor reportaży penetrujących bezdroża Polski i Afryki („Polityka”, „Duży Format”, „Tygodnik Powszechny”).



Mieszkańskość, salony i sztuka

Rozmawiała Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Magdalena i Gawęł Kownacki, właściciele galerii F.A.I.T. i twórcy Krakowskiego Salonu Sztuki: Mieszkańskość Krakowa może pomóc współczesnej sztuce. Dlatego wprowadzamy ją na salony.

Magda Huzarska-Szumiec: Wyobraźmy sobie, że jestem początkującą kolekcjonerką i chciałabym zorientować się, co w Krakowie piszczy w sztuce. Pukam do drzwi waszej galerii F.A.I.T. i...

Gawęł Kownacki: Najpierw zapytamy, jaka sztuka cię interesuje? Czy ma to być malarstwo, rysunek, grafika, wideo? A potem będziemy grzebali w telefonie i zastanawiali się, do którego z artystów zadzwonić.

Magdalena Kownacka: Wyobrażenia o sztuce współczesnej są różne i upodobania są różne. Zazwyczaj ludzie, którzy rozpoczynają z nią przygodę, nie są świadomi tego, co chcieliby kolekcjonować. Staram się najpierw dowiedzieć, co potencjalny kolekcjoner naprawdę w sztuce lubi. Bo kolekcjonowanie trzeba zacząć od kupowania rzeczy, które sprawiają przyjemność, z którymi będzie się chciało przebywać. Ale ważne jest też naturalnie to, by była to wartościowa sztuka. Zawsze staramy się łączyć te dwa aspekty. A jeżeli jeszcze okaże się to dobrą inwestycją, to już jest naprawdę wspaniale.

Praktycznie wygląda to w ten sposób, że ludzie zaczynający budowanie kolekcji chodzą w towarzystwie osób profesjonalnie zajmujących się sztuką na wernisaże, do pracowni artystów, zawiązując relacje towarzyskie. I nie jest to bez znaczenia, bo pomaga lepiej rozumieć dzieła sztuki. To wszystko oczywiście wymaga czasu.

Gawęł Kownacki: W firmach, które zajmują się doradztwem finansowym i inwestycjami w sztukę, ważne są tabelki, wykresy, ceny, jakie dzieła uzyskują na aukcjach. Tam wszystko dzieje się szybko i jest sparametryzowane. My uważamy, że kolekcji nie buduje się w jeden dzień. W takich galeriach jak nasza jest to długofalowy proces, a kolekcjoner staje się częścią życia artystycznego.

Założmy, że jako kolekcjonerkę interesuje mnie współczesna sztuka krakowska. Co charakterystycznego dla niej możecie mi pokazać?

Gawęł Kownacki: Kraków stał i stoi malarstwem. Oczywiście jest tu również mnóstwo innych interesujących zjawisk, ale one również zazwyczaj są w jakiejś relacji do malarzkich sposobów budowania obrazu. Trudno rozróżnić obecnie w sztuce jakieś dominu-

jące nurty, bo żyjemy w czasach, w których wszystko się miesza, miksuje. Oczywiście, jeżeli ktoś sobie wymyśli, jak ja, że chce kolekcjonować krakowską abstrakcję, to ma w czym wybierać. Jeżeli interesuje go malarstwo figuratywne, to też znajdzie coś dla siebie. Interesujące są kolekcje oparte na innych mediach, na przykład wideo, ale niestety wciąż należą one do rzadkości.

Tę różnorodność było widać na Krakowskim Salonie Sztuki, który zorganizowaliście w zeszłym roku. Jakie były kryteria doboru prac, które z tej okazji znalazły się w Pałacu Sztuki?

Magdalena Kownacka: Bardzo subiektywne. Staraliśmy się wybierać prace oryginalne, o wysokich walorach artystycznych. Zależało nam jednak na pokazaniu różnorodności sztuki aktualnej. Dlatego na wystawie znalazły się prace zarówno bardziej tradycyjne,

Kolekcjonowanie trzeba zacząć od kupowania rzeczy, które sprawiają przyjemność, z którymi będzie chciało się przebywać. Ważne też, by była to wartościowa sztuka. A jeżeli jeszcze okaże się to dobrą inwestycją, to już jest wspaniale.

jak i te progresywne. Sami dokonywaliśmy selekcji. Zajmujemy się zawodowo współczesną sztuką od 15 lat, więc za pierwszym razem postanowiliśmy zaufać sobie i wziąć odpowiedzialność na własne barki. Jednak przygotowując kolejny Salon, który zaplanowany jest na listopad, zamierzamy poszerzyć grono selekcjonerów.

Gawęł Kownacki: Na ostatnim etapie musieliśmy dokonać trudnych dla nas wyborów i zrezygnować niekiedy z bardzo dobrych prac. A to dlatego, że chcieliśmy pokazać, że sztukę tworzą bardzo różni ludzie, w różnym wieku, nie zawsze po Akademii. Jeżeli ktoś nie został przyjęty na Salon, to wcale nie oznaczało, że jego prace były złe. Po prostu musieliśmy ograniczyć liczbę prac ze względu na pojemność budynku.

Gdy odbywał się Salon, tuż obok Pałacu Sztuki, w klubie Betel zawiązał się „Salon odrzuconych”.

Magdalena Kownacka: Bardzo nas to ucieszyło. Krakowski Salon Sztuki stworzyliśmy po to, żeby powstał ferment, żeby ludzie mogli się ze sobą spotkać, dyskutować, kłócić...

Gaweł Kownacki: To, że powstał „Salon odrzuconych”, jest prawidłową reakcją na powstanie Salonu. Gdyby nie powstał, musieliśmy go wymyślić.

Magdalena Kownacka: Mamy nadzieję, że dalej będzie się tak działo, i że w przyszłości będzie kilka takich „salonów odrzuconych”. Zresztą po wernisazu wszyscy skończyliśmy w Betelu, wspólnie pijąc wino i rozmawiając o sztuce.

Salon odbył się w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Czy było to świadome nawiązanie do tradycji?

Magdalena Kownacka: Tak, już w połowie XIX wieku Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych organizowało tego typu wydarzenia – czasem nazywano je wystawami powszechnymi, czasem salonami artystycznymi. Krakowianie chętnie je odwiedzali, szczególnie w okresie międzywojennym.

Ale później była długa przerwa. Spodziewaliście się, że powrót do historycznej formuły przyniesie aż taki sukces? W zeszłym roku Salon odwiedziło w ciągu zaledwie paru dni aż 5,5 tys. osób.

Magdalena Kownacka: Mówiąc nieskromnie mieliśmy taką nadzieję, a to dlatego, że zaczęliśmy od przeprowadzenia badań. Krakowski Salon Sztuki poprzedził projekt *Widok pu-*

ne, postanowiliśmy włożyć nowe elementy. Poza tym chcieliśmy stworzyć święto sztuki. Zawsze zazdrościłem znajomym aktorom, że mają festiwal Boska Komedja, na którym mogą się spotkać, podenerwować, czekając na to, kto wygra. Ale też mogą zobaczyć, co kto nowego zrobił przez ostatni rok. Sam prace wielu moich przyjaciół, którzy mieszkają po sąsiedzku, oglądam w internecie, bo pokazują je na wystawach w Hongkongu albo w Londynie. Teraz mogłem zobaczyć je w Pałacu Sztuki.

Magdalena Kownacka: Ale nie znalazły się tu dzieła tylko znanych nam osób. Pokazywaliśmy prace wielu artystów, o których istnieniu wcześniej nie mieliśmy pojęcia. Bo każdy mógł je przysłać. Nie wymagaliśmy formalnego wykształcenia, nie założyliśmy ograniczeń wiekowych. Nie był konieczny również opis kariery zawodowej w formularzu zgłoszeniowym. Tego rodzaju otwartość ośmieliła wiele osób i zgłoszenia były niezwykle różnorodne. Dzięki temu poznaliśmy też całkiem nieznaną nam dotąd artystki i nieznanymi artystów z miasta, o którym myśleliśmy, że wiemy o nim wszystko.

Gaweł Kownacki: Takie założenie wolnego naboru zmusiło nas też do zdefiniowania od nowa, czym jest tak zwana krakowskość w XXI wieku. Wszyscy się teraz przemieszczamy, więc pytanie, kim jest krakowski artysta czy krakowska artystka, jest całkiem zasadne. Poprzestaliśmy na tym, że jedynym kryterium krakowskości jest chęć identyfikowania się z tym miastem. Na nabór odpowiadały również osoby, które czują się związane z Krakowem, mimo że stąd wyjechały. Jak Maciek Toporowicz, który mieszka w Nowym Jorku. Było też wielu obcokrajowców, którzy obecnie żyją w Krakowie.

Na wystawie można było zobaczyć dzieła zupełnie nieznanymi osobami, jak i nazwiska z górnej półki, na przykład Wilhelma Sasnała.

Magdalena Kownacka: Wilhelm wziął udział w Salonie z prawdziwą przyjemnością. To był rodzaj gestu, deklaracji: jestem z wami i jestem częścią tego środowiska.

Gaweł Kownacki: To fantastycznie, że artyści, którzy osiągnęli sukces międzynarodowy, chcieli wziąć udział w tej wystawie wspólnie ze swoimi kolegami i koleżankami, często reprezentującymi inne poglądy na sztukę lub będącymi w innym punkcie kariery. Ta wystawa była wyrazem solidarności środowiska i chęci wspólnego działania mimo istniejących różnic i poglądów.

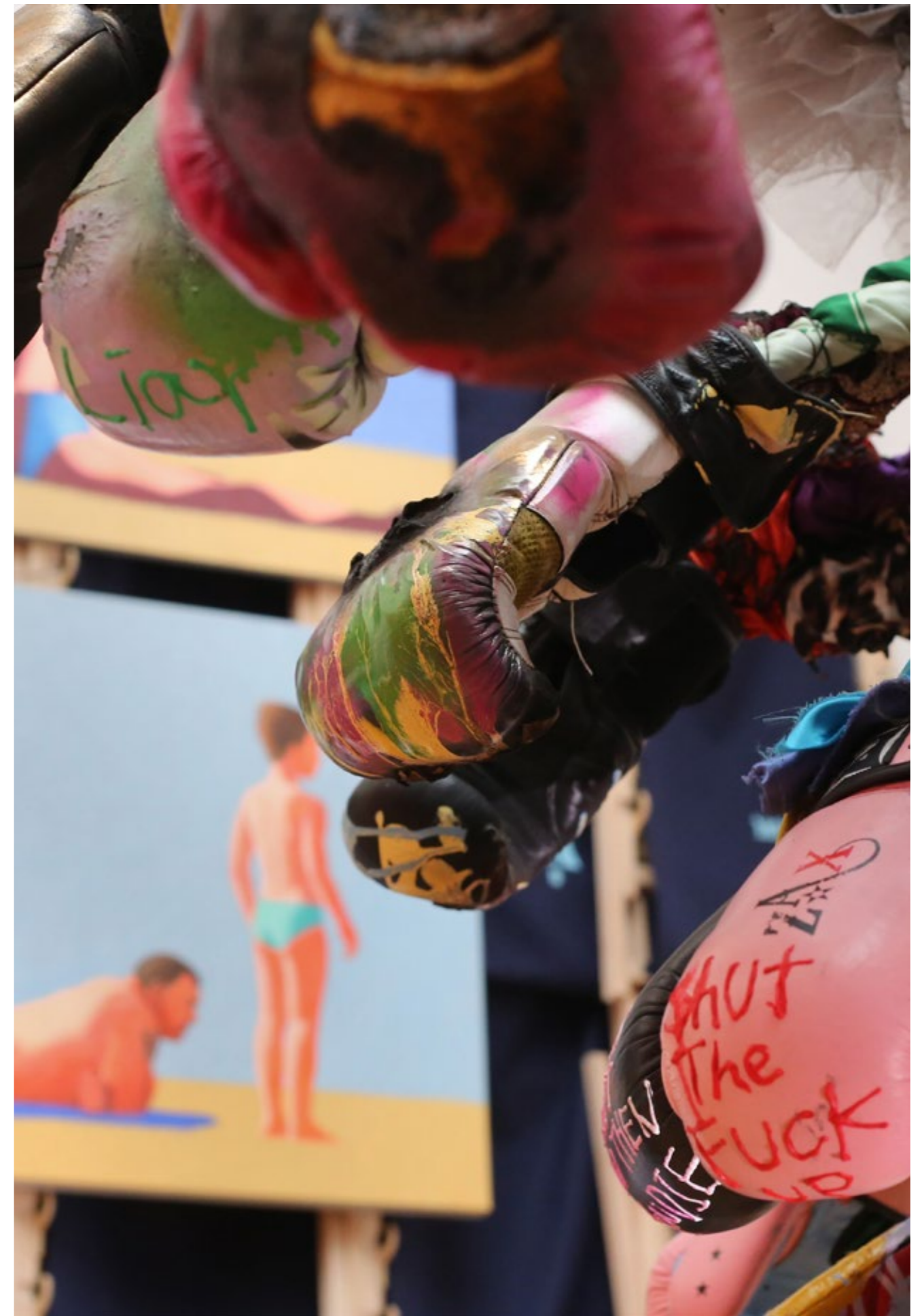
Dla mnie, jako tej potencjalnej kolekcjonerki, wiele mogło wynikać z pokonkursowej aukcji, organizowanej na zakończenie Salonu, ponieważ mogłam kupić interesujące mnie prace. Czy dużo kolekcjonerów się na niej pojawiło?

Magdalena Kownacka: Wiedzieliśmy, że nie będzie lekko. Kraków nie jest silnym ośrodkiem rynku sztuki. Ale aukcje będą tym elementem Salonu, który zamierzamy rozwijać.

Na Krakowskim Salonie Sztuki nie zobaczymy „kurzołapów” powyciąganych po latach zza szafy, ale najnowsze prace.

bliczny, organizowany przez Bunkier Sztuki i Krakowskie Biuro Festiwalowe. Byłam jedną z jego kuratorek. Miał on określić nową formułę prezentowania sztuki współczesnej w krakowskiej przestrzeni publicznej i zbadać oczekiwania odbiorców. Pracując w tak zarysowanych ramach, doszliśmy do przekonania, że w myśleniu o sztuce dzisiaj nie chodzi o jej realizację na placach publicznych, ale o to, w jaki sposób funkcjonuje w przestrzeni społecznej – czym jest sztuka tworzona aktualnie w Krakowie dla mieszkańców. Kraków ma specyfikę, o której zawsze krążyły legendy, a którą trudno było zdefiniować. Okazało się, że mieszczaństwo Krakowa tak naprawdą może być jego atutem. Przywołanie tradycyjnej formuły, która przez mieszkańców jest znana i lubiana, sprawiło, że ludzie zaczęli się interesować tym, co proponujemy.

Gaweł Kownacki: W stare pudełko salonu sztuki, które jest powszechnie akceptowa-



Kobiety częściej interesują się sztuką i chętniej uczestniczą w wydarzeniach artystycznych, ale rzadziej decydują się na kupno dzieł. Są bardziej pragmatyczne, wolą wydawać pieniądze na przykład na zagraniczne studia dzieci. Dlatego statystycznym kolekcjonerem jest częściej mężczyzna, zwłaszcza że mężczyźni łatwiej podejmują ryzyko i mają większą potrzebę tworzenia wokół siebie aury znawcy, a także prestiżu.

Chcemy w ten sposób uświadomić mieszkańcom, że kupując sztukę, stają się współtwórcami kultury i że ich aktywność jest ważna dla jej rozwoju.

Gaweł Kownacki: I to bardzo współczesnej kultury, ponieważ przyjęliśmy kryterium prezentowania w ramach Salonu jedynie prac, które powstały w danym roku. Na Krakowskim Salonie Sztuki nie zobaczymy „kurzołapów” powyciąganych po latach zza szafy, ale najnowsze prace. Dzięki temu kolekcjonerzy, jaki i krakowianie, będą mieli szansę dowiedzieć się, co nowego dzieje się w pracowniach artystów związanych z Krakowem.

A kim jest dzisiejszy kolekcjoner sztuki?

Magdalena Kownacka: Podczas panelu dyskusyjnego poświęconego kolekcjonerstwu, który odbył się w ramach Salonu, precyzyjnie określono profil dzisiejszego kolekcjonera. To mężczyzna między 40. a 55. rokiem życia, dobrze sytuowany, z ustabilizowanym życiem osobistym i zawodowym.

Dlaczego jest to mężczyzna?

Magdalena Kownacka: Podobno wynika to z tego, że kobiety są bardziej pragmatyczne, wolą wydawać pieniądze na przykład na zagraniczne studia dzieci. Poza tym mężczyźni podobno łatwiej podejmują ryzyko i mają większą potrzebę tworzenia wokół siebie aury znawcy, a także prestiżu. Kobiety ponoć częściej interesują się sztuką i chętniej uczestniczą w wydarzeniach artystycznych, ale rzadziej decydują się na kupno dzieł sztuki czy budowanie własnej kolekcji.

Grażyna Kulczyk jest wyjątkiem?

Gaweł Kownacki: Zwłaszcza że może prezentować swoją kolekcję w Szwajcarii. Nie każdego na to stać. Sztuka dla większości ludzi nie jest podstawową potrzebą. Każdy, kto zamierza ją kolekcjonować, musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy jest ona dla niego tak ważna, że chce wydać na nią ciężko zarobione pieniądze.

Jak się kształtują w Krakowie ceny współczesnych dzieł sztuki, na przykład w porównaniu z Warszawą?

Magdalena Kownacka: Trudno powiedzieć. Ceny na aukcji Salonu były niższe niż w galeriach, ale referencją dla nich był rynek galerijny. Zależy nam na tym, żeby przyzwyczaić ludzi do tego, że dobra współczesna sztuka nie jest tania. Działamy trochę na przekór odbywających się czasami tak zwanych aukcji młodej sztuki, które, według nas, psują rynek. I są wręcz szkodliwe. Domy aukcyjne zaczynają być aktywne na rynku pierwotnym, co nie jest ich domeną. Pomijają w ten sposób galerie, które są istotną częścią całego systemu sztuki i często latami wspierają poszczególnych artystów, intensywnie pracując na ich pozycję. Aukcje młodej sztuki przyzwyczajają też początkujących kolekcjonerów do tego, że obraz może kosztować 500 zł bez względu na jego artystyczną wartość.

Gaweł Kownacki: Takie aukcje odbywają się bez weryfikacji eksperckiej, bez poznania biografii artysty, jego drogi twórczej, tego, z jakimi galeriami współpracuje, jaki kurator zaprosił go na jaką wystawę. A te czynniki również składają się na to, kim jest artysta i przez jaki pryzmat ogląda się jego dzieła. To wszystko wpływa na kształtowanie się cen prac. Bo jest mnóstwo powodów, że jeden obraz kosztuje 5 tys. zł, a inny 50 tys. zł. I daję słowo, nie chodzi tu o cenę farb.

Magdalena Kownacka: W Krakowie jest mało komercyjnych galerii, które prowadzone są po to, by konsekwentnie pracować z artystami i handlować ich dziełami. Jesteśmy mekką małych, oddolnych inicjatyw, tworzonych często przez samych artystów, które pojawiają się i gasną co parę lat. Kraków jest zdominowany przez publiczne instytucje kultury, w których widzowie kupują bilet, oglądają wystawę i dzięki temu mają poczucie uczestniczenia w kulturze. Jest miastem instytucji i antykwariatów. Sztuka jest jednak zjawiskiem społecznym i na samych instytucjach oraz antykwariatach niczego żywego nie budujemy.

Gaweł Kownacki: Nam chodzi o inny rodzaj uczestnictwa. Warto spotkać się z żyjącymi i tworzącymi tu i teraz artystami i artystkami. Myślę, że Salon docenią przyszli kolekcjonerzy, którzy, na przykład, mają w domu sporo sztuki starej, XVIII-, XIX-wiecznej, odziedziczonej po babciach, dziadkach. Może przyjdzie im do głowy, że skoro ich przodkowie kupowali sztukę, która była wówczas współczesna, to i oni będą kontynuowali tę tradycję.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mar-ki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

ZAKOPANE



1 LIPCA - 15 WRZEŚNIA 2019
KULTURALNY PLAC NIEPODLEGŁOŚCI

19 LIPCA - 22 WRZEŚNIA 2019
GÓRY- MORZE - MORZE - GÓRY. MALARSTWO, RZEŻBA, OBIEKT, GRAFIKA
MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WŁ. HR. ZAMOYSKIEGO

24 LIPCA - 29 WRZEŚNIA 2019
LETNIE ZAKOPIAŃSKIE TARGI SZTUKI
MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WŁ. HR. ZAMOYSKIEGO

9 SIERPNI - 28 WRZEŚNIA 2019
WYSTAWA KONKURSOWA „MADONNY PODHALAŃSKIE”
CENTRUM KULTURY RODZIMEJ WILLA CZERWONY DWÓR

5-8 WRZEŚNIA 2019
15. SPOTKANIA Z FILMEM GÓRSKIM

7-14 WRZEŚNIA 2019
11. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI KAMERALNEJ „MUZYKA NA SZCZYTACH”

22-28 WRZEŚNIA 2019
9. ZAKOPIAŃSKIE PREZENTACJE ARTYSTYCZNE „PĘPEK ŚWIATA”
TEATR IM. ST. I. WITKIEWICZA

27 WRZEŚNIA - 20 PAŹDZIERNIKA 2019
2. OGÓLNOPOLSKI KONKURS MALARSKI „MOJE ZAKOPANE”.
MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WŁ. HR. ZAMOYSKIEGO

17-19 PAŹDZIERNIKA 2019
8. FESTIWAL „INSPIROWANE GÓRAMI...” IM. EWY I MACIEJA BERBEKÓW

ZAKOCHANE LATEM

ZAKOPANE.PL

Wolność słowa nie na pewno

Tekst: Jan Ordyński

A już się wydawało, że po 30 latach praktykowania w Polsce realnej demokracji, sprawa wolności słowa i jej znaczenia nie powinna budzić w nas żadnych wątpliwości i zastrzeżeń.

Na pierwszy rzut oka można śmiało powiedzieć, że cieszą się nią i praktykują właściwie wszyscy. Nie ma państwowej cenzury. Piszemy, czytamy, oglądamy i mówimy, co chcemy. Dziennikarze, pisarze, twórcy teatralni i filmowi powinni być pełni szczęścia. Dlaczego więc coraz częściej i głośniej – szczególnie w mijających czterech latach – w wielu środowiskach stawiane jest pytanie, co znaczy dziś wolność słowa oraz czy każdy może z niej korzystać i na jakich warunkach?

Środowisko dziennikarskie, przynajmniej jego część, do istotnych wątpliwości co do nieograniczonej wolności słowa mogą skłaniać – i to zasadnie – przeprowadzone przez tak zwaną dobrą zmianę czystki personalne i zmiany programowe w mediach publicznych. Ich skala może być porównywalna z tym, co stało się tuż po wprowadzeniu stanu wojennego. Z Telewizji Polskiej i Polskiego Radia – jak wynika z danych zebranych przez Towarzystwo Dziennikarskie – wyrzucono lub odeszło z własnej woli, bo nie chciały akceptować nowych porządków, około 200 osób. PiS-owskiej władzy zresztą bardzo spieszyło się z nałożeniem kagańca, a tym samym z ograniczeniem wolności słowa, na media nazywane publicznymi. Przecież jedną z pierwszych ustaw przyjętych jeszcze w grudniu 2015 roku, a więc zaraz po wyborach parlamentarnych, były przepisy umożliwiające ekipie Kaczyńskiego dokonanie błyskawicznych i gruntownych zmian we władzach TVP i Polskiego Radia. W ślad za nimi poszły wspomniane rugi personalne w zespołach redakcyjnych. Szczególnie radykalnie dotknęły one redakcje zajmujące się informacją i publicystyką polityczną. Właściwie żaden dziennikarz, który nie zgiął karku przed nowymi dysponentami, nie pozostał na swoim stanowisku. Efekty programowe i personalne przeprowadzonej wówczas operacji są teraz widoczne gołymi okiem i uchem.

Czy można też mówić o jaskrawym naruszeniu wolności słowa i pluralizmu opinii? Według mnie – bez wątplenia. A odbudowanie w przyszłości pozycji i prestiżu profesjonalnego mediów publicznych w Polsce będzie procesem długotrwałym i bardzo trudnym. O ile – po tak wielkich szkodach – w ogóle możliwym.

Bez wolności słowa nie można również w uczciwy sposób pisać i uczyć historii, wyciągać z niej wniosków, dyskutować o patriotyzmie. I czy właśnie nie po to, by tę wolność ograniczyć, podporządkować – choć nie nosząc tego słowa, to wydaje mi się ono akurat tu właściwe – „narracji” historycznej PiS i jego przywódcy – dokonano zamachu na Muzeum II Wojny Światowej, na teren Westerplatte czy na plac

Piłsudskiego w Warszawie. Temu niecnemu celowi na pewno też służy utrzymywanie przez ministra Glińskiego stanu tymczasowości w kierownictwie Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

Z podobnymi praktykami – i tu już bez najmniejszych wątpliwości ograniczającymi wolność słowa i jakość debaty publicznej – mamy do czynienia od czterech lat przy przyznawaniu przez tegoż ministra kultury dotacji dla czasopism społeczno-kulturalnych. Źle widziane przez Glińskiego nie mogą liczyć na wsparcie lub dostają skromną jałmużnę. Zamknięcie „Zeszytów Literackich”, założonych na początku lat 80. ubiegłego wieku, na emigracji w Paryżu i z sukcesem prowadzonych do końca 2018 roku przez Barbarę Toruńczyk, jest przykładem arbitralnej, tłumiącej pluralizm wypowiedzi polityki kulturalnej. To samo można powiedzieć o tym, co dotknęło niektóre teatry. Przecież tu też chodziło o nałożenie knebla niepokornym dyrektorom i zespołom.

I jeśli do tego dodamy jeszcze – fatalnie oceniane również przez niezależne organy międzynarodowe – agresywne i niszczące zdobyty prestiż działania wobec najważniejszych instytucji mających stać na straży demokracji i praworządności w Polsce, to musimy być w najwyższym stopniu zaniepokojeni przyszłością wolnego słowa w Polsce. Niestety!

Pozostaje pytanie, co w tej sytuacji robić? Bądźmy szczerzy. Na bunt społeczny nie ma co liczyć. Tak zwani zwykli ludzie są przede wszystkim zajęci swoimi podstawowymi problemami egzystencjalnymi. Wszystko więc w rękach, a przede wszystkim w postawach i charakterach elit, tak zniesławianych przez obecnych włodarzy Polski. Jeśli w większości sprostają one chwili, nie załamią rąk, nie zaczną się „urządzać” w miejscu, o którym wiele lat temu wspominał Kisiel, sprawa nie jest z góry przegrana.



Jan Ordyński jest dziennikarzem i publicystą. Pisał m.in. dla „Rzeczpospolitej” i „Polityki”, jest komentatorem „Przeglądu” oraz autorem książkowych rozmów z Mieczysławem Rakowskim (z Henrykiem Szlajferem) i Danielem Passentem. Pełni funkcję wiceprezesa Towarzystwa Dziennikarskiego.



Roman Banaszewski
Pejzaz zmilitaryzowany I, technika mieszna, 45 x 70 cm, 1965



Dwóch od duchów

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Maurizio Buscarino

Bosy chłopczyk czeka. W miękkim, postrzępionym kapelutku leśnego skrzata i przasnym giele koloru myszy – cały jest czekaniem cierpliwym. Który to już raz? Myślę, że nawet gdyby nie był zamarznięty na czarno-białej fotografii Maurizia Buscarina, nawet gdybym jego czekanie zobaczył na żywo – to samo bym dostrzegł. Nieludzko cierpliwą grudę kry o ludzkich kształtach. Od chwili, w której Maurice Maeterlinck ukończył *Śmierć Tintagileśa*, a raczej od dalekiego popołudnia, kiedy pierwszy raz wystawiono kruchą tę opowieść o końcu – wiele razy, w wielu teatrach chłopczyk trwał tak za kulisami, aby wejść na scenę i powtórzyć swój powrót do ciemnego zamku u podnóża gigantycznej góry doskonale obojętnej na jego rychłą śmierć, której nie da się już powstrzymać. Jak wiele figur przed nim i po nim, jak Antygona choćby, Hamlet, Raniewska i tyle, tyle inny teatralnych widm – Tintagiles nigdy nie istniał rzeczywiście. Był, jest, pozostanie – tylko słowami Maeterlincka, które w rojeniach czytającego je człowieka nabierają chłopięcych kształtów, całego kruchego ciała, zawsze niepowtarzalnego. Ten na fotografii Buscarina, ten w kapelutku leśnego skrzata, to chłopczyk ze snu Tadeusza Kantora, po wielu latach wyśniony drugi raz.

Jest rok 1987, Kantorowi zostały jeszcze tylko trzy lata istnienia. Wiele już wyznał. Wyznał prawie wszystko, co najistotniejsze – bezradność pamięci została już opowiedziana w *Umarłej klasie*, *Wielopolu*, *Wielopolu* i w *Niech szczerzą artyści*. Zostały mu jeszcze do wystukania tylko dwa ostatnie takty, dwie opowieści: *Nigdy tu już nie powrócę* oraz *Dziś są moje urodziny*, seans, którego nie zdąży ukończyć. Jest tedy czerwiec roku 1987. Podczas wystawy Documenta 8 w Kassel Kantor pokazuje swoją *Śmierć Tintagileśa* – ciotage *Maszyna miłości i śmierci*, opowieść o kapiącym czasie i wiadomym końcu. Powtórzy ją zaledwie kilka razy: w Mediolanie, Palermo, Helsinkach i Vaasa. W Mediolanie, może w Palermo – Buscarino wchodzi za kulisami, przystawia aparat fotograficzny do oka, zwalnia migawkę. Już może.

Wtedy już może, wtedy wolno mu nawet to – zamykać w prostokątach zdjęć zjawy Kantora, za kulisami czekające na powrót. Chyba tylko jemu wolno aż tyle. Odkąd zobaczył jego zdjęcia *Umarłej klasy*, robione w Mediolanie zimą roku 1978, Kantor ma pewność, że spotkał człowieka identycznie wyczułonego na istnienie widm zaludniających podszewkę widzialnego świata i czasem przyłazących z krótką wizytą na naszą stronę. Kiedy

w roku 1981 Buscarino układa fotograficzną książeczkę portretów *Umarłej klasy*, Kantor osobiście wybiera ze swych pism fragmenty dla każdego z czarno-białych prostokątów Buscarina i czyni we wstępie wyznanie zdumiewająco intymne. Komponuje prawie wiersz o niepowtarzalnej czułości fotografii, krótki poemat z takim epilogiem.

„A za tą paradą umarłego dzieciństwa/kroczy wiernie i nieustępliwie/Maurizio Buscarino,/pilny Badacz/tego tajemniczego i absolutnie niezdożytego Łądu –/Przeszłości.../dzieciństwa,/dokładny Anatom/po mistrzowsku umiejący odkrywać coraz głębsze

Przed rokiem 1973 Buscarino sporo już lat fotografował, lecz od chwili zdemowania na seansie *Min Fars Hus* wiedział już, że teatr – ten rytuał powtarzających się wciąż od nowa wizyt gości stamtąd – stanie się sednem jego spojrzeń przez okular aparatu.

pokłady tego/nie wiadomo czy organizmu ludzkiego/czy pejzażu, gdzie – jak na dawnych obrazach – cwałuje/śmierć, pośród jeźdźców Apokalipsy.../Buscarino to poeta,/który potrafi uśmierzyć to infernum/ludzkiem liryzmem i ludzką litością...”

Tamtej zimy roku 1978, zimy pierwszego spotkania z teatrem Kantora, do Buscarina, z widowni małej sali jakiejś mediolańskiej szkoły patrzącego przez aparat na wychodzące z kulis zjawy *Umarłej klasy*, zapewne wróciło wspomnienie roku 1973, kiedy przypadkiem trafił na spektakl Odin Teatret *Min Fars Hus*. Wróciło i powtórzyło się niegdyś zdumienie, że nie sztuka aktorska, nie scenografia i kostiumy, nie fabuła, idea, przesłanie dzieła są dlań najistotniejsze, nawet nie wzruszenie i zachwyt, lecz te zawrotne, lodowate ułamki sekund, kiedy z ciemności wyłaniają się dziwne figury, które przecież nigdy naprawdę nie istniały – wyłaniają się, by przez chwilę trwać w świetle, a później zniknąć i po dłuższym lub krótszym czasie zjawić się znów. Być może wtedy, gdy pierwszy raz fotografował *Umarłą klasę*, wróciło także wspomnienie jego osobistego źródła – odległy dzień, kiedy po śmierci ojca wszedł do jego gabinetu. Był chłopcem, pierwszy raz poczuł pustkę aż tak studzienną. Na biurku znalazł tajemnicze pudełko. Otworzył.



Maurizio Buscarino urodził się 7 maja 1944 r. w Bergamo; obecnie mieszka i pracuje w pobliskim Poscante (Zogno). Należy do najbardziej uznanych włoskich fotografów związanych ze światem teatru europejskiego, amerykańskiego i orientalnego. Dokumentował sztukę Tadeusza Kantora, Jerzego Grotowskiego, Eimuntasa Nekrošiusa, a także Odin Teatret, japońskiego teatru bunraku czy teatru tworzonego przez więźniów. Archiwum zdjęć Buscarina odzwierciedla imponujące dokonania teatru drugiej połowy XX wieku.

W 1973 roku Buscarino przypadkiem ogląda spektakl Odin Teatret *Min Fars Hus* – fascynują go wychodzące z cienia zjawy, osoby, aktorzy na scenie. Zaczyna fotografować spektakle i tworzyć okazałe archiwum teatru współczesnego.

W 1978 roku poznaje teatr Tadeusza Kantora i od tej pory towarzyszyć będzie artyście do ostatnich realizowanych przez niego spektakli. Podobny sposób pojmowania sztuki sprawia, że dokumentowanie Cricot 2 staje się główną częścią działalności fotograficznej Maurizia Buscarina.

Na temat fotografii Buscarina i jego związku z teatrem powstało wiele prac na uniwersytetach w Turynie, Bolonii, Florencji i Rzymie. Artysta od lat prowadzi seminarium fotografii scenicznej w Szkole Teatro alla Scala w Mediolanie.

Na dnie spoczywały chłodne, białe, lśniące prostokąty. Otworzył, lecz wychodząc – zapomniał zamknąć. Gdy wrócił na drugi dzień, zobaczył, że prostokąty zarośli się cyrkowymi esami-floresami w cudownych kolorach. Musiało stać się właśnie tak, chemia i fizyka mają swoje prawa. Po prostu – słoneczne światło zrobiło swoje. Ale on o tym jeszcze nie wiedział. Nie wiedział, że prostokąty to fotograficzny papier, czuły na jasność. Nie wiedział, więc zdumiał się, że ktoś zagadkowy, istniejący za plecami widzialnego świata – zostawił na lśniących kartkach ślady swojej wizyty, krągłe znaki, albo list skreślony falującymi hieroglifami niepojętego języka.

Przed rokiem 1973 Buscarino sporo już lat fotografował świat cały, lecz od chwili zdumienia na seansie *Min Fars Hus* wiedział już, że teatr – ten rytuał powtarzających się wciąż od nowa wizyt gości stamtąd – stanie się sednem jego spojrzeń przez okular aparatu. Dziś w swym kamiennym domostwie w Poscante, maleńkiej miejscowości w pobliżu rodzinnego Bergamo, przechowuje milion fotogramów. Jeśli mniej, to niewiele mniej. Milion śladów czasu przeszłego-dokonanego. Teatry amerykańskie, europejskie i Dalekiego Wschodu. Dzieła Jerzego Grotowskiego i Eugenio Barby. Prawie wszystkie ansamble Włoch. Opustoszałe gmachy teatralne prowincji pizańskiej, te niespiesznie zdychające gmachy, lata całe omijane przez widma. Kukiełki, marionetki i lalkarze w tradycji lombardzkiej, także japoński teatr Bunraku. I jeszcze lalkowe cuda sycylijskiej Opera dei Pupi, drewniane cudowna tych bardzo starych teatrzyków, którym stworzono w Palermo osobne Muzeum Marionetek i gdzie swoje miejsce znalazł tytułowy wehikuł umierania z Kantora seansu *Maszyna miłości i śmierci* – trzy drewniane, zmechanizowane Służące, których suchy klekot zgasi małego Tintagile-sa. Milion więc śladów, lecz prostokątne ślady po opowieściach Kantora – od *Umarłej klasy*, przez *Wielopole*, *Wielopole*, *Niech szczerzą artysty*, *Ślub w manierze konstruktywistycznej i surrealistycznej*, *Maszynę miłości i śmierci* i *Nigdy tu już nie powrócę*, aż po pożegnalne *Dziś są moje urodziny* – są osobne. Są powtórzeniem dotkliwym.

Powtórzenie. Od roku 1979 była to dla Kantora fundamentalna jakość, zasadniczy gest jego sztuki. Że realność może sensownie istnieć na scenie jedynie wtedy, kiedy zagrożona jest iluzją – to wiedział od zawsze. Ale w roku 1979 pojął, że iluzja, doszczętnie zbanalizowana trywialnym użyciem jej w teatrach konwencjonalnych, ma nieoczekiwaną głębię – stronę metafizyczną. „Tą metafizyczną stroną iluzji – wyznał sobie – niezauważoną dotychczas, jest POWTÓRZENIE. Niemal rytuał”. Nazwie powtórzenie – sednem sztuki. I wymieni kilka wariantów: echo, wkuwanie na pamięć, przedrzeźnianie i małpowanie, by w końcu dojść do wariantu zawrotnego. „Gdyby czas





Fotografia jest powtórzeniem krańcowym. Można ją powtórzyć, można ją klonować do woli, lecz nie ma to sensu – nie łagodzi to jej doskonałej samotności. Zdjęcie ściska czas – ostatecznie. Do zera.

ścisnąć – mielibyśmy powtarzanie doskonałe, nieskończone, przerażające, nieludzkie, bo nasz poczciwy, stary czas kalendarzowy, stosowany i przystosowany do naszego organizmu – nie byłby w stanie ochronić nas przed widokiem równocześnie: wieczności i pustki. Czyli śmierci”. Na wielu dokumentalnych filmach widać, jak Kantor obraca w niespokojnych palcach srebrny kieszonkowy zegarek na długim łańcuszku, jak delikatnie go ściska.

Cóż to było za ściśnięcie czasu, jakież było to powtórzenie, gdy zimą roku 1983 zawiózł do rodzinnego Wielopola i odegrał tam – przed ołtarzem parafialnego kościoła, na oczach starców i staruszek, którzy go pamiętali, kiedy był jeszcze mały niczym Tintagiles – odegrał seans, co miał jękający się tytuł *Wielopole, Wielopole*, seans-portret własnej jego ułomnej pamięci! Można by dla tamtego seansu, tamtego ściśniętego w kościele czasu, przywołać tytuł dziennika Eugène’a Ionesco, gdzie z każdą kolejną stronicą czas staje się coraz cieńszy: *Teraźniejszy przeszły, przeszły*

teraźniejszy. Przed rokiem 1938, po roku 1983 – wiele w teatrze Kantor rytuałów powtarzania, wiele mniejszych bądź większych scen jękających się, scen, z których każda jest niby echo samej siebie sprzed chwili. *Maszyna miłości i śmierci* z roku 1987 była przecież niedokładnym powrotem do *Śmierci Tintagilesa*, którą Kantor wystawił 49 lat wcześniej, jeden tylko raz, w swym Efemerycznym Teatrze Marionetek. Tak, niedokładny to powrót, lecz jednak trzy drewniane Służące, których suchy klekot zgasił Tintagilesa w roku 1987, były takie, jakby wyskoczyły wprost z projektów trzech Służących, które Kantor namalował w roku 1938. A co z powtórzeniem i fotografią? Ze zdjęciem i zegarkiem? Odpowiem pytaniami. Ile razy, mówiąc o swym teatrze pamięci, Kantor używał słów „Klisze Pamięci”? Ile razy wyznawał, że widma zaludniająca jego seanse – choćby *Wielopole, Wielopole* albo *Dziś są moje urodziny* – zlazły wprost z jego rzeczywistych zdjęć rodzinnych, wyblakłych, kruszejących?

Fotografia jest powtórzeniem krańcowym. Można ją powtórzyć, można ją klonować do woli, lecz nie ma to sensu – nie łagodzi to jej doskonałej samotności. Zdjęcie ściska czas – ostatecznie. Do zera. Dalej niepodobna pójść. W fotografii – czas ustaje, tykanie milknie, chwila zamarza bezpowrotnie. Na zdjęciu Buscarina Tintagiles może być tylko, więc jest tylko – grudą kry. Na barwnym bądź czar-



no-białym obrazku każda przeszłość skleja się z terażniejszością, w której ktoś patrzy na obrazek. Jak by nie było szczeliny pomiędzy „wtedy” a „teraz”. Ot, prostokątna ułuda wieczności. Z każdym ze 198 wielkich czarno-białych zdjęć, co składają się na otwartą w nowej Cricotece wystawę Maurizio Buscarina *Komedianci!* jest tak, jak by powstało w chwili, gdy Kantor na amen zgniata niespokojnymi palcami srebrny zegarek.

198 Buscarina zamrożonych krajobrazów widm. 198 czarno-białych portretów istot, których na świecie nigdy nie było rzeczywiście, a zawsze tylko poniekąd i jedynie przez chwilę krótką, w odrobinie światła, pomiędzy wyjściem z czerni kulis na rozświetloną scenę i zejściem z niej, by w czerni kulis znów czekać, aż wszystko się powtórzy. Czarno-białych? Żle powiedziane. W fotografiach Buscarina nie ma, prawie nie ma takich banalnych skrajności. Każdy jego krajobraz to nieruchome falowanie wszystkich odcieni szarości lub popiołu. Antyczne, greckie słowo „teatr” pochodzi od czasownika, który znaczy „widzieć”. Jeśli do prostokątów Buscarina podejść blisko, jeszcze bliżej, da się dostrzec ich ziarnistość. Ich piasek jak z wnętrza starych zegarów, zwanych klepsydrami.

Takie są boscie nogi, bajkowy kapelutek i biedne gieżło Tintagilesa, w 1987 roku zamrożonego za kulisami i na zdjęciu Buscarina. Piaskowe. Taka jest cała reszta tego

W fotografii – tykanie milknie, chwila zamarza bezpowrotnie.

krajobrazu, w którym skrapla się istota pozostałych 197 krajobrazów, a może też teatru pamięci Kantor. Piaskowo znikliwa.

Bosy chłopczyk czeka. Siedzi na sztucznym koniu, przytula policzek do jego grzywy z pakuł, obejmuje rękami jego od zawsze martwą szyję. W prawej kručzej dłoni niegroźny bat dziecięcy: patyk plus sznurek. Patrzy na ciebie. Cierpliwie czeka. Nie mruga. Czekaj, by wjechać na scenę. Który to już raz?

„Mój malutki Tintagilu!”, usłyszysz tam. I to: „A tyś bał się cieniów”. I jeszcze to: „Są chwile, w których przypominają się rzeczy niepojęte”. A później już tylko dźwięk, co zjawia się zawsze na końcu. Suchy klekot drewna.

Maurizio Buscarino, *Komedianci!*, od 7 września do 28 grudnia 2019 roku, Nowa Cricoteca, ul. Nadwiślańska 2-4, Kraków

Patronat: Instytut Włoski w Krakowie, patronat medialny: miesięcznik „Kraków”



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Prawdy i niedosłowności

Tekst: Paweł Kopeć Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

S cena pierwsza: niewielka miejscowość gdzieś na Kujawach, zima 1944 roku. 12-letni chłopiec niesie do oddalonego od miasteczka domu świeżo upieczony bochenek chleba, rarytas w tych trudnych czasach. Po drodze mijają unieruchomiony niemiecki wóz pancerny, stojący na uboczu – armia hitlerowska wycofuje się właśnie przed nadciągającymi Rosjanami. Czując zapach chleba, żołnierz naprawiający wóz podchodzi do chłopca i odrywa sobie pół bochenka, mówiąc coś po niemiecku. Dopiero po latach chłopiec dowie się, że słowa te brzmiały „Przepraszam, jestem głodny”. Chłopiec w domu dostaje od matki w skórę, nie żywi jednak urazy do żołnierza. Nazajutrz przez miejscowość przetacza się armia rosyjska. Chłopiec widzi na polu wywrócony wóz bojowy. W niewielkiej odległości na śniegu widnieje wielka plama krwi i zmiążdżone ludzkie szczątki. Chłopiec wie doskonale, kogo widzi. Odwraca wzrok.

Takie wspomnienie przywołuje prof. Roman Banaszewski, kiedy pytam o anonimowe postaci i twarze, które stanowią element charakterystyczny jego obrazów. Opowiada mi o swoim sporze z Józefem Szajną, który w swoich pracach wprost odnosił się do doświadczeń wojennych. – Ja tak malować bym nie potrafił. Staram się unikać dosłowności. Szukam prawdy, która jest dla mnie największą wartością – przekonuje.

Punktem centralnym twórczości Banaszewskiego jest człowiek: twarz albo sylwetka. Surowy, wydobyty z ciemnych barw rysunek to domena artysty, w której osiągnął prawdziwe mistrzostwo. – Portrety Romana Banaszewskiego to analiza psychologiczna opierająca się na twarzach postaci, ich spojrzeniu i mimice. Przedstawione przez malarza sylwetki wyłaniają się z abstrakcyjnej

go tła, powodując ich odrealnienie. Tworzą tym samym pewne typy ludzkie – opowiada o twórczości profesora kurator Julia Stefańczyk z Galerii Sztuki Attis.

O tym, jak ważna jest dla Banaszewskiego forma portretu, najlepiej świadczą jego szkicowniki: przez lata zgromadził dziesiątki opasłych albumów, wypełnionych setkami rysunków, które wykonuje z pamięci.

„Portrety Romana Banaszewskiego to analiza psychologiczna opierająca się na twarzach postaci, ich spojrzeniu i mimice. Przedstawione przez malarza sylwetki wyłaniają się z abstrakcyjnego tła, powodując ich odrealnienie. Tworzą tym samym pewne typy ludzkie”.

Julia Stefańczyk, Galeria Sztuki Attis

– Dostrzegam interesującą mnie twarz, odtwarzam ją i przerabiam dziesiątki razy, aż dotrę do sedna, nieraz dosłownie do kości tego, co mnie zainteresowało – tłumaczy swój sposób działania. I żartem dodaje: – Często słyszę też pytanie, dlaczego maluję głównie ładne, młode osoby. Odpowiedź jest prosta: brzydkie nie sprzedają się tak dobrze.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na poniewierce, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.

Roman Banaszewski urodził się w 1932 roku w Janikowie. Studiował malarstwo i grafikę w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom uzyskał w pracowni litografii prof. Konrada Szrednickiego i w pracowni plakatu u Macieja Makarewicza. W 1961 roku zaczął pracę dydaktyczną na Politechnice Krakowskiej, ale 8 lat później wrócił do macierzystej uczelni, by prowadzić zajęcia na Wydziale Form Przemysłowych. Przez lata kierował pracownią Projektowania Grafiki, Książki i Typografii. W 1987 roku otrzymał tytuł profesora.

Został uhonorowany „Złotym Laurem” za mistrzostwo w sztuce, Krzyżem Kawalerskim, Odznaką *Honoris Gratia* oraz brązowym medalem „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*”.

Stale współpracuje z galeriami w Niemczech i Stanach Zjednoczonych, a jego prace znajdują się w zbiorach m.in. Muzeum Narodowego w Warszawie, Poznaniu i Krakowie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Miejskiego w Tokio, Galerii Sztuki w Oslo, Pratt Institute w Nowym Jorku, Gabinetie Grafiki w Genewie, Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie oraz kolekcji Nowej Darmstadzkiej Secesji w Darmstadt.

KWESTIONARIUSZ PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Roman Banaszewski

Kwestionariusz Prousta po krakowsku to zestaw kilkunastu pytań, które ponoć szybko pokazują osobowość ankietowanego. Proust miał taki w tym udział, że dwukrotnie odpowiadał na pytania swojej znajomej. Czasami ta salonowa psychozabawa z przełomu wieku XIX i XX wraca.

Główna cecha charakteru?

Trudny.

Co cenię sobie najbardziej u przyjaciół?

Lojalność. Otwartą głowę. Chociaż, jak to bodaj Einstein powiedział, nie na tyle otwartą, ażeby mózg się nie wylał.

Główna wada?

Nadmierna samokrytyczność.

Ulubione zajęcie?

Twórczość oczywiście.

Co to znaczy doskonałe szczęście?

Jest to coś tak subiektywnego i ulotnego, że nie sposób wskazać jednej rzeczy. W tej chwili szczęście to grono przyjaciół, z którymi mogę się niemal codziennie spotkać i wspólnie wypić kawę. Wszyscy jesteśmy w wieku, w którym nic nie musimy nikomu udowadniać, za nikim gonić, niczego nie musimy załatwiać. Określiłbym to jako formę wolności. Jestem też szczęśliwy w rodzinie – jako ojciec, dziadek i mąż.

Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim teraz jestem?

W młodości miałem podręcznikowe zdrowie. Zawsze zazdrościłem koledze, który był pilotem. Któregoś roku pojawił się u mnie problem z uchem – zacząłem słyszeć szum. Lekarz powiedział mi: generalnie wszystko jest w porządku, ale pilotem odrzutowca już nie zostaniesz. Strasznie to przeżyłem (śmiech).

Słowa, których nadużywam?

Przeważnie te brzydkie.

Ulubiony pisarz?

Tadeusz Nowak. W literaturze najwyżej cenię autentyczność. Zawsze interesuję się sylwetkami autorów, których czytam, dlatego ważna jest dla mnie zbieżność, adekwatność pisarza i jego twórczości.

Ulubiony malarz?

Jest oczywiście mnóstwo twórców, których cenię wysoko. Jednocześnie jednak staram się odsuwać inspiracje cudzą sztuką. Od samego początku, od lat 50., 60. ubiegłego wieku zawsze szukałem włas-

nej drogi – nie chciałem oglądać się na to, jak malują inni.

Czego najbardziej nie mogę znieść?

Obłudy. Oprócz tego – niesmacznych potraw.

Błędy, które najczęściej wybaczam?

Pamiętając, że nikt nie jest wolny od błędów, wybaczam je innym, kiedy zastanowię się nad sytuacją i ocenę, jak sam zachowałbym się w danym momencie.

Ulubione słowo, znieawidzone słowo?

Nie potrafiłbym wskazać ani ulubionego, ani znieawidzonego. Wszystko zależy od kontekstu. W ten sposób znieawidzę każde słowo, które zawiera w sobie oczywiste kłamstwo, i pokocham każde, które wyrażać będzie prawdę.

Ulubiony kolor?

Nie korzystam z całej palety barw, dominują szarości. Jest to w pierwszej kolejności decyzja formalna, jednak czuję się dobrze w ciemniejszych barwach. To powiedziawszy: wolę blondynki, ale podobają mi się też brunetki i rude.

Talent, który chciałbym mieć, a nie udało mi się go osiąść?

Zawsze chciałem nauczyć się grać na jakimś instrumencie.

Co byłoby dla mnie największym nieszczęściem?

Taki był ubiegły rok, ze względu na problemy zdrowotne, które uniemożliwiły mi pracę twórczą. Istnieje ewentualność, że nie będę mógł do niej powrócić.

Kiedy słyszę „Kraków”, myślę:

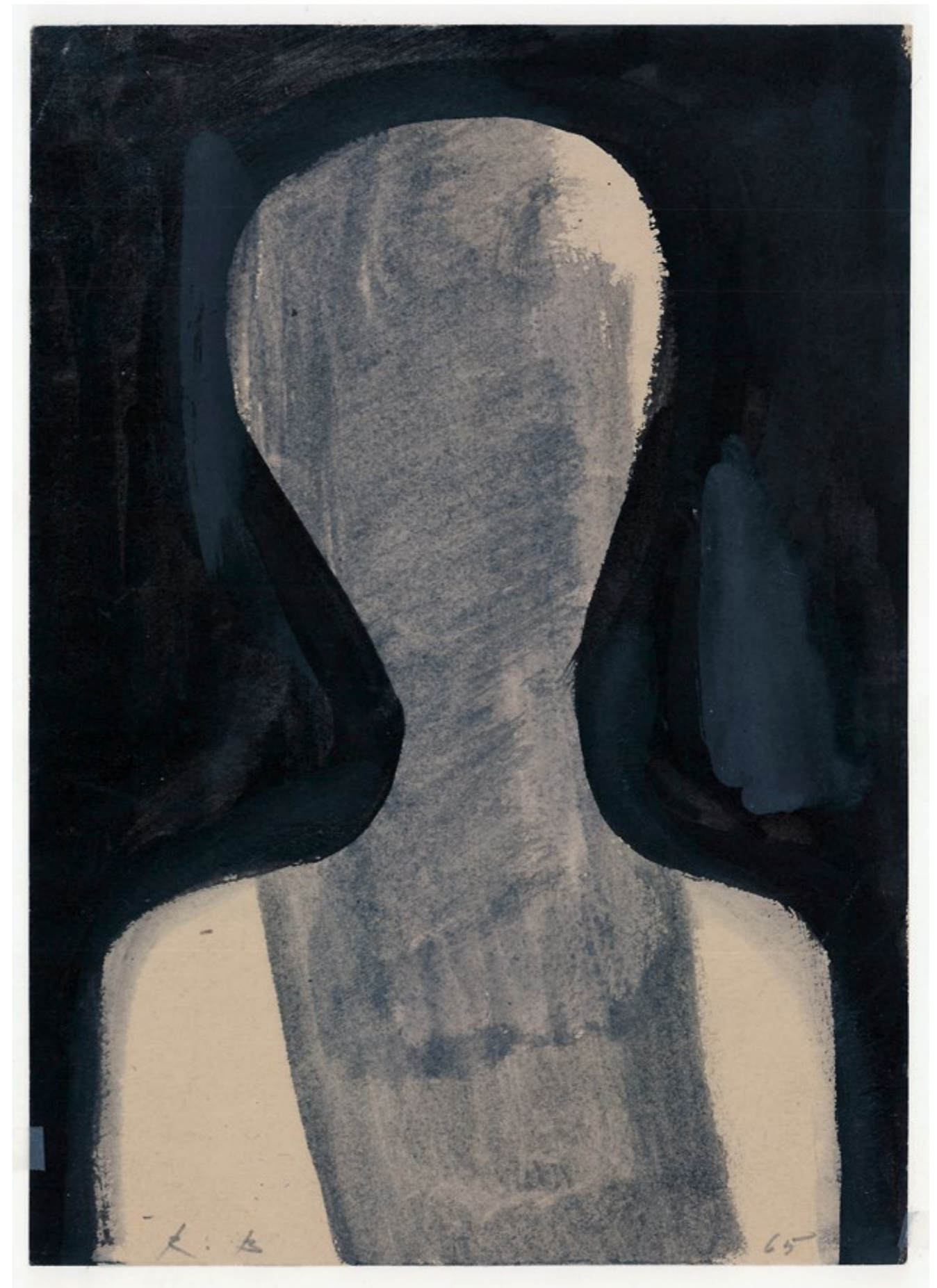
Najkulturalniejsze miasto świata. A tymczasem znalazłem się tu trochę z przypadku, przyjechałem tu za dziewczyną, w której byłem zakochany w liceum (śmiech).

Moje artystyczne motto?

Być najpierw i w pierwszej kolejności rzetelnym.

Mój obecny stan umysłu?

Jeszcze wiem, co robię, jeszcze mam marzenia, nawet jeżeli różnią się one mocno od młodzieńczych marzeń. Czuję, że mam jeszcze czas i chcę go jak najlepiej wykorzystać.



Roman Banaszewski
Postać anonimowa, technika mieszana, 21 x 30 cm, 1965



Zaczęło się w Krakowie. Pierwsze lata konspiracji

Tekst: Krzysztof Burnetko

Był 20 września 1939 roku. Ledwie dwa tygodnie po wkroczeniu do Krakowa hitlerowców trzej oficerowie Wojska Polskiego ppłk Kazimierz Pluta-Czachowski, mjr Kazimierz Kierzkowski i płk Ludwik Muzyczka powołują tu pierwszą ogólnopolską formację konspiracyjną. Nadają jej nazwę Organizacja Orła Białego. Bazą mają być członkowie przedwojennego Przystosowania Wojskowego Związku Strzeleckiego. Centrala mieścić się ma w Krakowie, lecz zasięg działania obejmować cały kraj. Wprawdzie w kwietniu 1940 roku Organizacja Orła Białego została scalona ze Związkiem Walki Zbrojnej (który potem przemianowano na Armię Krajową), ale do tej pory jej członkowie zdolali już stworzyć struktury i opracować metody rozmaitych form oporu: wywiadu i kontrwywiadu, działań dywersyjno-sabotażowych oraz działalności przerzutowo-kurierskiej.

Konspiracja w mieście, które na dodatek zostało ogłoszone stolicą Generalnego Gubernatorstwa, musiała mieć swoją specyfikę. Nie mogła się udać, po pierwsze, bez wsparcia mieszkańców. Ale znaczenie miało też umiejętne wykorzystanie infrastruktury miejskiej: lokali, siedzib firm, sekretnych przejść między kamienicami itp.

Stąd też wziął się pomysł na opowiedzenie o początkach Polskiego Państwa Podziemnego w Krakowie poprzez pokazanie miejsc szczególnie ważnych dla budowania tutejszego oporu, a dopiero poprzez nie o ludziach zaangażowanych w konspirację. Zwłaszcza że i miejsca, i ludzie musieli przyjąć podwójną rolę. Dostojne kamienice śródmieścia i małe domki na peryferiach, a także choćby sklepy, warsztaty rzemieślnicze czy obiekty miejskie pełniąc dotychczasowe, użyteczne role, często stawały się równocześnie ośrodkami aktyw-

ności podziemnej. Podobnie konspiratorzy: knuli przeciwko okupantowi, ale równocześnie na co dzień musieli żyć i pracować w rzeczywistości przez niego tworzonej jako urzędnicy, robotnicy itp. I każdy z tych życiorysów – oficjalny i nielegalny – był równie istotny.

W ramach przygotowanego przez Muzeum Armii Krajowej przedsięwzięcia na placu Matejki stanął pawilon, w którym wyświetlane są archiwalne filmy i animacje, komentowane muzyką i innymi nagraniami z czasów wojny oraz zrealizowanymi wspólnie (m.in. z wykorzystaniem wspomnień świadków) słuchowiskami historycznymi. Elementem ekspozycji jest również komiks o początkach konspiracji w Krakowie – także oparty na cytatach ze źródeł historycznych (relacjach, dokumentach czy dzienni-

kach). Można nadto odbyć spacer po mieście szlakiem miejsc związanych z narodzinami ruchu oporu. W każdym z nich w czasie wystawy zainstalowane są tak zwane ekspozytory uzupełniające faktografię i ikonografię wraz z kodami QR odsyłającymi do podstrony internetowej Muzeum AK. Pokazywane są między innymi zdjęcia okolicy z okresu zbliżonego do czasu okupacji oraz informacje o prowadzonej tam działalności i jej uczestnikach.

Zaczęło się w Krakowie. Pierwsze lata konspiracji (wystawa plenerowa połączona z wydarzeniem multimedialnym oraz trasą historyczną), plac Matejki (oraz miejsca związane z ruchem oporu), od 1 do 29 września 2019 roku.

Miejsca oporu, ludzie podziemia

Krzysztof Burnetko: Stereotyp polskiego ruchu oporu sprowadza się, z jednej strony, do potyczek partyzantów kryjących się po lasach oraz, z drugiej, do akcji miejskich – głównie przeprowadzanych w Warszawie, ze zwieńczeniem w postaci powstania warszawskiego. Tymczasem konspiracja w Krakowie miała swoją specyfikę. Wynikała ona choćby z tego, że miasto zostało ogłoszone stolicą Generalnej Guberni i odsetek Niemcy bądź volksdeutschów wśród mieszkańców sięgnął 33 proc. Wystawa dotyczy początków konspiracji, ale może już wtedy widać było tę szczególną sytuację miasta? Czy – i jak – wystawa się do tego odnosi?

Piotr Makuła (kustosz wystawy): Tak, oczywiście, specyficzny klimat Krakowa – stolicy Generalnego Gubernatorstwa, rojącego się od Niemców, konfidentów, widać było w zasadzie od samego początku. To na pewno wpływało na ustawiczne poczucie zagrożenia konspiratorów. Trzeba było działać ze zdwojoną uwagą. Każdy błąd był niewybaczalny, każdy mógł nieść śmiertelnie poważne skutki. Należy przy tym pamiętać, że w początkowym okresie konspiracji nie istniały jeszcze oddziały partyzanckie, do których w późniejszym czasie można było przerzucać „spalonych” ludzi w konspiracji miejskiej. Ratunkiem była zatem jedynie ucieczka do któregoś z miast Generalnego Gubernatorstwa lub ukrycie się gdzieś na głębokiej prowincji. Tak można było przeciekać „gorący” okres i przejść do dalszej pracy. Łączyło się to oczywiście ze zmianą tożsamości, a sprawność tych działań zależała bezpośrednio od ofiarności i pomysłowości wielu

Polaków. Konspiracja w mieście miała szczególnie dramatyczny charakter – zagrożenie nierzadko było niewidoczne do ostatniej chwili – zwykle dostrzegano je dopiero w momencie aresztowania, podczas zasadzki urządzonej przez policję niemiecką w mieszkaniach, podczas tak zwanych kotłów.

W opowiadaniu o polskim ruchu oporu dominuje nadto nacisk na jego czysto militarny wymiar. Dywersja i sabotaż. Tymczasem fenomenem jest co innego – Polskie Państwo Podziemne, a więc choćby całkiem gęsta sieć szkolnictwa. A to było dzieło głównie cywili. W jakim stopniu ta siła cywilnego właśnie oporu była widoczna w prezentowanym na wystawie pierwszym okresie krakowskiej konspiracji?

Temat tajnego nauczania to osobna kwestia i w dodatku bardzo trudna do przekazania w atrakcyjny i jednocześnie zrozumiały sposób na wystawie. Planujemy, aby w przyszłości podjąć ten aspekt konspiracji w Krakowie. **Wreszcie kwestia niby formalna, ale równie zasadnicza: jaki jest wasz pomysł na zainteresowanie takim właśnie, już przecież odległym, a i uchodzącym za szkolną sztapkę, rozdziałem historii Polski? Multimedia już raczej nie wystarczą...**

Nasz pomysł zasada się na jednym: zaprezentować konkretne wydarzenia historyczne w miejscach, gdzie się odbywały. Chcemy dotrzeć głównie do młodych ludzi. Wiemy, że w większości nie znają oni losów konspiracji krakowskiej, a szczególnie jej początków. Dlatego jako dominującą formę przekazu wybraliśmy komiks.



www.WidziszTo.com/Studio Punkt Widzenia – relacja z koncertu muzyczno-transmedialnego z udziałem Józefa Skrzeka i Czesława T. Minkusa

Tajemnice wszechświata

Tekst: Ewa Kozakiewicz

Uczestnicy 45. Zjazdu Fizyków Polskich nie będą w Krakowie słuchać byle szansonistek! Wybitni naukowcy (oraz oczywiście wszyscy chętni) obejrzą w Auditorium Maximum UJ widowisko muzyczne *Na styku dwóch nieskończoności*. Więcej, to fizycy z tytułami profesorskimi sami stworzyli scenariusz wydarzenia, w którym przenoszą widzów koncertu do krainy kosmicznej, gdzie główne role grają tylko lata świetlne i pył gwiazdny...

Big Bang to nie napad na bank, ale Wielki Wybuch, po którym powstał nasz Wszechświat około 13,8 miliarda lat temu – mówi prof. dr hab. Adam Maj, fizyk jądrowy z IFJ PAN w Krakowie, pomysłodawca i reżyser transmedialnego przedsięwzięcia. – Tuż przed Wielkim Wybuchem cały nasz Wszechświat był punktem, taką osobliwością w czasie i przestrzeni. Istnieją różne koncepcje kosmologiczne próbujące wyjaśnić, co było przed nim... Jedną jest tak zwany Wszechświat Bąbelkowy (Bubble Universe) – wyjaśnia. Jak opowiedzieć choćby w skrócie historię ewolucji wszechświata? W jaką formułę artystyczną można ją włożyć?

To musi robić wrażenie, bo jakżeby inaczej, kiedy na zmysły widza zadziałają rozedrgane obrazy filmowe, specjalne efekty świetlne, multiplikowane głosy zza kadru, kakofonia dźwięków elektronicznych trąbki Czeta Minkusa i patetyczny śpiew Chóru Adama

Korzeniowskiego *Tysiące planet...* Reflektory najpierw może oślepią widownię, ale po orgii obrazów i dźwięków muzyka złagodnieje, stanie się harmoniczna i cichsza. „Nieskończenie wielki kosmos i nieskończenie mały świat atomów i cząstek elementarnych. A na styku tych dwóch nieskończoności żyjemy, my ludzie” – to fragment narracji dr hab. Jerzego Grębosza. Całość zwieńczy suita Józefa Skrzeka *Children of the stars*.

Można się tylko cieszyć, że tak niezwykle zapewne widowisko ma prawykonanie w Krakowie.

Na styku dwóch nieskończoności (muzyka: Józef Skrzek, koncepcja i reżyseria: Adam Maj, narracja filmowa: Jerzy Grębosz), 15 września 2019 roku, godz. 20.00, Auditorium Maximum UJ, ul. Krupnicza 33

Przed spektaklem wykład wygłosi ks. prof. Michał Heller.



Roman Banaszewski
W kręgu, ołówek, 29 x 42 cm, 1982



Kawiarniana *silva rerum*

Tekst: Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Gazetki wydawane w kultowych knajpkach Krakowa: w drink barze Vis à Vis na Rynku Głównym i w Rio przy ulicy św. Jana są w Polsce ewenementem.

To lektura, od której trudno się oderwać, szczególnie jeśli jest się bywalcem tych przybytków. A do tych miejsc przychodzi cały Kraków. Artystyczny.

Wysiadywanie w knajpkach jest wszak przypadłością krakowską, z której śmieją się szczególnie warszawiacy wywodzący się z... Krakowa. Maciej Stuhr, obecnie warszawiak, napisał o tym skecz będący swego czasu przebojem YouTube.

– Siedzimy! Nic się nie dzieje! – relacjonuje przez telefon jeden koleś drugiemu. – Piwko se pijemy! Nuda! Nic się nie dzieje! Cały czas gadamy! O czym? O niczym! Ale przyjemnie jest!

Andrzej Sikorowski mówi, że to rytuał krakowski. – To, że akurat lubię tam przychodzić, wynika z chemii miejsca; jestem krakusem z dziada pradziada, a Rynek Główny to część mojego życia, tu czuję się u siebie – mówi. – Kiedy mam czas, lubię posiedzieć w „Zwisie” w południe, wypić herbatę z sokiem malinowym, zjeść obwarzanka i popatrzeć na Rynek – opowiada Sikorowski.

Z tego wysiadywania w „Zwisie” oprócz piosenek powstają felietony w stałej rubryce „Okno na Planty”, gazetki kawiarnianej „Vis à Vis”.

Zabawa

Podobnie jak Piotr Skrzynecki, który myślał, że zakładany przez niego w piwnicy kabaret przetrwa rok, może dwa, Bogusław Kucharek, emerytowany nauczyciel geografii, entuzjasta górskich wędrówek i były działacz studencki, kiedy porywał się na wydawanie gazetki „Vis à Vis”, myślał, że będzie to zabawa na chwilę, no, może rok... Wspierał go w tym nieżyjący już Adam „Bobs” Marczek i w kwietniu 2007 roku wydali jednokartkowy, w formacie A-4, pierwszy numer.

Gazeta „Vis à Vis” wydawana jest co miesiąc już jedenaście lat, a w dziesięciolecie jej istnienia Kucharek otrzymał z rąk prezydenta Jacka Majchrowskiego medal *Honoris Gratia*. Gazeta ma formę papierową (nakład 150 egz.), jest prenumerowana nie tylko

przez wybitne osobistości, ale zwykłych fanów mieszkających w Białymstoku, Gdańsku czy też Melbourne i Chicago. Formę elektroniczną rozpowszechniają i prowadzą jej archiwum entuzjaści z Grodziska Mazowieckiego! (www.visavis.altavista.org).

We wstępniku pierwszego numeru nie było zadęcia. „Całkiem »Zwisowe« pismo »Vis à vis« tylko nasze... tylko dla i tylko o ludziach związanych z tym magicznym czasem wspólnych przeżyć... rozmów, uśmiechów”. Redaktorzy namawiali do współpracy: „Kochani, liczymy na waszą pomoc! Notujcie w głowach anegdoty, piszcie wiersze i opowiadania. (...) Mamy nadzieję, że włączycie się do zabawy”.

No i udało się! W pierwszym numerze pojawił się tekst Andrzeja Warchała *Zagęszczenie*, wiersze Andrzeja Warzechy, Adama Marczka, Ryszarda Szocińskiego i Marka Wawrzyńskiego, barmana-poety (wydał osiem tomików poezji), który uważa, że „Vis à

Gazeta „Vis à Vis” dorobiła się grona stałych felietonistów, a nawet korespondenta zagranicznego. Jest nim Ladislav Volko, prezydent słowackiego Pen Clubu.

Vis” jest jak wszechświat. Na ostatniej stronie zagnieżdżyła się „Telewizja Vis à Vis” – zdjęcia artystów w ich kawiarnianym otoczeniu. Przekonali się i inni twórcy, bywalcy drink-baru w kamienicy Pod Błachą. Już w drugim numerze publikował Jan Nowicki! Duch Piwnicy Pod Baranami unosi się nad wszelkimi poczynaniami ludzi, którzy przebywają w pobliżu pomnika Skrzyneckiego, postawionego tuż przed witryną „Zwisu”.

Obecnie „Vis à Vis” liczy 14 stron i ma formę zgrabnego zeszytiku formatu A-5, a o jakości pisma choćby świadczy korekta. Zajmuje się nią sam prof. Zbigniew Bajka, wybitny prasoznawca, który od czasu do czasu gości

na łamach pisemka. „Vis à Vis” dorobiła się grona stałych felietonistów, a nawet korespondenta zagranicznego. Jest nim Ladislav Volko, prezydent słowackiego Pen Clubu, który regularnie pisuje „Liściki z Bratysławy”. Andrzej Matusiak z pasją zawłaszczył rubrykę „Mój dawny Kraków. Miasto i ludzie, wydarzenia na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach”. Lesław Pizło pisuje o dawnej fotografii, Marek Michalak o jazzie i anegdotach związanych z koncertami. Krzysztof Miklaszewski o Kantorze, Kazimierz Wiśniak o Skrzynieckim, nieżyjący już Antoni Potoczek wspominał Andrzeja „Wuja” Potoka. Gawędy o modzie regularnie snuje Jerzy Antkowiak, projektant i stylistka Mody Polskiej, ubarwiają je własnymi rysunkami, ostatnio pojawiły się teksty Jacka Kleyffa, legendy polskiej piosenki niezależnej.

Jest dużo poezji: Andrzeja Warzechy, Adama Ziemiańskiego, Adama Kawy, Jacka Lubarta-Krzysicy czy Ignacego Stanisława Fiuta i innych. Można tak wybitnych autorów i ich publikacje wymieniać bez końca. Zdjęciami zajmuje się Henryk Tomasz Kaiser, sekunduje mu Jacek Maria Stokłosa, ma tu też swój

„KawRIOlet” to jedyny na świecie miesięcznik graficzno-literacki ukazujący się regularnie co miesiąc od 15 lat.

kąt Iwona Siwek-Front, rysująca historie niezwykłe „Baby lukrowanej”. Łamy gazetki nie przyjmują banału: mamy filozoficzne refleksje nad życiem, czasem wspomnienia o wybitnych ludziach, którzy już odeszli, a poziom publikacji zawsze jest wysoki.

„KawRIOlet” jak „Zebra”

Kawiarnia tu/kawiarnia tam/ja przecież tylko jedną znam/Zowie się także zowią Ryj/Gdyby się pytał kto/Czasem ją także zowią Ryj/Wypij w niej kawę i długo żyj!/- to wierszyk Eugeniusza Wańka, bywalca baru kawowego RIO przy ul. św. Jana 2. Miał rację wybitny malarz, bo popijając kawusią, dożył aż 103 lat! Wierszyk wydrukowano w 2008 roku w specjalnym wydaniu „KawRIOletu” z okazji obchodów pięćdziesięciolecia istnienia lokalu. Bar kawowy RIO oparł się zakusom transformacji i od 1958 roku trwa w tym samym miejscu – słynnej kamienicy Feniks. Wnętrze zaprojektował Leopold Pędziałek, a fikuśne wąskie stoły i podwieszane sufity istnieją do dzisiaj. Jednak nie w wystroju wnętrza tkwi urok tego miejsca, które było punktem na szlaku przede wszystkim artystów plastyków i studentów ASP. To im przez lata nadawali ton kawiarence, nic dziwnego, że gazeta kawiarniana ma tak wyrazistą formę.

„»KawRIOlet« to jedyny na świecie miesięcznik graficzno-literacki ukazujący się

Kawiarnia tu
Kawiarnia tam
Ja przecież tylko jedną znam
Zowie się wdzięcznie RIO
Gdyby się o nią pytał kto
Czasem ją także zowią Ryj
Wypij w niej kawę i długo żyj!
(z wiersza Eugeniusza Wańka)

regularnie co miesiąc od 15 lat” – mówił Stefan Berdak, wybitny malarz i grafik dawnego krakowskiego „Przekroju” podczas wernisażu wystawy okładek na ścianach kawiarni w grudniu 2014 roku. I wspominał, jak doszło do powstania czasopisma, wydawanego przez wydawnictwo Dawid & Goliat: „W 2000 roku zwrócił się do mnie Andrzej Dawidowicz, koneser sztuki, z propozycją opracowania graficznego »KawRIOletu«, winietę już zaprojektował Władysław Targosz. Adam Macedoński, Krzysztof Litwin i prof. Eugeniusz Waniek powiedzieli mi: ma wyglądać jak „Zebra” którą niegdyś robiłeś...”

Czy „KawRIOlet” przypomina pierwsze legendarne czasopismo „czarno na białym” i „Zebra” skonfiskowane przez ówczesną cenzurę? Tak, ale Funio, czyli Berdak nie byłby sobą, gdyby ostatniej okładkowej stronie nie stworzył na przekrojowe podobieństwo... „Nie dla głupich, nie dla mądrych” prezentuje anegdotki, rysunek, wierszyki i inne „Ćmoje boje”...

Obecnie „KawRIOlet” wydaje Oficyna Filmowa „Galicja”, redaktorem naczelnym i wydawcą jest Leopold René Nowak przy współpracy Krisa Cedro. – Czasopismo ma nakład stu egzemplarzy, dryfuje tematycznie w świat filmu i jest rozdawane podczas wernisaży organizowanych tutaj od 20 lat – opowiada Anna Łukasik, obecna właścicielka RIO, która wraz z synem Maciejem Świstkiem dba o kontynuowanie tradycji comiesięcznych spotkań artystów i wydawanie magazynu graficzno-literackiego.



Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”,

kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.

Wrzesień 1919 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 września.** „IKC” rekomendował krakowskim kawiarniom naśladownictwo kawiarni ze Lwowa: „Kilka kawiarni lwowskich umieszczało na widocznym miejscu napisy zabraniające używania języka niemieckiego”.

✂ **3 września.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Niejaki Jan Saro podpisał sobie w niedzielę wieczór w lokalu Kosza przy ul. Grodzkiej, potłukł wiele szklanek, kieliszków itp. Zranił przy tym ciężko pomocnika handlowego Breyera. Awanturnika zamknięto w aresztach policyjnych”. *Restauracja Jan Kosza mieściła się od lat 40. XIX wieku przy ul. Grodzkiej 37. Wkrótce zasłynęła jedyną w swoim rodzaju lokalną potrawą, serwowaną do dziś, maczanką po krakowsku. Od 1969 roku działa w tym lokalu restauracja Balaton.*

✂ **3 września.** „Samochody nie przedstawione do rejestracji, a więc nie opatrzone numerem ewidencyjnym, będą organa bezpieczeństwa publicznego odstawiały do Dowództwa Wojsk Samochodowych. Nadto właściciele tych pojazdów ulegną karze aresztu do jednego roku lub karze grzywny do 100 tys. koron” – przestrzegali „IKC”.

✂ **5 września.** Z kroniki „IKC”: „Szalonym pędem jadące nocą osobowe auto wojskowe nr 112852 wpadło na ul. Kalwaryjskiej na wóz zaprzężony w dwa konie. Skutek zderzenia był fatalny. Cztery osoby siedzące na wozie wyleciały i doznały ciężkich obrażeń, wóz zaś rozleciał się w drzazgi, a jeden koń ma złamaną nogę. Awanturniczy automobil jechał bez latarni”.

✂ **6 września.** W związku z wybuchem powstania na Górnym Śląsku trwała zbiórka pieniędzy i odzieży dla tamtejszej ludności – o jej efektach informowała na bieżąco prasa.

✂ **7 września.** „Na polach krowoderskich zatrzymano 15-letniego chłopca, który wykopywał cudze ziemniaki. W czasie odprowadzania na policję, na Plantach zrzucił z siebie dwa plecaki i zbiegł. W jednym były ziemniaki, w drugim – żywe prosię. Bezdomne zwierzę jest do odebrania do jutra w urzędzie policyjnym »pod Telegrafem«” – relacjonowała „Nowa Reforma”.

✂ **8 września.** Z rubryki ogłoszeń „IKC”: „Szkoła Stępowskich dla jękających, głuchych itp., przyjmuje uczniów do nauki, ul. Sobieskiego 3, parter”.

✂ **8 września.** Anons z tej samej rubryki: „Biuletyn inteligentnych, mogą być także starsi studenci, przyjmie od zaraz kinoteatr Sztuka, Kraków, ul. św. Jana”.

✂ **8 września.** Z kroniki „IKC”: „Drobni handlarze węgla upraszają swych stałych odbiorców o porozumienie się z nimi co do dostawy węgla w zimowych miesiącach”.

✂ **8 września.** O poważnej kradzieży donosił „Głos Narodu”: „W nocy z piątku na sobotę, nieznanymi sprawcami włamali się do fabryki pasów transmisyjnych Wurma, przy ul. Krowoderskiej. Skradli nowe pasy i skóry wartości 100 tys. koron”.

✂ **9 września.** Prasa zachęcała do obejrzenia prezentowanej w Pałacu Sztuki wystawy polskich formistów. Zaprezentowano m.in. prace Leona Chwistka, Tytusa Czyżewskiego, Jerzego Hryńkowskiego i Stanisława Ignacego Witkiewicza. Wystawie towarzyszył oryginalny katalog.

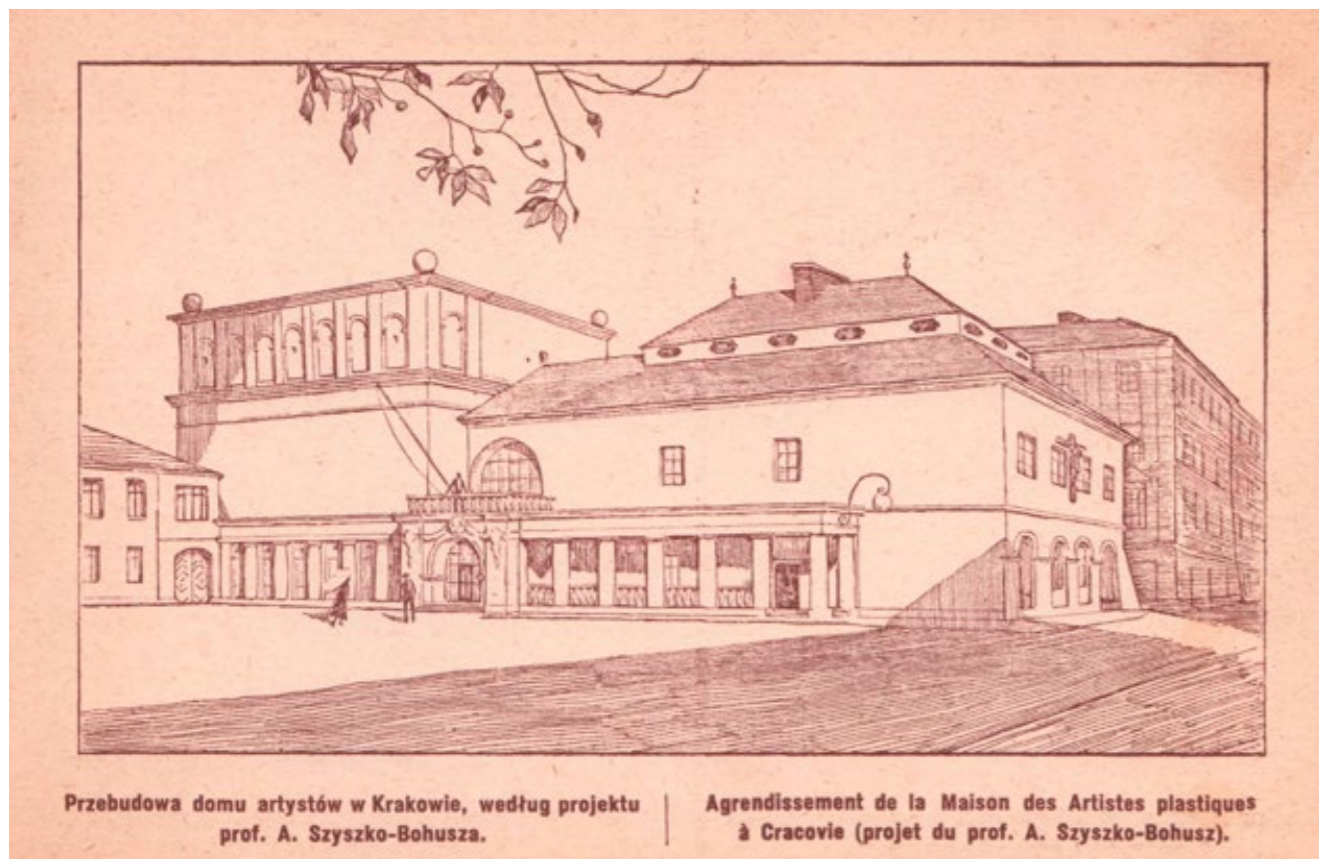
✂ **12 września.** „Ociemniałi inwalidzi nie mogą salutować przełożonym i to jest zupełnie zrozumiałe. Niejednokrotnie zdarza się – jak nam donoszą naoczni świadkowie

Na polach krowoderskich zatrzymał policjant 15-letniego chłopca, który kopał ziemniaki na cudzym polu. W czasie odprowadzania na policję, na Plantach zrzucił z siebie dwa plecaki i zbiegł. W jednym były ziemniaki, w drugim... żywe prosię.

– że nie zawsze można poznać to kalectwo natychmiast. Stąd wynikają nieporozumienia między inwalidami a oficerami. Trudno przypuścić, aby oficerowie żądali od tych nieszczęśliwych ukłonu, a jednak miało to podobno miejsce wskutek takiej pomyłki. Może znalazłby się sposób wybrnięcia z położenia bądź co bądź trudnego” – roztrząsała niełatwe zagadnienie „IKC”.

✂ **14 września.** Jak informowały dzienniki, w Teatrze im. J. Słowackiego wygłosił odczyt pt. *Naokoło śmierci* Stanisław Przybyszewski. Zainteresowanie było tak duże, że dostawiono dodatkowe krzesła.

✂ **16 września.** W związku z toczącymi się w magistracie obradami Państwowej Rady Apropowizacyjnej, pod gmachem zebrał się tłum domagający się poprawy zaopatrzenia w podstawowe towary, jak mąka, cukier, chleb, mięso, a także węgiel. Reprezentanci zgromadzonych zostali wpuszczeni do sali obrad, gdzie wysłuchał ich delegat rządu ds. byłej Galicji



Przebudowa domu artystów w Krakowie, według projektu prof. A. Szyszko-Bohusza.

Agencement de la Maison des Artistes plastiques à Cracovie (projet du prof. A. Szyszko-Bohusz).

Nieznany raczej i prawdopodobnie nieupubliczniony dotąd projekt rozbudowy Domu pod Krzyżem autorstwa Adolfa Szyszko-Bohusza zachował się na złożonej z trzech części karcie pocztowej, wydanej około 1920 r. nakładem ZAP. Poczta, 1919, archiwum autora



Legendarna, słynąca maczankami, restauracja Jana Kosza przetrwała do czasu okupacji. W latach 1941–1968, działał tam bar Grodzisko, a od 1969 r. restauracja Balaton. Widokówka, ok. 1925, archiwum autora



Zmęczona życiem twarz legendy Młodej Polski Stanisława Przybyszewskiego (1868–1927). Fot., ok. 1925, NAC

Kazimierz Gałęcki. Manifestanci rozeszli się w spokoju, co z satysfakcją odnotowała prasa wszystkich odcieni.

✂ **17 września.** „Właścicielom wozów motorowych wszelkiej kategorii przypomina krakowska Dyrekcja Policji, że kursowanie nimi po al. 3 Maja przy Błoniach, wzdłuż parku Jordana i toru wyścigowego jest ze względów bezpieczeństwa publicznego wzbronione od 1 marca do 1 listopada” – uprzedzał „IKC”.

✂ **18 września.** „Czas” zamieścił komunikat: „Racja miesięczna dla jednego palącego wynosi we wrześniu 30 papierosów lub pięć cygar, względnie 10 cigarillos”.

✂ **20 września.** W fotoreportażu opatrzonym tytułem *Zwycięskim szlakiem Napoleona*, „Nowości Ilustrowane” opisywały sukcesy polskiej armii w wojnie z bolszewikami.

✂ **21 września.** Z kroniki „Czasu”: „Z okazji święta narodowego, obchodzonego wczoraj przez naród włoski na pamiątkę zjednoczenia Włoch, prezydium miasta zarządziło oflagowanie budynków miejskich oraz wysłało na ręce ppłka Gagginięgo, szefa misji włoskiej w Krakowie, pismo z życzeniami”.

✂ **24 września.** „W Klubie Artystów przy ul. Szpitalnej, który powstał pół roku temu z inicjatywy i w lokalu krakowskiego Powszechnego Związku Artystów, odbyło się w niedzielę o 12 w południe otwarcie sezonu zimowego. Dotychczasowy lokal wystawowy Związku, przerobiony i gruntownie odnowiony, będzie stał siedzibą klubu. Dla wystaw Związku zostanie wzniesiona w dziedzińcu jego domu obszerna hala z betonu i żelaza, której plany wykonał prof. Szyszko-Bohusz” – relacjonował „Głos Narodu”.

Wspomniana „hala” ostatecznie nie powstała, choć kolportowano już widokówkę-cegiełkę z jej wizerunkiem. Dopiero w 1928 roku ruszyły prace przy budowie nowej siedziby artystów przy ul. Łobzowskiej.

✂ **25 września.** Jak donosił „IKC”: „Rząd polski przejął na etat państwowy istniejącą w Krakowie, przez miasto dotąd utrzymywaną, Szkołę Przemysłową Żeńską. Jest to jedyny tego rodzaju zakład naukowy w Polsce, dla którego gmina m. Krakowa wystawiła wspinały gmach przy al. Krasińskiego”.

To drobna pomyłka w adresie, bo upaństwowiona szkoła mieściła się przy ul. Syrokomli, nazwanej tak rok wcześniej. Na niezabudowaną wtedy al. Krasińskiego wychodziły natomiast jej oficyny i to rozgrzesza w jakiejś mierze autora notatki.

✂ **25 września.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „Wczoraj wieczór przeprowadziła policja po restauracjach i kawiarniach obławę za karcierzami. Aresztowano 30 osób za grę hazardową”.

✂ **26 września.** Z kroniki „IKC”: „Wielką zabawę z tańcami w parku Krakowskim urządziła miejscowe koło Ligi Kobiet, na cele pomocy dla inwalidów”.

✂ **27 września.** „Nowości Ilustrowane”, informując o mianowaniu dyrektorem policji star-



PAŃSTWOWA SZKOŁA ZAWODOWA
ŻEŃSKA W KRAKOWIE

Szkoła Przemysłowa Żeńska (proj. Jan Zawiejski, 1914), została przekształcona (1951), w Technikum Odzieżowe i Zasadniczą Szkołę Odzieżową. Po przeniesieniu Zespołu Szkół Odzieżowych z ul. Syrokomli na ul. Cechową (2013), gmach odkupiła od gminy ASP. Widokówka, ok. 1930, archiwum autora

szego radcy dra Jana Rękwiczcza, przedstawiły imponującą paletę zalet tego urzędnika: „Wysoce wykształcony, niezwykle obowiązkowy i sumienny, obdarzony rzadką bystrością i wysoką kulturą, a przy tym odznaczający się wyjątkowym taktem i uprzejmością, zaszczytnie sobie zaufanie szerokich mas naszego społeczeństwa”.

✂ **27 września.** Dzienniki przyniosły wiadomość o zgonie Bolesława Ulanowskiego,

Prasa informowała z ulgą o porozumieniu z pracodawcami, kończącym trwający trzy tygodnie strajk introligatorów.

doktora praw i filozofii, kierownika katedry prawa polskiego i kanonicznego UJ, członka i zarazem sekretarza generalnego Akademii Umiejętności.

✂ **30 września.** Prasa informowała z ulgą o porozumieniu z pracodawcami, kończącym trwający trzy tygodnie strajk introligatorów.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Teatr Jacka Kluszewskiego

Tekst: Ewa Danowska

Mimo przeciwności ekonomicznych i politycznych charakter krakowskiego teatru odpowiadał nazwie narodowego, czyli był stały, polski i publiczny. Stworzył go człowiek, którego pozycja społeczna i majątek zaważyły na działalności tej instytucji. Jest on prawdopodobnie posiadaczem rekordu długości władania teatrem w jednym mieście – 43 lata!



Biblioteka Naukowa PAU i PAN, Gabinet Rycin Nr inw. 54
Album, karty tytułowej brak, wyd. Berlin, b.d.

Jacek Kluszewski herbu Jasięczyk urodził się w 1761 roku jako syn kasztelana bieckiego Wojciecha i Anny Dembińskiej. Mając siedem lat, podjął naukę w Krakowie, by ją kontynuować w warszawskim Collegium Nobilium. Odznaczał się inteligencją, czytaniem oraz zamiłowaniem do muzyki, teatru i literatury. W młodości odbywał liczne zagraniczne podróże i ponoć zaliczał się do ulubieńców króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Około roku 1783 osiadł w Krakowie, w ojcowskiej kamienicy na rogu ulic Wiślanej i św. Anny i zaczął prowadzić interesy. Uruchomił wytwórnię powozów oraz fortepianów, zatrudniając miejscowych pracowników, jak i majstrów sprowadzonych z Niemiec. Zamożny z domu, pomnażał majątek, udzielając na procent pożyczek, a także nabywając, remontując i sprzedając zyskiem nieruchomości. Pod koniec XVIII wieku był już właścicielem kilku pałaców, kamienic i dworców, uchodząc za jednego z najbogatszych mieszkańców Krakowa. Z przedsiębiorczością łączył artystyczne zamiłowania – grał na kilku instrumentach, dobrze śpiewał i tańczył.

Początek teatralnej działalności Kluszewskiego datuje się na rok 1787. Wcześniej opery włoskie wystawiał w pałacu Spiskim Teodor Lubomirski, ale mieszkańcy miasta długo pozabawieni byli regularnych widowisk teatralnych. Jedynie od czasu do czasu wędrowni artyści i sztukmistrze, wnosząc do magistratu stosowną opłatę i przedstawiając rekomendacje, popisywali się swymi umiejętnościami.

Kluszewski zwrócił się do władz miejskich o wydzierżawienie sali teatralnej w Ratuszu. Zgodę uzyskał, jednak szybko zmienił zdanie, lokując teatr w pałacu Spiskim, gdzie przebudował dawną salę widowiskową (mieściło się tam ponad 300 osób), skompletował zespół śpiewaków oraz orkiestrę, rozpoczynając wystawianie oper, którymi ponoć osobiście dyrygował. Cena biletu na parterze wynosiła 3 zł, na galerii – 2 zł, „trzecie” miejsca były za złotówkę, a ludzie w liberii mieli zapłacić 15 groszy. Teatr ogłosił też sprzedaż imiennych abonamentów.

Po zajęciu Krakowa przez Austriaków Jacek Kluszewski podjął starania o uzyskanie przywileju obejmującego wyłączność

na przedstawiania teatralne, a także organizowanie balów i redut. Warunkiem stało się wybudowanie nowego gmachu. Powstał on z przebudowy zakupionych od rodziny Szastrow trzech kamienic przy obecnym narożniku ul. Jagiellońskiej i placu Szczepańskiego, a pracami kierował architekt Szczepan Humbert.

„Tak więc Kluszewski imię swoje w rocznikach sceny polskiej nigdy niezapomnianem uczynił”.

Z nekrologu w „Gazecie Krakowskiej”, 16 lutego 1841 r.

Teatr miał rozpocząć działalność 1 stycznia 1799 roku. Kluszewski założył się o 1000 dukatów z przebywającym wówczas w Krakowie Tadeuszem Czackim, że terminu dotrzymania. Stosując różne metody (z podgrzewaniem wody do murowania w czasie mrozów włącznie), wygrał zakład, chociaż pośpiech spowodował konieczność późniejszych poprawek.

„Towarzystwo uprzywilejowanej sceny w Krakowie” otrzymało w 1800 roku statut, w którym czytamy między innymi, że aktorzy powinni zjawiać się na próby punktualnie pod rygorem kary finansowej. Na próbach powinna panować „cisza i powaga”, aktor nie może „roli swojej cedzić przez zęby”. Kara groziła także za nienauczenie się roli na pamięć, niedopuszczalna była niedbałość oraz wchodzenie na scenę w stanie „podpiłym”. Wszelkie zmiany w roli lub opuszczenie scen, niestosowne żarty czy aluzje do wolności niedozwolone. Zabronione były również bójki w garderobie, ale też grubiaństwo przełożonych wobec aktorów.

Kluszewski jako właściciel c.k. uprzywilejowanej sceny z każdym z aktorów zawierał odrębny, szczegółowy kontrakt, między innymi wyznaczający gażę. Przykładowo aktor Karl Seewald zgodnie z zachowanym kontaktem zawartym w 1798 roku zobowiązywał się wykonywać rolę pierwszych kochanków w komediach, tragediach i dramach, na zmianę z rolami młodych bohaterów, gdy zajdzie potrzeba.



Biblioteka Naukowa PAU i PAN, Gabinet Rycin Nr inw. 54
Album, karty tytułowej brak, wyd. Berlin, b.d.

W istniejącej sytuacji politycznej Kluszewski mógł wystawiać sztuki tylko w języku niemieckim. Wystarał się jednak u cesarza Franciszka II o kolejny przywilej – zgodę na wystawianie raz w tygodniu przedstawień polskich. Pierwszą taką sztuką była w 1805 roku opera *Nie każdy śpi, co chrapi*.

W miarę dobra passa Kluszewskiego skończyła się w 1809 roku po wizycie w Krakowie trupy Wojciecha Bogusławskiego, przyjętej nader entuzjastycznie (wystawiono 54 przedstawienia!). Teatr krakowski musiał coraz bardziej oszczędzać, a nawet wegetował, nie wzbudzając mimo wysiłków u publiczności większego zainteresowania.

Po utworzeniu Wolnego Miasta Krakowa, w 1817 roku odnowiono Kluszewskiemu przywilej teatralny na 10 lat oraz zapewniono mu rządową subwencję na „odnowienie dekoracji i polepszenie muzyki”. Kluszewski obracał ją głównie na własne potrzeby, utrzymując, że musi sobie odebrać to, co ongiś w teatr włożył. Poziom artystyczny teatr co prawda znacząco się nie podniósł, ale przedstawienia odbywały się regularnie. Niestety, frekwencja była mizerna, gdyż gmach teatru był już podniszczony, zimą niedograny, dekoracje stare i wysłużone, kostiumy zniszczone, a maszyna się psuła. Około 1820 roku teatr świecił pustkami i zapełniał się głównie w czasie gościnnych występów zespołu lwowskiego Jana Nepomucena Kamińskiego.

Mimo zatargów w władzami i niechęci publiczności Kluszewski w 1827 roku dostał przywilej na prowadzenie teatru na następne trzy lata. Gdy termin upłynął, teatr przeszedł w ręce Jana Mieroszewskiego. Gmach jednak należał do Kluszewskiego, który rozgorączony sytuacją narzucił swemu następcy tak wysoki czynsz, że ten musiał szukać nowej siedziby.

Do zasług Jacka Kluszewskiego związanych z krakowskim teatrem należy stabilizacja tej sceny i wprowadzenie do repertuaru polskich przedstawień. Najbardziej owocny był pierwszy okres jego działalności teatralnej, przy osobistym zaangażowaniu i hojności finansowej. Z upływem lat słaby poziom artystyczny spychał jednak krakowski teatr do rzędu scen prowincjonalnych. Kluszewski teatru trzymał się kurczowo, chociaż utracił już dawną energię, brakło mu też wyczucia aktualnych gustów widowni, gdyż wystawiał w głównej mierze przestarzały repertuar. Poza tym stale spierał się z władzą i przedstawicielami prasy. Przez 43 lata podobno nie opuścił ani jednego przedstawienia, z własnej loży obserwując grę aktorów, a z wyrazu twarzy „starego Apollina” – jak go nazywano, można było wyczytać pochwałę bądź niezadowolienie.

Żonaty był z Anną z Pfeiferów, jednak to bezdzietne małżeństwo rozstało się około 1808 roku. Wcześniej już związał się z aktorką z niemieckiego zespołu Wilhelminą Delly,

która z czasem zaczęła odgrywać znaczącą rolę w jego domu, miała również decydujący głos w sprawach teatru. Gdy w wieku 32 lat zmarła na gruźlicę, miejsce u boku Kluszewskiego zajęła córka krawca teatralnego Anna Krones. Uprzednio była garderobianą i pokojówką Wilhelminy, by po jej śmierci w 1822 roku zająć stanowisko oficjalnej kochanki Kluszewskiego.

Krakowski pamiętnikarz odnotował, iż Kluszewski był miłośnikiem muzyki klasycznej i znakomitym skrzypkiem. Niekiedy wieczorami urządzał koncerty, które dawali nie amatorzy, lecz wynajęci teatralni muzycy. Podczas kolacji honory pani domu pełniła Anna Krones, jak pamiętnikarz Sobiesław Mieroszewski określił: „niegdyś czynna, a potem retretowana Pompadoura pana starosty”.

Odsunięty od teatru, ostatnie dziesięć lat życia spędził w osamotnieniu, dziwacząc i stroniąc od ludzi. Wobec religii był obojętny, a w opinii ludowej podejrzewany o kontakty z mocami nieczystymi, do czego przyczyniał się fakt, że główną jego siedzibą był otoczony legendami pałac Krzysztofora.

Zakończył życie 15 lutego 1841 roku, osiągnąwszy piękny wiek 80 lat, o czym nie omieszkało napisać w nekrologu zamieszczonym

„Był postacią przyrosłą do teatru, tak że kto znał krakowski teatr, bez Kluszewskiego znać go nie mógł”.

Kazimierz Girtler, *Opowiadania*, t. I

w „Gazecie Krakowskiej”, podkreślając, iż był „pierwszym założycielem teatru w stolicy naszej”.

Portret Jacka Kluszewskiego nie zachował się, podobnie jak i jego grób. Zapamiętano jednak, że wzrostu był wysokiego, o pociągłej twarzy i wydatnym nosie, do późnej starości zachowując młodzieńczą sylwetkę i dobre zdrowie. Wychowany w Oświeceni, pozostał wierny tej epoce w poglądach, upodobaniach i stroju oraz zażywaniu tabaki.

Po śmierci Kluszewskiego Anna Krones odziedziczyła po nim trzy domy – przy ul. Szewskiej, przy Kapucyńskiej oraz Krupniczej. Była w Krakowie postacią znaną i rozpoznawalną, zmarła w 1872 r., przeżywszy Kluszewskiego o ponad 30 lat. Jej grób na cmentarzu Rakowickim już nie istnieje.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Kolor oczu jego rozmówców

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Muzeum Narodowe w Krakowie

Środa

Patrząc w krakowskim Muzeum Narodowym na zmatowiałą szablę, pamiątkę rodzinną, co Andrzejowi Wajdzie została po ojcu bodaj, wyobraziłem sobie naraz, że kiedy pewnego odległego letniego dnia o zmierzchu, w pokoju stołowym domostwa na Stawisku Jan Nowicki wywrzeszczał słowo „Pamiętasz?!” – stojąca piętro wyżej na biurku w gabinecie Jarosława Iwaszkiewicza noga dzika oprawiona srebrem,

mięci, przywieziono na Stawisko, do omszałego domostwa, pełnego pamiętliwych rzeczy, albo, co na jedno wychodzi, pełnego duchów w starych rzeczach. Ile jest takich po Wajdzie śladów na wystawie *Wajda* w Muzeum Narodowym?

Niedziela

Na ścianach, w gablotach za szkłem lub nie, na postumentach bądź wprost na ziemi – piasek

Za czas jakiś Wajda stanie się głównie twórcą gigantycznych dzieł społeczno-historyczno-politycznych, choćby *Człowieka z marmuru*, *Człowieka z żelaza* lub *Katynia*, stanie się Wielkim Polakiem, Wielkim Patriotą oraz Wielkim Artystą-Obywatel. Rzecz w tym, że w swych opowieściach intymnych, kruchych, w *Nastazji Filipownej*, *Pannach z Wilka* bądź *Brzezynie*, był porównywalnie potężny, lecz w istocie dotkliwszy, bo mówił nie do Nas, a do każdego z nas z osobna.

kiedyś własność dziadka Lilpopa, służąca twórcy *Panien z Wilka* za pojemnik na pióra gęsie i wieczne, w odpowiedzi westchnęła niesłyszalnie: „A jak myślisz, młody człowieku?”.

Piątek

Był rok 1977. Kilka miesięcy wcześniej Wajda dał w Starym Teatrze premierę *Nastazji Filipownej*, impresji na kanwie *Idioty* Fiodora Dostojewskiego. Nowicki jako Rogożyn, Jerzy Radziwiłowicz w roli księcia Myszkina – i nikogo więcej. Zgodnie z Dostojewskiego sugestią, że powieść, co jest światem, da się przenieść na scenę tylko wtedy, gdy wyłuska się z niej jedną scenę, w której skrapla się smak całości – Wajda wziął z *Idioty* jedynie obraz finalny, scenę nocnego czuwania Rogożyna i Myszkina przy trupie zabitej przez Rogożyna Nastazji Filipownej, i kazał im wspominać, kazał przywoływać strzępy z powieści całej, kazał wracać pamięcią do czasu na amen już dokonanego. Wajda przymierzał się wtedy do nakręcenia *Panien z Wilka*, opowieści o fiasku powrotu w przeszłość. W 1977 Iwaszkiewicz był już zbyt słaby na podróż do Krakowa, więc *Nastazję Filipowną*, seans ulepiony z postrzępionej, nerwowej pa-

o wielu kształtach. Pożółkłe, pisane ręcznie lub na maszynie listy, mniej bądź bardziej oficjalne druki, genealogiczne drzewo w stu zmęczonych fotografiach, scenograficzne szkice, pięciolinie z robakami nut, ważne książki życia Wajdy, fragmenty scenariuszy, złociste statuetki nagród filmowych, fotosy, plakaty, stos szarych teczek ze szkicami poniechanych opowieści filmowych i teatralnych, rekwizyty, choćby szachy z chleba, fajki z kory, kostiumy, buty, i dziesiątki innych śladów, i zmatowiała szabla ojca, i jeszcze... Żeby wyrecytować całą tę górę, trzeba by lodowatego, iście archeologicznego mozołu i cierpliwości Jamesa Joyce'a, w *Uliście* bezlitośnie katalogującego pamiętliwe strzępy, znieruchomiłe w przepastnych szufladach kredensu Leopolda

Blooma. A do tego są przecież jeszcze na wystawie strzępy ruchome, fragmenty filmów Wajdy, wyświetlane wysoko pod sufitem – twarze jak twarze duchów, przez małą chwilę żyjące na ścianach... Wystawa?

Poniedziałek

Tak, wystawa, ale to za mało, a raczej – niecelnie powiedziane. Z góry tego klepsydrowego piasku, który przybrał wiele kształtów zamarłych i ruszających się, Rafał Syska zbudował wystawę-wędrowkę. Owszem, każda wystawa jest w istocie synonimem łązenia od rzeźby, do rzeźby, od obrazu, do obrazu, od eksponatu, do eksponatu, tak. Lecz opowieść Syski to łązenie bardziej, to właśnie – wędrowka. Wędrowanie raczej tylko samotne,



jak każda próba przejścia przez cudze życie, kiedy idzie się niespiesznie po cudzych śladach. Jest więc w Muzeum Narodowym labirynt kilku, kilkunastu sal mniejszych bądź większych, oddzielonych od siebie wiszącymi we framugach ciemnymi frędzlami i schodkami wiodącymi w górę lub w dół, sal w półmroku. Plamki jasności wykrawają z półmroku ślady. I idzie się od plamki, do plamki, idzie się ostrożnie, krąży się po postrzępionej pamięci Leopolda Blooma. Idzie się i szuka śladu jednego, góra dwóch, w których być może skropli się, jak uczył Dostojewski, cała opowieść, panoramicznie nie do ogarnięcia przecież. Jeden stary ślad zatem. Choćby zmatowiała szabla ojca Wajdy.

Środa

Inaczej mówiąc – labirynt Syski to w ostatecznym rachunku labirynt samotnych opowieści o Wajdzie, które każdy samemu sobie winien wysnuwać z tego lub innego śladu. Istnieje niebezpieczeństwo, a właściwie pewność, że za czas jakiś, raczej niewielki, Wajda stanie się głównie twórcą gigantycznych dzieł politycznych, społeczno-historyczno-politycznych, choćby *Człowieka z marmuru*, *Człowieka z żelaza* lub *Katynia*, stanie się Wielkim Polakiem, Wielkim Patriotą oraz Wielkim Artystą-Obywatelem. Istnieje taka pewność, gdyż artysta zmarmurzony – przyjemny jest i łatwiutki w powszechnym użyciu. Rzecz nie w tym, iż Wajda taki nie był. Owszem, był. Rzecz w tym, że w swych opowieściach intymnych, kru-

chych, w *Nastazji Filipownej*, *Pannach z Wilka* bądź *Brzezynie* (też wedle prozy Iwaszkiewicza), był porównywalnie potężny, lecz w istocie dotkliwszy, bo mówił nie do Nas, a do każdego z nas z osobna. Nie po to, by wstrząsnąć plemieniem, lecz aby szepnąć w każde samotne, nie zbiorowe, ucho, że nic nie da się zrobić z kapaniem czasu, z końcem, z czekaniem na koniec, a pamięć jest nieuchronnie bezradna.

Niedziela

„Po *Człowieku z marmuru* zrozumiałem, że dalej nie mogę się już posunąć w moich staraniach o pokazanie prawdy, w jakim kraju żyjemy. I zrozumiałem, że muszę szukać innego tematu, jeżeli mam w ogóle robić filmy”, wyznał kiedyś. Po czym dodał te słowa pamiętne:

„W końcu pojąłem, że film polityczny to jedno, a kino to drugie”. Dla naszej epoki sztuki maniakalnie publicystycznej – nieprzyjemnie kłopotliwe musi być to Wajdy rozróżnienie. I w roku 1979 nakręcił *Panny z Wilka*. Po premierze zapisał w dzienniku: „Mam zamiar zacząć nowe życie. Powolne, uważne i głębsze. Postanowiłem zauważać kolor oczu moich rozmówców”. Istnieje filmowy dokument ukazujący Tadeusza Kantora, który maczanym w szarej farbie pędzelkiem delikatnie poprawia urodę manekinów. Odświeża im nosy, policzki i brody, patrząc długo, głęboko w szklane źrenice. Całkiem możliwe, że są to manekiny dzieci, które siedziały w ławkach *Umartej klasy*, w szkolnych ławkach seansu ułomnej pamięci, zaludnionego widmami przyłazącymi z tamtej strony, by zatańczyć i zniknąć, seansu, co go Wajda sfilmował mniej więcej rok przed letnim zmierzchem, kiedy w pokoju jadalnym domostwa na Stawisku pokazał Iwaszkiewiczowi i garście gości swą *Nastazję Filipowną*, i trzy lata przed dniami, gdy kręcąc *Panny z Wilka* – wprowadził do filmu samego Iwaszkiewicza, całego w czerniach. Ukazał go, jak rok przed śmiercią spaceruje z łaską w garści po nostalgicznych kadrach filmu, albo, co w sumie na jedno wychodzi, po własnych jego, Iwaszkiewicza, akapitach *Panien z Wilka*, pisanych latem roku 1932 w Syrakuzach na Sycylii, w hotelowym pokoju z widokiem na źródło Aretuzy.

Wtorek

Wystarczy na chwilę zatrzymać się przy zmatowiałej szabli, a tyle furtek się otwiera! Jakże się uchylają przy innych śladach labiryntu Syski? I komu? Póki co niech starczy stara szabla. Kilka faktów i wyobraźnia układać zaczynają opowiastkę o zdarzeniu, przy którym mnie nie było. Oto Rogożyn wywrzaskuje nagle do Myszki strzęp odległej przeszłości: „A tego oficera, tego oficera... pamiętasz, jak ona tego oficera przy muzyce rąbnęła, pamiętasz?!”. Na co noga dzika oprawiona srebrem, secesyjny kałamarz z rżniętego szkła, walizka dziadka Lilpopa, portmonetka z kości słoniowej, stalowa boliera po ciciu Maniusi, maszyna do pisania Erika i pędzelek do czyszczenia maszyny, i nieogarniona reszta pamiętliwych śladów na Stawisku – wszystko to piętro wyżej wzdycha niesłyszalnie: „A jak myślisz, młody człowieku?”. Po czym jest cicho do końca.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

O kobiecie pracującej

Rozmawiał Janusz M. Paluch Zdjęcie: Krzysztof Lis

Marcin Wilk: W skrócie więc mógłbym powiedzieć, że fenomen Kobiety Pracującej polega na doprowadzonej do perfekcji robocie. Irena Kwiatkowska oddała się jej niemal całkowicie.

Janusz M. Paluch: Pańska książka *Kwiatkowska. Żarty się skończyły* ma dla mnie sentymentalne znaczenie, wzrastałem bowiem w towarzystwie Ireny Kwiatkowskiej. Po cząwszy od słynnego radiowego *Plastusia... W Pana życiu pani Irena pojawiła się dużo później, a w końcu stała się bohaterką Pańskiej książki. Dlaczego Kwiatkowska?*

Marcin Wilk: Ze mną faktycznie było nieco inaczej. Nie pamiętam, by Kwiatkowska towarzyszyła mi w dzieciństwie. W dodatku wcale nie zapadła w mojej pamięci dzięki roli w *Czterdziestolatku*.

W latach 80. i 90., gdy byłem jeszcze dzieckiem, mój starszy o dziesięć lat brat podpowiadał, na co warto zwrócić uwagę w telewizji. Bardzo cenił humor Manna i Materny czy żarty spod znaku Monty Pythona. Dzięki niemu obejrzałem wtedy, po kilka zresztą razy, seriale *Barei*. Nie wszystko chyba rozumiałem, zwłaszcza politycznych aluzji, ale na przykład w *Zmiennikach* zwróciła moją uwagę mama głównej bohaterki. Występowała w tej roli, jak wiadomo, Irena Kwiatkowska.

Wiele, wiele lat później, w 2015 roku, gdy oddawałem w krakowskim wydawnictwie Znak biografię o Annie Jantar, w redakcji zastanawialiśmy się, o kim kolejnym powinienem napisać. Ku memu zdziwieniu okazało się, że choć Kwiatkowska jest jedną z najpopularniejszych aktorek polskich XX wieku, to wciąż nie ma jej portretu prywatnego. Postanowiłem, że zaryzykuję.

Liczyłem, że praca nad książką zajmie mi 1,5-2 lata. Okazało się, że potrzeba było prawie dwa razy tyle. Nie było to łatwe zadanie.

Kwiatkowska i Kraków – a jednak...

Rzeczywiście! Przecież Irena Kwiatkowska kojarzona jest z Warszawą. Tam się urodziła, tam nauczyła się fachu w renomowanym Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej.

Pierwszy okres jej kariery, przedwojenny jeszcze, to lata twórczych poszukiwań. Z odnalezionych i przywoływanych przeze mnie w biografii *Kwiatkowska. Żarty się skończyły* pamiętników wynika, że nieobce były młodej aktorce zwątpienie i nastroje przygnębienia. Marzyła wtedy także o wielkich rolach dramatycznych. Do wybuchu wojny w 1939 różnie u niej bywało. Grała też kilka sezonów

w teatrach poza Warszawą – w Poznaniu i Katowicach.

W Krakowie – jak wielu wtedy artystów – znalazła się w 1945 roku. Zamieniona w gruz i wielkie cmentarzysko stolica na pewno stanowiła przygnębiający widok w porównaniu z cudem ocalałym od większych wojennych zniszczeń miastem.

Kraków zresztą, jak sądzę, musiał się bardzo dobrze Kwiatkowskiej kojarzyć. To tu w drugiej połowie lat 40. rozegrała się najbardziej owocna współpraca z Gałczyńskim, wtedy współpracowała z „Przekrojem”.

Do Krakowa Kwiatkowska potem wiele razy powracała. Kraków umiał doceniać aktorkę. Chyba nie przypadkiem to tutaj, w Teatrze Słowackiego, odbył się jej benefis w 2008 roku.

Na czym polega fenomen „kobiety pracującej” sprawdzającej się w radiowym studio, na scenie teatralnej, kabaretowej, nie wspominając o filmie?

Na ruchu scenicznym. Na osobowości. Na doskonałym spleceniu się z rolą – na tym, że Kwiatkowska to i Kobieta Pracująca, i Herminenegilda Kociubińska, i mama Pawła (z *Wojny domowej* Jerzego Gruzdy), i hrabina Tyłbaczewska z Kabaretu Starszych Panów.

Tu warto jednak nadmienić, że miała życie pozasceniczne. I to całkiem bogate. Z mężem, Bolesławem Kielskim – wykształconym jeszcze przed wojną prawnikiem, który ani chwili nie przepracował w zawodzie, za to był fenomenalnym spikerem, erudytą i poliglotą – stanowili jedność. Często bywali w kinie (uwielbiali francuskie komedie!), wiele podróżowali po świecie, stanowili dla siebie oparcie.

A jednak wśród wielu pamiątek zdeponowanych w Instytucie Teatralnym im. Raszewskiego w Warszawie znalazłem jedną, szczególnie wzruszającą. To album, w którym znaleźć można wklejone wycinki z prasy. Dokumentują one pierwsze lata kariery, zwłaszcza powojennej, Kwiatkowskiej. Czyli znowu praca. Ciekawostką jednak jest to, że album przygotował najprawdopodobniej najwierniejszy wielbiciel aktorki, jej mąż Bolesław Kielski.

Udało się Panu odejść od obrazu Kwiatkowskiej – „idolki” scenicznej. Dzięki Panu, poznajemy ją jako zwykłą kobietę, żonę, z wieloma wadami i zaletami. To prawda, że była



fot. Krzysztof Lis

Marcin Wilk (ur. 1978 r.), dziennikarz, publicysta, krytyk literacki, autor literackiego bloga *Wyliczanka*. Dotychczas opublikował *W biegu... Książka podróżna. Rozmowy z pisarzami (i nie tylko)* (2011), *Tyle słońca. Anna*

Jantar. Biografia (2015), *Kwiatkowska. Żarty się skończyły* (2019). Za ostatnią książkę uhonorowany został w maju nagrodą Krakowska Książka Miesiąca.

apodyktyczna, kłótliva i skąpa i do tego dewotka?

Jak każdy człowiek, nie była świętą. To prawda, że potrafiła walczyć o swoje zdanie. Bywała nieugięta, potrafiła poprawiać nawet Przyborę czy Młynarskiego, co – przynajmniej – musiało być aktem wielkiej odwagi. Nie chodziło jednak o żadne błahe sprawy, chodziło o melodię tekstu, coś, na czym Kwiatkowska się doskonale znała.

Jej legendarne sknerstwo wynikało z różnych rzeczy. Należy pamiętać przede wszystkim o tym, że Kwiatkowska pochodziła z dość ubogiej rodziny. Poza tym przeżyła wojnę. Charakter, oczywiście, też zrobił swoje.

Pod koniec życia Kwiatkowska miała czas, w którym regularnie czytała „Nasz Dziennik”, pojawiała się także na łamach tej gazety. Kochano ją tam, chciano ją tam mieć bardzo dla siebie. Pomagała w tym wiara Kwiatkowskiej, w ostatnich latach życia żywsza, głębsza. Z drugiej strony aktorka z podróży do Włoch potrafiła przywieźć plastikowe bibe-

loty. Nie przywiązywała do nich dużej wagi. Domyślam się, że miały dla niej praktyczny walor – można było nimi tanio obdarować kolegów czy znajomych.

Jaka jest kolejna książka – też biografia?

Reportaż historyczny: *Pokój z widokiem. Lato 1939*. Przez cały ubiegły rok wertowałem pamiętniki, przeglądałem stare gazety, rozmawiałem ze świadkami pamięci. Chciałem odtworzyć zwyczajność, codzienność, uchwycić w kadrze obrazki ze świata, który za chwilę miał runąć. Ze świadectw różnych ludzi z różnych części przedwojennej Polski – Gdyni, Białegostoku, Wilna, Tarnowa, Wołynia, polskiej wsi itd. – stworzyłem coś w rodzaju mozaiki pamięci.

Książka ukazuje się 80 lat od pamiętnego wystąpienia Becka i – potem – agresji Hitlera na Polskę. W swojej opowieści zatrzymuję się na moment przed 1 września. Bohaterowie *Pokoju z widokiem...* do końca sierpnia nie mają pojęcia, co ich czeka. Cały czas mają nadzieję na pokój.

Z Polski do Hollywood

Rozmawiał Witold Beres Zdjęcie: archiwum Julii Gniadeckiej

Julia Gniadecka miała 14 lat, kiedy postanowiła zostać producentem filmowym. Obmyśliła plan, ruszyła z nim i... trzyma się go do dziś.

Z urodzenia (1991) jest gdynianką. W wieku 19 lat wyjechała z Polski, o Polsce jednak nie zapominając. Po studiach w Londynie i Mediolanie wróciła do kraju, by zacząć od zera w rodzimej branży filmowej. Pracowała z takimi reżyserami jak Agnieszka Holland, Agnieszka Smoczyńska czy Arek Jakubik, by potem wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Tam znalazła się w samym centrum świata filmu – trafiła do niewielkiego, acz prężnego zespołu produkcyjnego przy Wilshire Boulevard w zachodnim Hollywood. I pomimo młodego wieku zdążyła współpracować przy

jeśli tylko będę miała więcej szczegółów, którymi będę mogła się podzielić, „Kraków” będzie wiedział pierwszy.

Skąd ten Hollywood?

Z marzeń? Albo po prostu jestem uparta. Z Polski wyjechałam zaraz po liceum, a kiedy miałam 25 lat jako pierwsza osoba z Polski dostałam się na program MFA Peter Stark Producing Program, prowadzony w USC School of Cinematic Arts. Program przyjmuje rocznie 24 studentów, a jego dyrektorem jest Larry Turman, producent między innymi *The Graduate* oraz *American History X*. Najmocniejszym atutem programu jest to, jak szybko wystawia nas do pracy w lokalnej branży. Raptem po dwóch miesiącach pobytu w Los Angeles podjęłam pracę w Paramount Pictures.

Czego polskie kino, polska branża mogłaby się nauczyć od amerykańskiej bez problemu, bez kłopotów inkulturacji, przenoszenia trudnych modeli itp.?

To, że w Europie mamy tak mocne kino autorskie, natomiast kino amerykańskie kojarzy się przede wszystkim z produkcjami komercyjnymi, jest bezpośrednio związane z ich modelami biznesowymi.

Jak sposób zbierania pieniędzy wpływa na to, jakie filmy powstają. Skąd te wysokie budżety w USA i co oznaczają?

Hollywood jest branżą, przez którą przechodzi mnóstwo gotówki. Uproszczony przykład: na każdy publikowany budżet filmu można przyjąć, że jego równowartość wydawana jest na cele marketingowe – jest to dodatkowy koszt studia oraz dystrybutora. Aby film się studiu zwrócił, musi on zarobić czterokrotność swojego budżetu – bo przecież z kin studio dostaje tylko połowę przychodów. Nagle łatwiej jest zrozumieć dlaczego Box Office w pierwszy weekend musi być tak wysokie (potem co weekend te cyfry spadają o około 30–50 procent tygodniowo).

Z jednej strony mamy Europę i sfragmentaryzowany rynek wspierany w dużej mierze przed środki publiczne, z drugiej rynek konsumencki operujący na swojej skali. Nic dziwnego zatem, jak różni się krajobraz obu środowisk twórczych. Skala w kinie amerykańskim to jednak nie tylko wielkość lokalnego rynku, wysokie budżety, dystrybucja światowa i związana z nią dominacja w Box Office. To również zaplecze.

Główną walutą w Hollywood, poza talentem, jest przede wszystkim własność intelektualna – a zatem prawa do dzieł literackich, scenariuszy, publikacji. Przejdź do działu za-

Główną walutą w Hollywood, poza talentem, jest własność intelektualna – a zatem prawa do dzieł literackich, scenariuszy, publikacji.

produkcjach filmowych w 11 krajach na 4 kontynentach.

Udzielała się między innymi w Fox Searchlight w roku, w którym studio zdobyło 20 nominacji i 6 nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej za *Shape of Water* oraz *Three Billboards Outside Ebbing Missouri*, a za chwilę wypuści na ekrany *Lucy in The Sky* z Natalie Portman w roli głównej, *Jojo Rabbit* ze Scarlett Johansson oraz *Tolkien* z udziałem Nicolasa Hoult'a i Lily Collins.

Wróciła właśnie z Ameryki Południowej, gdzie kręcone były zdjęcia do nominowanego do Oscara *Distancia de Rescate* reżyserki Claudii Llosy. Film jest koprodukcją amerykańsko-hiszpańsko-chilijską, której producentem jest między innymi Mark Johnson (producent *Rain Man*, *Breaking Bad* oraz *Opowieści z Narnii*), będący również mentorem Julii. Obraz będzie pokazywany na Netflixie. Żeby móc w pełni pracować przy tej produkcji, musiała się nauczyć hiszpańskiego. Do tego mówi po włosku i francusku, a angielski już pominiemy.

Jej praca to prowadzenie międzynarodowych projektów filmowych oraz odkrywanie międzynarodowych historii i talentów z myślą o amerykańskim rynku filmowym.

Przez kilka dni była gościem Międzynarodowego Festiwalu Kina Niezależnego Off Camera.

Witold Beres: Obieżyświat filmowy, który planuje coś zrobić w Krakowie? Co robiłaś pod Wawelem?

Julia Gniadecka: Wiesz, jak to jest w tym biznesie – dziś nie mogę jeszcze nic zdradzić. Ale



granicznych bestsellerów w najbliższej książce – ich prawa będą już albo w jednym ze studiów lub większych firm produkcyjnych, albo będą reprezentowane przez jedną z czterech dużych agencji. To trochę jak z łowieniem ryb: u nas łowi się na wędkę, a tam – siecią.

W studiach, z którymi miałam do czynienia, aktywnie pracuje się w tak zwanym developmentie nie nad kilkunastoma filmami, które wyjdą w danym roku, ale nad kilkudziesięcioma – na bieżąco je rozwijając, pracując nad kolejnymi draftami scenariusza, kolejnymi iteracjami zespołu twórczego. A na zapleczu czekają prawa do kolejnych projektów. Do drzwi pukają kolejni twórcy z kolejnymi pomysłami.

I jeśli nawet wiele z nich przejdzie sito selekcji do developmentu, to jednak tylko mała garstka zostanie zrealizowana i trafi na ekrany. Nie dziwi zatem, że filmy amerykańskie są tak mocne od strony scenariuszowej.

U nas jest trochę tak, że kończymy pisać scenariusz i od razu chcemy robić film.

Wynika to ze wspomnianej różnicy w modelu i wielkości rynku – development to prze-

cież dodatkowe koszty operacyjne dla firm produkcyjnych. Mimo to warto mieć świadomość, jak proces developmentu wpływa na udoskonalenie filmu i to na etapie, kiedy jest to jeszcze najtańsze. Europejskie instytucje wspierające film już tę różnicę zaczęły dostrzegać.

Marzy mi się, aby w Polsce również dostrzeżono potrzebę doskonalenia filmu na etapie scenariusza. I jasne, że mamy w naszym kinie skarby, które odniosły sukces i bez tego. Nie chodzi o zmianę czegoś, co robimy dobrze. Ale o potencjał dalszego rozwoju. A wtedy może damy sobie większe szanse na to, aby zagraniczni widzowie oglądali polskie filmy jeszcze częściej.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Kraków patrzy na Gdynię, czyli o Festiwalu i o polskim kinie

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcia: Biuro Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych/Dystrybutorzy

Groźnie wyglądały w ostatnich tygodniach cienie wiszące nad Festiwalem Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Mogło się nawet wydawać, że się on nie odbędzie.

Wybuchła awantura jak za dawnych czasów! Okazało się bowiem, że niespodziewanie selekcja filmów na festiwal „musi” odbyć się dwustopniowo: tradycyjna Komisja Selekcyjna jak zwykle wybierająca z 40 filmów, a tyle rocznie produkujemy w Polsce, 16 najlepszych, stała się ledwie preselekcją. Po niej bowiem wkroczyło drugie ciało, złośliwie nazwane Komisją Urzędników, by... za twierdzić (bądź nie) wybór lub wybrać własne filmy. Jedni wybrali, drudzy odrzucili i „poza burtą”, bez dania jakichkolwiek racji, znalazły się cztery tytuły.

W tegorocznej produkcji filmowej – bardzo różnorodnej – nie ma tak ewidentnego zwycięzcy, jakim w zeszłym roku była *Zimna wojna*.

Urażeni członkowie komisji pierwszej postanowili wycofać swoje nazwiska, a środowisko filmowe zaprotestowało. Sądząc po sile i liczbie podpisów na różnych listach, pewnie te dwa stopnie selekcji były realizacją jakiegoś wspaniałego pomysłu ministerialnego, bo szybko i niespodziewanie środowisko mocno się zjednoczyło. A wątpliwość była taka: czy „festiwal zbojkotować”, „wycofać filmy” czy też ogłosić, że będzie to, być może, ostatni Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni? Wielka, historyczna i zasłużona, bo działająca od 1974 roku, a więc w różnych warunkach politycznych i jako jedyna prezentująca zawsze najlepsze polskie produkcje ekranowe, mająca niezmiennie powodzenie, zawsze świetnie zorganizowana impreza mogłaby przestać istnieć?

Na szczęście urzędnicy ustąpili i przywrócili sporne tytuły. Właściwie nawet nie wiadomo, dlaczego sporne. Ot, tak sobie! I pomyśleć, że zaledwie dwa lata temu, po zakończeniu festiwalu jedna z nagrodzonych reżyserek powiedziała z estrady: „My na-

prawdę wiemy, jak robić filmy, tylko nam nie przeszkadzajcie!”. Dlaczego więc nagle znów stało się ostro? I dlaczego z takim idealnym odwołaniem się do obyczajów z epoki miniojnej? Nic dziwnego, że przypomniawszy historię z 1977 roku, kiedy też nagle zjednoczeni reżyserzy wystąpili przeciwko przedstawionym na festiwalu (odbywającym się jeszcze w Gdańsku) postulatami ministerialnym. To wówczas nowy szef kinematografii Janusz Wilhelmi przedstawił takie zmiany organizacyjne w polskim kinie, które miały produkcję i organizację całkowicie uzależnić od władz, a nawet doprowadzić do likwidacji istniejących od 1956 roku, unikatowych w skali całego bloku komunistycznego, bo między innymi zapewniających twórcom względną swobodę, Zespołów Filmowych.

Może zresztą plan był odwetem za to, że Zespoły mimo cenzury potrafiły doprowadzić do zaistnienia głośnego i buntowniczego kina moralnego niepokoju? Minister nie spodziewał się aż takiej jedności środowiska, więc cichcem próbował namieszać w werdykcie: nagrodzono *Barwy ochronne* Krzysztofa Zanussiiego „przeciwko” Andrzejowi Wajdzie, który za *Człowieka z marmuru* nie otrzymał nic. Ale skłócenie środowiska się nie udało, bo Zanussi w akcie solidarności nie odebrał nagrody, a Wajda dostał od dziennikarzy supernagrodę nieformalną – cegłę Birkuta. Taką samą, jaką budując Nową Hutę, układał w filmie *Mateusz Birkut*. Wręczaliśmy wtedy wszyscy tę cegłę na schodach, przed budynkiem festiwalowym, bo tylko tam nas wpuszczono, a atmosfera była prawdziwie podniosła i... wolnościowa. Cegłę naszą przekazał Wajdzie red. Andrzej Ochalski, który po powrocie do Warszawy natychmiast został wyrzucony ze swojej redakcji.

Dlaczego więc nagle w tym roku znów się podejrzanie zakotłowało? Czyżby – jak przebiekają niektórzy – była to przygrywka do rychłego partyjnego przejęcia mediów? Są jeszcze dwie dziwne atrakcje.

Jedna – to zrazu tajemniczy, bo dozowany publiczności po jednej sekwencji i tylko w internecie, film o politykach rządzących, zatytułowany po prostu *Polityka*, a zrobiony przez mocno niekonwencjonalnego twórcę popularnych, a trochę „pozasystemowych” tytu-

łów, czyli Patryka Vegę. Film już otoczony jest legendą, bo Vega – po mistrzowsku posługując się PR-em (kręci w Chinach, żeby mu nikt tu nie przeszkadzał), zapowiada idealne odtworzenie wyglądu i zachowań najbardziej kontrowersyjnych polityków partii. Szykowany na premierę przedfestiwalową, 6 września, taką, która miała „ustawić myślenie”, zablokowany został przez bohatera wątku homoseksualnego (pomówionego? ujawnionego?). Kto tu komu miałby ustąpić?

Druga atrakcja dotyczy już filmu festiwalowego, zrobionego na dodatek przez szefa

noruje całokształt czyjejs twórczości. W tym roku otrzymuje ją najpoważniejszy dziś polski reżyser, nasz filozof ekranu Krzysztof Zanussi. Sporo pisałam ostatnio o tym artyście, gdyż ten rok, rok osiemdziesiątki Zanussiego, jest pełen dla niego hołdów. Kraków ma tu swój udział, bo to u nas otrzymał nagrodę na Festiwalu Muzyki Filmowej, za czułość dla muzyki, za estetyczną konsekwencję i artystyczną wierność patronowi naszego festiwalu Wojciechowi Kilarowi. A poza tym w czerwcu, właśnie w urzędzie naszego miasta obchodził Zanussi swoją rocznicę! Bo tu



Obywatel Jones, reż. Agnieszka Holland

Stowarzyszenia Filmowców Polskich Jacka Bromskiego. Klasyczny thriller polityczny w najlepszej obsadzie, z Gajosem, Sewerynem i Łukaszewiczem, zatytułowany został na swoje nieszczęście *Solid Gold*. Wystarczyło, żeby się skojarzył. Współproducent filmu, TVP, zażądał, by puścić film przed samymi wyborami jako głos oskarżycielski. Na razie jeszcze nikt nie zapytał, czy można tak sobie pomiać filmem w celach politycznych, bo coś się komuś skojarzyło.

Atmosfera wprowadzająca w Festiwal była więc nietypowa. Wzmagająca oczywiście za interesowanie samą imprezą, choć niepotrzebnie stawała się podobna do tej z dawnych czasów. Ale w tej atmosferze, trochę buntowniczej, trochę plotkarskiej musi odbyć się wszystko to, co w strukturze każdego festiwalu zwraca uwagę na samą sztukę kina w Polsce. Ważnym elementem jest specjalna i osobna, uroczysta i wzruszająca nagroda Diamentowych Lwów, która ho-

jest zawsze serdecznie widziany, w podzięce za swoje krakowskie początki: choć jest warszawiakiem, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, a pierwsze szlify filmowe zdobywał w Amatorskim Klubie Filmowym w Nowej Hucie.

Panie Krzysztofie, jesteśmy z panem na zawsze! Wielkie życzenia i gratulacje także od Krakowa i od miesięcznika „Kraków”!

*
W tegorocznej produkcji filmowej – bardzo różnorodnej – nie ma tak ewidentnego zwycięzcy, jakim w zeszłym roku była *Zimna wojna*. Są wprawdzie dwa filmy sprawdzone na światowych festiwalach, ale nie wiem, czy mogą ją zastąpić czy też być nowym głosem? Pierwszy to *Słodki koniec dnia* Jacka Borcuha z główną rolą Krystyny Jandy, nagrodzoną na niezależnym festiwalu w Sundance. Jest w nim rzeczywiście wszystko to, co teraz jest w filmie potrzebne: opowieść o polskiej poetce, noblistce (osoba fikcyjna), jest opowieścią o wolności, o uchodźcach, o miłości, ale także

o tym, co możemy światu dać jako zachodnia cywilizacja. A w tle jest piękna Toskania, filmowe miejsce akcji. I jest jeszcze brawurowe przemówienie noblistki przed radą miasta, oskarżające włoski rząd, które jest takie, jakby było specjalnie napisane dla Jandy. Drugim filmem jest brawurowa międzynarodowa superprodukcja Agnieszki Holland, ze znakomitą rolą odkrytego przez nią brytyjskiego aktora Jamesa Nortona. Tu ważniejszy jest jednak temat: to opowieść historyczna, która pierwszy raz ujawnia na ekranie stalinowską zbrodnię, jaką był Wielki Głód na Ukrainie w latach

wrót kina gatunkowego. Klasycznym kryminałem, czyli filmem zatytułowanym *Czarny mercedes*, powraca do kina, po *Ekscentrykach*, sam Janusz Majewski. Janusz Majewski jest ujmująco... samowystarczalny! Najpierw pisze powieść, potem sam przerabia ją na scenariusz, wreszcie, jeśli jest taka możliwość – realizuje z tego film. I jeszcze robi to świetnie. Bo to jeden z nielicznych twórców, który potrafi się kinem bawić!

W tej „pozapolitycznej atmosferze” mieści się na Festiwalu mnóstwo różnorodnych filmów zarówno gatunkowych (choćby wy-



Słodki koniec dnia, reż. J. Borcuch

1932–33, czyli sposób, w jaki Stalin chciał podporządkować sobie niezależny naród ukraiński. Norton gra angielskiego dziennikarza, który odkrywa tę sprawę i powiadamia o niej świat. I dziennikarz jest autentyczny i sprawa też, choć świat szybko o niej zapomniał. A film zrealizowany z epickim rozmachem i z zacięciem zarówno kryminalnym, jak i politycznym ma równocześnie, jak to u Holland, umiejętność skupienia się nad meritum zdarzeń historycznych. Film został znakomicie przyjęty na Berlinale, choć nie dostał tam żadnej nagrody. Może jego uniwersalizm wydał się oparty na zbyt odległym mentalnie temacie? Bo może teraz na historię trzeba patrzeć, by tak rzec, prosto? I to nie tylko u nas?

Też mamy coś takiego w konkursie: *Legiony* Dariusza Gajewskiego i *Piłsudskiego* Michała Rosy. A nadto znanego już *Kuriera* Władysława Pasikowskiego, czyli mały fragment życiorysu Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

Na szczęście, nie samą polityką żyje człowiek. Dlatego warto zwrócić uwagę na po-

świetlany już wcześniej fascynujący thriller i horror Borysa Lankosza *Ciemno, prawie noc*, jak i poetyckich, autorskich (czekam na Lecha Majewskiego i jego zawsze oryginalną wyobraźnię, tym razem w filmie *Dolina Bogów*). Ale może najważniejszy będzie ten skromniutki film Xawerego Żuławskiego, oparty na scenariuszu ojca, czyli *Mowa ptaków*? Wielki Andrzej Żuławski umierając, dał synowi swój ostatni scenariusz. Czy to miał być testament ojca czy ojcowskie sprawdzenie syna jako twórcy? W każdym razie czuje się w filmie u twórcy i duszę na ramieniu, i świadomość egzaminu. Całym sercem jestem „za”!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

 **Kraków**

 **NARODOWE CZYTANIE**
Patronat Honorowy Pary Prezydenckiej

NOWELE
POLSKIE

NARODOWE CZYTANIE z Biblioteką Kraków

7 WRZEŚNIA 2019

godz. 11.00

Scena przed Nowohuckim Centrum Kultury, al. Jana Pawła II 232

godz. 13.00

Scena na pl. Szczepańskim

Wybrane utwory wybitnych polskich pisarzy czytać będą przedstawiciele krakowskiego świata kultury i sztuki, instytucji i lokalnych władz samorządowych.

Na pl. Szczepańskim zostanie również uczczona 200. rocznica urodzin wielkiego kompozytora Stanisława Moniuszki, którego utwory zaprezentują chóry oraz tancerze, a cały program będzie transmitowany online do Centralnej Biblioteki w Wilnie.

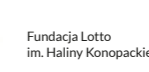
Organizator:



Współorganizatorzy:



wPartnerzy:



Jak byłem prezesem (II)

Tekst: Jan Pieszczachowicz

Pełnienie funkcji prezesa krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich było poważnym obciążeniem, ponieważ statutowo wszedłem też w do składu Zarządu Głównego.

Znaczenie ówczesnego ZLP i środowiska literackiego w porównaniu z dzisiejszym było potężne. Kiedy jako prezes dzwoniłem do jakiejś figury państwowej, rzadko się zdarzało, żeby nie odebrała telefonu.

Jeździłem więc na posiedzenia, które prowadził Jarosław Iwaszkiewicz. Służbowy samochód przywoził go z podwarszawskiej posiadłości Stawisko. Zapamiętałem z nich choćby to, że Iwaszkiewicz nie przepadał specjalnie za Jerzym Putramentem (chyba z wzajemnością). Na tych zebraniach Putrament po-

w wyborach co ja. Trochę mnie to zawstydzało, ale naprawdę się starałem i biegałem między biurem ZLP, gdzie pracowałem (oczywiście społecznie), a Wydawnictwem Literackim, gdzie zarabiałem na utrzymanie.

Kiedy wyremontowano, a właściwie odbudowano czternastowieczną kamienicę na ul. Kanoniczej 7, przeniesiono tam biuro Związku. W kilka dni po objęciu Kanoniczej 7 przyszedł z kurii krakowskiej taki rachunek za czynsz, że złapałem się za głowę i zwołałem posiedzenie zarządu. Jerzy Turowicz powiedział: – To trzeba mu (czyli mnie) wyjednać spotkanie z kardynałem Wojtyłą, może coś opuści.

Poszedłem, otworzył drzwi sekretarz Stanisław Dziwisz, no to mówię (znałem go wcześniej): – Eminencjo, kardynał sam pisarz i tak łupić literatów! On się za głowę złapał: O XY (tu padło nazwisko ówczesnego kancлера kurii) u nas w kurii mówią, że jak się kładzie spać, to jeszcze szuka w kieszeni piżamy 100 zł. I czynsz kazał obniżyć.

16 października 1978 roku odbywało się akurat na Kanoniczej zaaranżowane przez Władysława Machejka zebranie, na którym referent pouczał pisarzy, że jest w Krakowie takie towarzystwo, do którego należy kardynał Wojtyła i przysparza ono partii sporo kłopotów. W tym momencie – nie do uwierzenia, ale to fakt – usłyszeliśmy dzwony w całym Krakowie. Coś się stało. Bufetowa Muszka wpadła i poszeptała coś Hołujowi na ucho. Hołuj wyrzucił ręce w górę i zawołał: – No to leżymy, Wojtyła został papieżem!

A ja udałem się na górę do biura i wystosowałem do Ojca Świętego gratulacje od krakowskich literatów. Jakiś miesiąc później przysłała odpowiedź na złożonym arkuszu, że Jego Świątobliwość dziękuje krakowskim pisarzom za życzenia i śle pozdrowienia dla kolegów po piórze.



Jan Pieszczachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika

„Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.

Panowie Iwaszkiewicz i Putrament nie bardzo się kochali. Na tych zebraniach związku Putrament początkowo był jeszcze w dość dobrej kondycji. Potem był w gorszej, wykrzykiwał, machał rękami, bo on chciał być ważny, a Iwaszkiewicz stukał swoją grubą laską i wołał: – Putrament, ty się uspokój, bo ja już nie wytrzymam! – Tamten chichotał, ale się trochę uspokajał.

czątkowo był jeszcze w dość dobrej kondycji. Potem był w gorszej, wykrzykiwał, machał rękami, bo on chciał być ważny, a Iwaszkiewicz stukał wtedy swoją grubą laską w podłogę i wołał: – Putrament, ty się uspokój, bo ja już nie wytrzymam! Tamten chichotał, ale się trochę uspokajał.

Musiałem się jakoś sprawdzić, skoro wybrano mnie na następną kadencję, a potem jeszcze na jedną, przerwana przez rozwiązanie ZLP. Poznałem wtedy wielu pisarzy i z wieloma się zaprzyjaźniłem. Kiedy byłem wkurzony, bo nie mogłem podjąć wspólnie z moimi kolegami z Zarządu żadnej decyzji, powiedziałem Kornelowi Filipowiczowi, który był jednym z ojców mojej prezesury, że już nie wytrzymam. Kornel zareagował w swoim stylu: wciągnął mnie za szafę, miał ze sobą zawsze maniereczkę, a w maniereczce bełkotał jakiś trunek, nalał mnie i sobie i mówi: – Nie przejmuj się, literaty-wariaty.

To sobie powtarzałem, ale tylko w cztery oczy z sobą samym. Byłem najmłodszym prezesem oddziału ZLP w Polsce, a moi czcigodni poprzednicy w Krakowie, choćby Kazimierz Wyka, nigdy nie dostali tylu głosów



Krzysztof Daukszewicz

Wystąpił Jacek Balcewicz Zdjęcie: Jacek Balcewicz

Krzysztof Daukszewicz: Mogę powiedzieć, że w Krakowie narodziłem się dla satyry i kabaretu. Tu ujawnił się kod mojej duszy. Jako 17-letni uczeń Liceum Pedagogicznego w Szczytnie przyjechałem do Krakowa z wycieczką szkolną. Wprawdzie nie bardzo jeszcze wiedziałem, czym jest „Piwnica pod Baranami”, ale już pierwszej nocy uciekłem z bursy, w której nocowałem – na kabaret. Nie miałem pieniędzy na bilet, ale miałam podobno taką desperację w oczach, że pan Franek, z którym później się zaprzyjaźniłem, mnie wpuścił. Następnej nocy zrobiłem dokładnie to samo, udając się do Jamy Michalika, gdzie akurat grali *Trędowatą* w obsadzie męskiej. Strasznie śmieszne przedstawienie, które zaczynało się prologiem. „Panie ministrze kultury, takie dzieła narodowe niszczyć, które trzeba pokazywać. Panie ministrze...” i wtedy snop światła padał na ścianę, na której wisiała motyka. Gdyż ministrem kultury był wtedy Lucjan Motyka. Gdy drugiej z rzędu nocy zwiąłem na kabaret, chcieli mnie wyrzucić ze szkoły. Wybroniła mnie moja znakomita wychowawczyni, ale i tak szkołę ukończyłem z trójką ze sprawowania na świadectwie.

Później zaprzyjaźniłem się z Piotrem Skrzyneckim, który ofiarował mi honorowe obywatelstwo Piwnicy pod Baranami, a z Markiem Pacułą wywinęliśmy niejedną numer nie tylko kabaretowy. W piwnicy hotelu Pod Różą przy Floriańskiej z Januszem

Gajosem mieliśmy kabaret Hotel Nitz. Ja byłem początkującym, nikomu specjalnie jeszcze nie znanym artystą – a on był Jankiem Kosem z *Czterech pancernych*, więc chętnie zapraszali nas do jednostek wojskowych.

Czasy się zmieniły, kiedyś, gdy szedłem przez krakowski Rynek, słyszałem donośny szepot: o pan hrabia idzie, teraz zabiegają mi drogę z cennikiem i wykrzykują „tour”, gdy idę z synem Grzegorzem mówią: o, popatrz doktor Adam idzie! Ten z *Na dobre i na złe*. O Krakowie napisałem wiersz, umieściłem go w tomiku, który wydałem tylko dlatego, by na nagrobku mogli mi napisać „poeta”.

Przyjechałem do Krakowa spacerować wiosną po Rynku,

Co drugi człowiek idący chodnikiem trzymał w rękach tomik wierszy.

Dużo tu czytają – pomyślałem głośno. Nie! Dużo tu piszemy – usłyszałem.

Wtedy zrozu miałem: to są poeci. Każdy z nich miał własny tomik.

Wszystkie one były cieniutkie, jak dawne zeszyty szesnastokartkowe.

No, ale krakowiaczy nierozrzućni przecież!

Nagle zza Mariackiego kościoła wyłoniła się grupa osób bez książek.

Czyżby to byli ludzie z Nowej Huty? Nie, to szli cudzoziemcy!

Krzysztof Daukszewicz – namiętny pokerzysta, zawodowy wędkarz (reprezentował Polskę na mistrzostwa Europy w spinningu), prezes Koła Wędkarzy Artystów Scen Polskich, znawca i miłośnik whisky, smakosz samogonu (najlepszy pił na Wileńszczyźnie). Animator i menadżer kultury (był dyrektorem

Miejskiego Domu Kultury w Szczytnie, kierownikiem literackim Teatru na Targówku w Warszawie), satyryk, poeta, piosenkarz, gitarzysta, kompozytor, jeden z filarów polskiego kabaretu. Do jego historii przeszedł, wymyślając cykliczną formułę *Listów do Pana Hrabiego*.



Rys. Andrzej Żaręba

Smacznego!

Tekst: Mieczysław Czuma

Pomysł, najważniejszy jest pomysł. Zawsze, przy każdej robocie. Wszystko jedno, czy szyje się buty, gotuje jajko na miękko czy buduje się stację kosmiczną. Bez dobrego pomysłu każda robota na nic.

Dawno, dawno temu, bo w latach 60. ubiegłego jeszcze stulecia, postanowiono przywrócić miastu i światu kultowe miejsce, jakim były kiedyś (a i są nadal) piwnice pod wieżą ratuszową na Rynku. Zamiarowano wtedy mianowicie udostępnić wiekowe wnętrza szerokiej publiczności i urządzić tam stylową kawiarnię. Kolejne terminy otwarcia oczekiwanego powszechnie lokalu były jednak wciąż odraczane. A to dlatego, że na środku pomieszczenia zalegał olbrzymi głaz. Był nie do ruszenia. Za ciężki, by go dźwignąć, za wielki, by precyzyjnie się z nim w wąskiej i krętej klatce schodowej.

Był to relikw z odległej przeszłości. Kiedy w roku 1820 wyburzano przylegający do wieży czteropiętrowy budynek gotyckiego ratusza, ten wielki kamień oderwał się z największej wysokości, przebił wszystkie stropy i osiadł w piwnicy. Teraz stał się problemem dla najtęższych głowaczy. Skruszyć się go nie da, bo za twardy. Rozsadzić dynamitem? Nie, bo ucierpią zabytkowe mury. Potraktować jakimś żrącym kwasem? Mowy nie ma, zatruje się środowisko. Nad problemem z powagą pochylali się najwybitniejsi specjaliści z AGH i Politechniki. Bezradna okazała się fizyka i mechanika, nic do powiedzenia nie miała chemia. Słowem, absolutna kłapa.

I wtedy do gry przystąpili ci, którzy mieli pomysł: „Będzie pół litra, to zerwiemy nockę, nie pośpimy i na rano kamienia nie ma”. To słynna oferta złożona na ręce profesorów Wiktora Zina i Karola Estreichera przez dwójkę zatrudnionych przy robotach kolesiów z Półwsia Zwierzynieckiego. Na taką propozycję odpowiedź mogła być tylko jedna, że oczywiście będzie pół litra i to z najwyższej półki. Kiedy na drugi dzień uczeni mężowie zeszli do piwnic, nie wierzyli własnym oczom, olbrzymi głaz zniknął. Ci z Półwsia Zwierzynieckiego oznajmili tylko skromnie, że wykonali całą robotę przy użyciu dwóch wiaderek i jednej łopaty. Za pomocą którego to sprzętu wkopali kamień w matkę ziemię.

Nie bez powodu rozpisuję się o tym zapomnianym już epizodzie teraz właśnie. Kraków w tym roku piastował (oznajmiany wielkimi literami) tytuł Europejskiej Stolicy Kultury Gastronomicznej. Odnoszę otóż wrażenie, że zabrakło nam pomysłu, co z tym fantem zrobić. Uznaliśmy, że skoro Wisła płynie, trawa na Błoniach rośnie, a hejnał grają co godzinę – wszystko to świadczy o naszej wyjątkowości i do oprawy każdego świętowania wystarczy. Przyszłe – ci z bliska i ci z daleka – robili to, co zawsze: zamawiali rosół z makaronem, schabowego z kapustą zasmażaną, nadziewane na dziesiątki sposobów pierogi. No i wszystkie inne wspaniałości wypisywane w kartach dań. Wątpię nawet, czy byli świadomi,

że spożywają te smaki w mieście naznaczonym na stolicę europejskiego żarcia.

Nieśmiało zauważę, że była okazja, aby z namaszczaniem zaserwować przybyłym gościom to, co najbardziej nasze. I wyposażyc ich w wiedzę o takich krakowskich specjach, które zrobiły błyskotliwą karierę i zasiły gastronomiczną ekstraklasę. Niechby więc rozgłaszali potem po świecie, że to maczanka krakowska jest prababką hamburgera, że kiełbasa krakowska jest od stuleci niekwestionowaną kró-

My, krakowianie, uważamy, że skoro Wisła płynie, trawa na Błoniach rośnie, a hejnał grają co godzinę – wszystko to świadczy o naszej wyjątkowości i do oprawy każdego świętowania wystarczy.

lową wędlin, że uwielbiane na ulicach Manhattanu bajgle są rodem z krakowskiego Kazimierza.

Była okazja, aby przywołać na stoły kultowy kiedyś przysmak, który całkiem już wyparował z naszego kulinarne krajobrazu. To głąbiki, pewien gatunek sałaty, której liście nie wiązały się w główki, a która wypuszczała na wysokość prawie metra okazały pęd kwiatowy o grubości dwóch, trzech centymetrów. Uprawiano to warzywo na czarnoziemach Krowodrzy, Bronowic, Czarnej Wsi. Gruby pęd krojono na kawałki, które kwaszono z dodatkiem soli, czosnku, szczypty cukru. Ten orzeźwiający przysmak serwowany był prosto z beczek, zawsze na placu Szczepańskim. Raczyły się nim o poranku rzesze nocnych balangowiczów, młodopolska cygania, dorożkarze, furmani, uniwersytecka profesura. Tej sałacie nauka przypisała jakże godny łaciński termin: *Lactuca cracoviensis*.

A można było jeszcze czymś zaskoczyć i samych krakusów. Któregoś z placów zamienić w restaurację, której gospodarzami byłoby prowadzący pod Wawelem swoje interesy zadomowieni tu przyszłe. Raczylibyśmy się więc tym, co węgierskie, wietnamskie, indyjskie, czeskie, perskie, słowackie, ukraińskie, arabskie, greckie, rosyjskie... Można było. Ale przyszło obejść się smakiem. W każdym razie, smacznego!



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Miasto na kozetce

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Lato było gorące i minęło jak zawsze – w mgnieniu oka. Pielęgnowałam swoją miejskość w różnych europejskich miejscach, także tam, gdzie z powodu upału na termometrach zabrakło skali. Oferty kulturalne Krakowa i Warszawy były powalające – działa się tyle, że gdyby to zmierzyć, też by zabrakło skali. Ale była też niespodzianka.

I zdarzyła się w Łodzi. To znaczy ja akurat trafiłam na nią w Łodzi na Transatlantyku, ale był to przypadek, bo pojawiła się wcześniej na krakowskim festiwalu Off Camera i wierzę, że jeszcze po festiwalowej Polsce pojeździ. Tą niespodzianką był dokument

Jakim zwierzęciem jest miasto? Jaki ma kolor? Jacy są rodzice miasta? Gdyby miasto było człowiekiem, jaką miałoby płęć? A Kraków?

Diagnosis w reżyserii Ewy Podgórskiej. Zdumiewający efekt czegoś na kształt sesji terapeutycznej, do której twórcy zaprosili mieszkańców miasta (długo w filmie nie pada jego nazwa, ale nie ma to ostatecznie większego znaczenia). Sesja, podczas której omawiana miała być relacja z miastem, i która gładko przekształca się w podróż w głąb samego siebie, okazuje się potwornie smutna. Zdumiewające było to, że wszyscy bohaterowie, bez żadnych wcześniejszych konsultacji i bez względu na doświadczenia oraz nastawienie do życia, wystawili miastu ocenę raczej trudnej niż satysfakcjonującej relacji.

Kluczem w tym eksperymencie na granicy kina i psychologii były pytania zadawane mieszkańcom. Normalnie nie bralibyśmy ich na poważnie, ale od tygodni wracają do mnie i wydają się coraz bardziej fascynujące. Jakim zwierzęciem jest miasto? Jaki ma kolor? Jacy są rodzice miasta? Gdyby miasto było człowiekiem, jaką miałoby płęć? Kuszą, aby na nie odpowiedzieć.

Jakim zwierzęciem jest Warszawa? Psem. Wiernym, kundlem, ale z aspiracjami. Wytrzymałym, przywiązanym, ale radosnym, gdy tylko da się mu jakiś powód. Potrafi szaleć bez końca, ale i wstaje wcześnie rano bez marudzenia. To taki pies, który nie znosi samotności, dużo z siebie daje i jest wdzięczny, gdy otrzymuje choć trochę w zamian. Pies jest szary z jedną białą i jedną czarną łatą. Nieduży, taki do połowy łydki. Ma młode oczy, ale sam nie jest już taki młody, raczej 10-letni, który w stadzie nie musi już niczego udowadniać ani walczyć.

Jaki kolor ma moje miasto? Nie mogę się zdecydować. Na pewno zielony, ale taki pomieszany z czymś na granicy lawendy i fioletu. Kompletnie nie wiem dlaczego... Atrakcją *Diagnosis* jest siła inspiracji i żarłiwe wręcz, powtarzane pytania, na które chcą odpowiadać też widzowie. Podczas dyskusji po projekcji wszyscy pytają o ciąg dalszy. Czy autorki, czyli Ewa Podgórska i producentka, a zarazem pomysłodawczyni Małgorzata Wabińska, planują takie sesje w innych miejscach? Nie mówią nie, a potencjał

nie tylko społeczny, ale i towarzyski, marketingowy jest widoczny.

Eksperymentuję dalej, bo ktoś może powiedzieć, że dałam się zmanipulować temu dokumentowi i wyobraźnia poddaje mi takie, a nie inne odpowiedzi. Siedzi koło mnie warszawiak, muzyk, niespełna 40-letni. Dla niego Warszawa jest ośmiornicą. Mówi mi, że macki to są różne miejsca i emocje. Każda reprezentuje inny charakter. Czy Warszawa jest kobietą czy mężczyzną? Twierdzi, że kobietą, bo sugeruje to już nazwa, ale właściwie jest tego pewien, bo Warszawa jest zdradliwa. Pytam o rodziców jego miasta. Szybko odpowiada, że wychodzi na to, że rodzice Warszawę porzucili. Wszystkie odpowiedzi padają w ciągu paru sekund.

Niesamowite jest, jak odbieramy miejsce, w którym toczy się nasze życie i jaką energię potrafimy w nim zobaczyć. Prawdą jest chyba też to, że nie każdemu wszędzie będzie się dobrze żyło. Po 12 latach mieszkania w Krakowie przeprowadzka do Warszawy oznaczała dla mnie zmianę tempa życia. Co ciekawe, na dużo wolniejsze. Dokuczliwe poczucie, że mam tysiąc spraw do załatwienia, ustąpiło tu miejsca wolniejszemu oddechowi, przesiadłam się na rower i choć nadal lista spraw do zrobienia jest długa, samo załatwianie przychodzi z wolnością. Znam oczywiście mnóstwo osób, które poczuły się kompletnie na odwrót.

Przemyślenia po *Diagnosis* odnoszą się również do kreatywności. Tych wątków w filmie właściwie nie ma, ale może dałyby się je rozwinąć. Na przykład tworząc mapę popularnych domów pracy twórczej, o ile one w ogóle jeszcze istnieją. Pamiętam rozmowę o Katowicach, w której zastanawiano się, dlaczego skupiały tak wielu świetnych twórców i ktoś (Górecki albo Lech Majewski) powiedział, że pewnie przez pokłady węgla pod ziemią, które są pulsującym, niedającym spokoju wulkanem pomysłów. Od lat oblegany przez teatr Kraków mógłby się wpiąć w taką rozmowę.

Mało rozmawiamy o miastach. Szkoda, bo w sumie poświęcamy im całe życie. Jakim zwierzęciem jest Kraków? Jaki ma kolor? Czy jest mężczyzną? Co się stało z jego rodzicami?



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Samotność językowej purystki

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Tym razem nie będzie o alkoholu. Jest coś gorszego niż wszystkie nałogi świata razem wzięte. Miłość.

Te wszystkie znaki zapytania („czemu nie odpisuje?”), fantazje erotyczne z końca darknetu (nie przytoczę), kłamstwa („uwielbiam gotować!”), wpisywanie w wyszukiwarkę „jak zabić się bez śladu” (kiedy znów nie odpisuje)... Nie, to nie dla mnie. Człowiek myśli, że występuje w najlepszej sztuce, a potem kończy w jakimś żalnym monodramie napisanym przez licealistę. I znów odkrywa, że oni wszyscy mają jedną wspólną cechę – każdy jest tak samo nieodpowiedni. Nie, nie, nie. Wybieram miłość do ojczyzny. Też jest nieodwzajemniona.

Ale są tacy, co to się nigdy nie poddają, nawet jak krak nad nimi zamarza. Na przykład taki jeden weterynarz. Wśród koleżanek zdobył najwięcej punktów. Dobre serce, z żoną rozwiedziony i nawet ma na to stosowny papier. Ratuje przed śmiercią pasikoniki, opatruje chore łapki, przyjmuje porody trzody. Ideał.

Siedzimy w kawiarni. Gdy słyszy, że nie jem mięsa, wybiera danie wegetariańskie. Punkt. Zadaje pytania i chyba nie udaje, że jest zainteresowany odpowiedzią. Dwa punkty. Odróżnia Wojciecha Manna od Tomasza Manna. Trzy. Niestety, szybko wychodzi na jaw, że więcej wie o „Szansie na sukces”.

Przy pierwszym „umią” wmawiam sobie, że się przesłyszałam, przy drugim natychmiast się karczę, że nie można skreślać człowieka przez jedno słowo. Mija kolejne piętnaście minut, podczas których na przemian wzywam imię profesora Miodka i kelnera, by mi jeszcze trochę polał. Wyobrażam sobie, że niczym w filmie Woody’ego Allena zza winkla wychodzi Jan Miodek pod rękę z profesorem Bralczykiem i czule tłumaczy mu, czym różnią się ci, którzy umieją, od tych, którzy tylko umieją. Jednak najgorsze dopiero przede mną.

Dowiaduję się, że ekszona nie chciała mieć dzieci, bo ważniejsza była dla niej kariera.

– Ale niby jaka kariera? – pyta weterynarz z pogardą.

Noo, kochany... Jeszcze słowo, a utopi cię fala feminizmu.

Następnie słyszę, że pożycie z byłą żoną było niesatysfakcjonujące, bo ją „ciągnęło” do rodzinnego domu.

Gdy mija pierwszy szok, w karafce nie ma już połowy wina. Oczywiście to ja wlałam je sobie jednym haustem. Niech prezydent Majchrowski pozwoli otworzyć na Wawelu lochy, do których mogłabym takich dusicieli polszczyzny wtrącić! On wychodzi na papierosa. Uff! Trzeba wykorzystać ten moment. Teraz albo nigdy, jak w filmie sensoryjnym. Wyjmuję telefon i w półochu pytam po kolei wszystkich przyjaciół, jaki temat poruszyć, by jak najszybciej, niby to z przyczyn naturalnych, zakończyć raz na zawsze to spotkanie.

Padają różne odpowiedzi, ale jedna wydaje się naprawdę skuteczna:

„Może pogadaj z nim, nie wiem, o eutanazji?”

Znakomity pomysł!

Opowiadał więc z zapałem o umieraniu na życzenie i specjalistycznej kapsule do samobójstwa, którą wynalazł pewien bioetyk z Australii. Wystarczy położyć się w maszynie przypominającej fotel do masażu z zamykanym wiekiem, wpisać cztery cyfrowy kod, a tlenek azotu zabierze cię w wieczne objęcia Morfeusza. Ale kogo stać na takie samobójstwo VIP? Tańszy jest sznur, można też skoczyć z wieżowca. Dywaguję nad najprostszą i najbardziej ekonomiczną opcją pozabawienia się życia. Weterynarz wytrzymuje dziesięć minut.

Mijają dwa dni, w których rozkoszuję się błogą ciszą w telefonie. Niestety, na trzeci dzień okazuje się,

Niech prezydent Majchrowski pozwoli otworzyć na Wawelu lochy, do których mogłabym wtrącić dusicieli polszczyzny!

że weterynarza coś „ciągnęło”. Akurat jadę pociągiem.

– Wiesz, nie mam jak gadać, jadę pociągiem i mam tylko 2 proc. baterii w telefonie...

On: – Kupię Ci powerbanka!

– Powerbanka? Pfff! Myślałam, że samochód!

Teraz powinien zrazić się na zawsze.

Sobota rano, boldem rozmazuje się na ekranie nieodczytana wiadomość:

On: – Hej, jak tam u ciebie? U nas impreza gruabb. Zakochałem się w tubie!

Wielkim neonem pod powiekami wyświetla mi się moje życiowe motto. Co krzyczał Mel Gibson, gdy go mordowali na końcu w *Braveheart*?

– Freeeeeeeeeeeeeeeddom!!!



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień dziennikarka Interii.

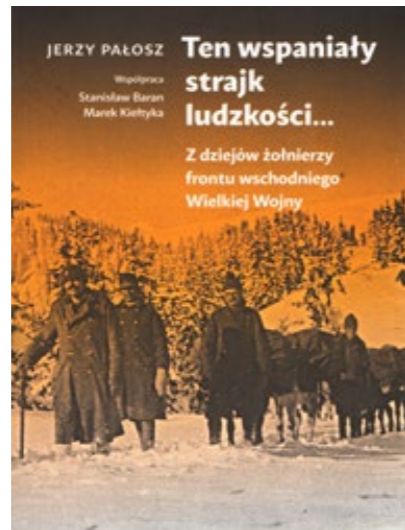


Dżerzi. Tak przez kolegów z Ameryki oraz przyjaciół zwany był Janusz Głowacki. Miałem z nim lekko na pierśku, powody – osobiste z osobistych – pominiemy. Ale Głowacki jako pisarz to zawsze półka najwyższa! Powiedzieć o jego poczuciu humoru to tak jakby, że smok był wawelski. Ale wbrew wizerunkowi facecjonisty był to pisarz także literacko najgłębszy.

Właśnie przypomniano tego Głowę ludyczno-sarkastycznego w zbiorze ponadczasowych felietonów wydanych pierwszy raz naście lat temu. I dobrze. Trudno nie parsknąć śmiechem przy scenie: „Na jednym z sopockich festiwalu niemiecki wykonawca przygotował i chciał wykonać w tak zwanym dniu polskim piosenkę *Powróć się tu, gdzie nadwiślański brzeg*. Po konsultacjach uznano to za aluzję i Niemca pogoniono. A znowuż w 1968 roku, akurat w momencie, kiedy wojska państw Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji, rosyjski piosenkarz szykował się do wykonania piosenki *Dziś bomby lecą na mój dom*. Po konsultacjach zmieniono tytuł na *Pieśń o Wietnamie*. (Choć czy tyle lat po PRL jest to zrozumiałe? Nawet jeśli nadal mamy Telewizję Polską z tamtej epoki?).

Czyta się szybko, jest śmiesznie, czasami nostalgicznie, ale warto usłyszeć, co pisze Eustachy Ryłski – że z tego nie nauczymy się, jak być kochanym. Dlatego pamiętajmy o Głowackim gorzkosłodkim: o dramatach *Fortynbras się upił* i *Antygonie w Nowym Jorku* czy o *Wirówce nonsensu*. wb

Janusz Głowacki, *Jak być kochanym*, Wielka Litera, Warszawa 2019



Żołnierze wyruszający na front w sierpniu 1914 roku nie sądzili, że wojna potrwa wiele lat, pochłonie miliony ofiar, a w psychice tych, którzy przeżyją, pozostawi trwałę piętno „ludzi nakłonionych do nienawiści”. Książka Jerzego Pałosza poświęcona jest zagadnieniom często pomijanym w historii – losom żołnierzy na froncie wschodnim Wielkiej Wojny. Autor nie analizuje działań militarnych, ale przedstawia wojnę widzianą oczami żołnierzy: wyczerpujące marsze, głód, upał lub dojmujące mrozy, wyniszczone i spalone wsie oraz miasta, a także – jak zatyłował jeden z rozdziałów książki – „Przemysłowy ubój ludzi”.

Śmierć w szpitalu uważano często za straszniejszą niż na polu walki. Żołnierzy dziesiątkowała dyzenteria, tyfus czy cholera, a niektórych dotykało szaleństwo wynikające z ekstremalnych przeżyć i doznań. W świetle wspomnień i korespondencji, przytaczanych często przez autora, można zadać pytanie: kto wygrał tę wojnę? Choć lektura jest wstrząsająca, nie sposób się od niej oderwać. (ed)

Jerzy Pałosz, *Ten wspaniały strajk ludzkości... Z dziejów żołnierzy frontu wschodniego Wielkiej Wojny*, współpraca Stanisław Baran, Marek Kiełtyka, Wydawnictwo LIBRON-Filip Lohner, Kraków 2018



Ot, taka przednia miniatura zatyłowana Gowin sam w Nowym Jorku:

„A może jest Wallenrodem? / Lub przynajmniej Kmicicem? / Na sam koniec spod łóżka / wychodzi Książd Tischner / i cierpliwie tłumaczy Gowinowi, czym jest”. Nie mogłaby przecież powstać, gdyby autor nie spędził w Krakowie tylu lat, nie spotkał się i rozmawiał (często i z wzajemną ciekawością – jestem świadkiem) z księdzem Tischnerem i otarł się – by tak rzec, bo tym razem wyraźnie bez entuzjazmu – o Gowina (i tego byłem świadkiem).

Bez Krakowa nie mogłoby zresztą powstać więcej wierszy z tego tomu – miasto jest ich bohaterem nie tylko jako tło wielu, ale i sprawca ich klimatu. A może też po części – obok paru innych czynników: kobiet, książek, płyt, knajp, a i psów – nastrojów samego autora. Nie może być wszak przypadkiem, że po rozmaitych wyprawach Marcina Świetlickiego znowu osiadł w Krakowie.

Ale oczywiście wiersze te (z lat 2016–2019) – ilustrowane rysunkami Marcina Maciejewskiego, a w zasadzie nimi uzupełnione, bo to osobna jakość – dotyczą przede wszystkim, jak to u Świetlickiego, życia. Przykładowo, wciąż, jak to ujmuje, niedokończonego zadania: „Palec losu odgryźć / środkowy palec”. A raczej niedokończonego nigdy. kb

Marcin Świetlicki, *Ale o co chodzi?*, Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2019



Na przełomie lat 1970/80 był to kultowy punkt kulturalnej mapy Krakowa – trzydzieści osiem miejsc i stąd nazwa: Teatr 38. Na salę wchodziło się przez lata przez klub Pod Jaszczurami, a potem, po konflikcie i zamurowaniu przejścia, pojawiły się kręte schody, wychodzące tuż przed sceną.

A na scenie Ionesco, Beckett, genialny *Proces* Kafki. Inspiracje Jana i Wandy Błońskich. Spektakle Kajzara, Skupnia, Hussakowskiego. Muzyka Pendereckiego. Jerzy Cnota, Mieczysław Świącicki i Wiesław Dymny. I inni...

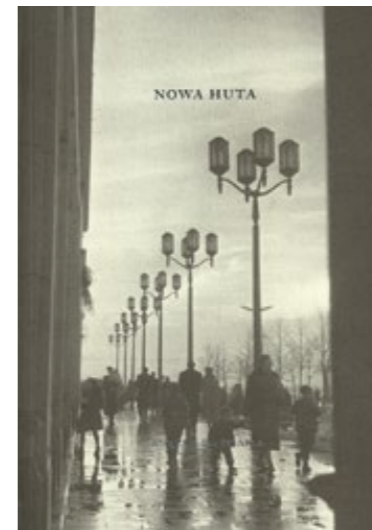
Teatr powstał na fali odwilży 1956 roku i długo był istotnym elementem pejzażu kulturalnego miasta. Potem były zakręty – zamknięcie w stanie wojennym, otwarcie, upadek, ale i wskrzeszenie w wolnej Polsce. Dziś „38” wciąż przędzie, ale, jak każdy wie, nie ten klimat...

Autorzy zauważają, że scena różniła się – i repertuarowo, i artystycznie – od teatrów studenckich ciężących ku polityce. „38” sięgał po wielką literaturę współczesną, przenosząc ją śmiało, a i obrazoburczo.

W książce jest i historia, od Waldemara Krygiera do ostatniego szefa, niezującego już, Piotra Szczerskiego. I lista premier. Wreszcie: głos oddano związanym z teatrem twórcom.

Jak pisze we wstępie Marek Karwala: „To symultaniczna wypowiedź postaci reprezentujących różne pokolenia połączone jednym węzłem – miłością do sztuki teatralnej”. (wb)

Stanisław Dziedzic, Tadeusz Skoczek, *Teatr 38*, Fundacja Promocji Kultury Urwany Film, Kraków 2018

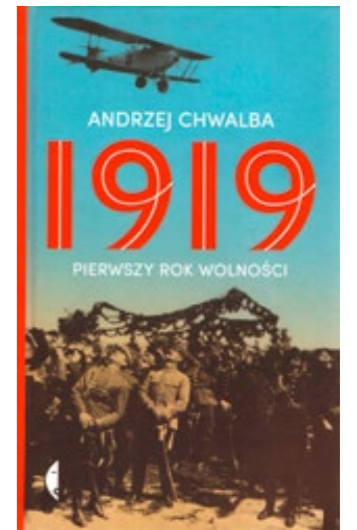


Utwór literacki o Nowej Hucie? Pierwsze skojarzenie to *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka, manifest polskiej odwilży połowy lat 50. ubiegłego wieku. Plus głośny niedługo potem reportaż Ryszarda Kapuścińskiego. Oraz kilka socrealistycznych produkcyjniaków – spod zacnych piór wszakże, bo Brandysa (Mariana), Brzechwy, Filipowicza, Mrożka czy Szymborskiej – pochodzących.

Okazuje się wszelako, że o Nowej Hucie (szeroko pojmując) pisano więcej. Zaczął Hugo Kołłątaj, wołając w wierszu: „Krzesławice! Wioseczko moja ukochana / Z rąk niecnego jurysty niedawno wyrwana!” i marząc o spokojnym życiu w tej okolicy. Jarosław Iwaszkiewicz wspominał widok Tatr, jakiego doświadczył „we wsi Mogiła, kiedy kwitły jabłonie i oracze wyszli na pole”. Dodał tylko na koniec: „A teraz tych ludzi już nie ma i tego widoku nie ma”. Potem o Hucie wspominał Jerzy Pilch (mieszkała tam Jola Łukasik, ważna bohaterka *Spisu cudzołożnic*), Marcin Świetlicki (słynna fraza „Kraków i Nowa Huta / Sodomą z Gomorą / Z Sodomy do Gomory jedzie się tramwajem”). Pisał wreszcie nowohucianin Sławomir Shuty.

A że wybór poświęconych miastu (czy dzielnicy Krakowa?) tekstów ukazał się w zyskującej uznanie serii „Książka do pisania”, można dołączyć i własne wrażenia. Zwłaszcza że atmosferę przypominają wielkie fotogramy Wiktora Pentala, Zbigniewa Łagockiego i Henryka Makarewicza. kb

Nowa Huta, Austeria, Kraków 2019



Do lektury kolejnych publikacji znakomitego krakowskiego historyka prof. Andrzeja Chwalby nie trzeba szczególnie zachęcać. Na rynku ukazała się kolejna jego książka, tym razem przybliżająca wydarzenia sprzed 100 lat – pierwszy rok funkcjonowania odrodzonego po latach niewoli państwa polskiego. Autor nie zagłębia się szczegóły dotyczące politycznych wydarzeń, a koncentruje na kwestiach społecznych oraz gospodarczych. Obala wiele mitów, rozprawia się z uogólnieniami i daje odpowiedź na wiele niewygodnych pytań: czy wszyscy Polacy cieszyli się z odzyskanego państwa, jak wyglądał kraj w pierwszym roku wolności? Pisze o licznych wyzwaniach, jakie stanęły przed młodym państwem – odbudowa po zniszczeniach wojennych, rozwiązywanie trudności w zaopatrzeniu w podstawowe artykuły, a przede wszystkim stworzenie tego, co dla funkcjonowania państwa jest niezbędne: własnej administracji, wojska i waluty. A wszystko to na tle powojennego chaosu, biedy i porozbiorowego dziedzictwa. Nasi przodkowie poradzi sobie z zadaniem „wybuchu niepodległości”, tworząc w ciągu niewielu lat odpowiedzialne za swój kraj społeczeństwo. (ed)

Andrzej Chwalba, *1919. Pierwszy rok wolności*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019

premiera
20 września 2019

Pedro Calderón
de la Barca

reżyseria:
Gintaras Varnas

Życie jest snem



spektakle

21 – 22 września
23 – 27 października
godz. 19.15

rezerwacja

tel. 12 422 66 77
www.bagatela.pl

TEATR
bagatela

Zmarł Bogusław Schaeffer – artysta nieprzewidywalnie współczesny

Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Są ludzie, którzy bezustannie oglądają się za siebie, czerpiąc inspiracje z przeszłości. Są też tacy, którzy żyją tu i teraz, nie zastanawiając się nad czymś. Bogusław Schaeffer należał do trzeciej kategorii artystów, dla których najważniejsze jest słowo „przyszłość” i wszystko to, co w sztuce nowe, co popycha ją do przodu. Dlatego studenci, którzy trafiali na jego zajęcia z kompozycji w Akademii Muzycznej w Krakowie, a także uczestnicy jego kursów w Salzburgu, Yorku i Middelburgu mogli być pewni jednego – razem z mistrzem będą burzyć stary, muzyczny porządek, nadając dźwiękom nieprzewidywalny, awangardowy kształt.

On sam eksperymentował z nowymi formami, gatunkami i rodzajami muzyki, łącząc brzmienia tradycyjne z elektroniką. W *Mszy elektronicznej*, na przykład, potrafił pomieszać najdłuższe dźwięki z chóralistyką z różnych epok. Swoich współpracowników ze Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia zaskoczył absolutnie nowatorską symfonią *Muzyka elektroniczna*, czyli pierwszym utworem, który był partyturą do samodzielnego wykonania wyłącznie przez reżysera dźwięku.

Sam szybko zaczął też interesować się teatrem. Ale nie tym pudełkowym, w którym scenę oddziela od widowni kurtyna, tylko eksperymentalnym. Pomysł zaczął mu chodzić po głowie, gdy związał się z zespołem MW2. Grupa awangardowych muzyków zainspirowała go na początku lat 60. ubiegłego wieku do napisania utworu TIS MW2 dla – jak to określił – teatru instrumentalnego. Problem polegał na tym, że muzycy dostali tu zadania aktorskie, co raczej przerastało ich możliwości. Dopiero pojawienie się Jana Peszka, studenta wydziału aktorskiego krakowskiej PWST, sprawiło, że Schaeffer zaczął poważnie myśleć o pisaniu sztuk awangardowych. Tak powstał *Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego*. Słowo „nieistniejący” oznaczało tu tyle, że Peszek był dopiero na II roku. Ale określenie „możliwy” świadczyło o tym, że całkiem dobrze się zapowiada, a autor tekstu widział w nim zadatki na aktora instrumentalnego.

Niebawem dołączył do nich Mikołaj Grabowski i jego brat Andrzej, a kolejne sztuki stawały się teatralnymi przebojami i sprawiały, że przed kasą Teatru STU, który okazał się matecznikiem tekstów Schaeffera, ustawiały się kolejki. Widzowie chcieli oglądać te mocno sformalizowane spektakle, w których ciało aktora stawało się instrumentem, a reżyser wygrywał na nim nieoczywiste nuty. Na dodatek to wszystko było śmieszne. Schaeffer czerpał bowiem całymi garściami z zabawnych sytuacji, któ-



re zdarzały się na próbach, z charakterystycznego dla środowiska aktorskiego żargonu itd. Nie zamieniało to jednak przedstawień w głupawę komedie. Przeciwnie, inteligentny humor świetnie współgrał z podejmowanymi w nich tak ważnymi tematami jak wolność twórcza i niezależność, które powinny cechować artystę.

Bo sam Schaeffer był w każdym calu twórcą niezależnym. I takim pozostał do końca. Zmarł 1 lipca w Salzburgu, który po Krakowie stał się jego drugim domem. Został pochowany na tamtejszym cmentarzu komunalnym.

(MHSz)

■ Dzikie kozy przed bramą na Kazimierzu

Przy ul. Brzozowej, pod numerem 16, stoi wymarła kamienica. To przed jej zatrzaskniętą, paskudnie wymalowaną bramą usiadły na pożyczonym od sąsiadki kocu trzy aktorki i performerki: Monika Niedźwiecka, Małgorzata Białek i Anna Kaszuba. Każda miała w ręce, wydaną przez Austerię, antologię poetek jidysz, zatytułowaną *Moja dzika koza*. Same wybrały sobie z niej wiersze, by przeczytać je przechodniom. A ci zatrzymywali się, nieraz z siatkami z zakupami w ręku, i przysłuchiwali strofom, które wkomponowały się w dźwięki ulicy. Zanim oddalili się do swoich spraw, smakowali poezję, którą tworzyły kobiety w tak bliskim temu miejscu jidysz.

Ten letni performance wymyślili twórcy z kręgu Re-Publiki Artystów, której matką-założycielką jest Anna Jeziorna, właścicielka galerii 2 Światy. – Re-Publika skupia artystów w większości związanych z Wydziałem Intermediów ASP. Ale nie tylko. Znajomi przyprawdzają znajomych, ci kolejnych znajomych i tak to się rozrasta. Wszyscy razem wprowadzamy sztukę do przestrzeni miejskiej, takiej jak choćby skwer przy ul. Brzozowej. Dlatego na tutajszym podwórku wystawiliśmy już spektakl *Miłość na Brzozowej* Leo Lipskiego, a teraz organizujemy *Wernisaż ze światłem* – opowiada Anna Jeziorna.

Odbywa się on nocą i najlepiej nań wpaść, wracając w bajkowym – jak mawiał Himilzbach – nastroju. Wtedy odważnie wchodzi się do pograżonej w mroku galerii 2 Światy, bierze do ręki latarkę i rozprasza nią ciemność, z której wylaniają się niuanse obrazów, grafik, rysunków. Informacji o najbliższym wernisażu można znaleźć na fanpage’u Re-Publiki Artystów.

■ Girls and boys w Teatrze Nowym Proxima

To był jeden z mocniejszych akcentów tego lata. Tuż przed zakończeniem sezonu, który w Teatrze Nowym Proxima przedłużył się aż do lipca, mogliśmy zobaczyć monodram *Girls and boys* w wykonaniu Katarzyny Krzanowskiej. Aktorki, grającej na co dzień w Starym Teatrze, nie trzeba nikomu przedstawiać, bo w Krakowie znamy ją z wielu wyrazistych ról. Ale tym razem w spektaklu przygotowanym przez Mirka Kaczmarską przeszła samą siebie. I to dosłownie, bo reżyser pozbawił ją wszystkiego – scenografii, charakterystyki, budującego napięcia światła... Za to dał jej tekst brytyjskiego autora Dennisa Kelly’ego, który opowiada historię całkiem zwykłej, współczesnej kobiety. Takiej, której młodość minęła na niefortunnych związkach i która w końcu trafiła na mężczyznę swojego życia, założyła rodzinę, ma dwójkę dzieci i pracę pozwalającą utrzymać się na poziomie klasy średniej.

I na tym banalnym stwierdzeniu należałoby skończyć, bo każde kolejne zdanie odbierze efekt zaskoczenia, który wpisany jest w spektakl. Trzeba zobaczyć go koniecznie przede wszystkim ze względu na Krzanowską. W pewnym momencie aktorka zmie-

nia się w jedną bolesną ciszę, która jeszcze długo dźwięczy w uszach.

■ Dorota Nieznalska w MOCAK-u

W 1940 roku, po zlikwidowaniu Uniwersytetu Jagiellońskiego, Niemcy utworzyli w jego miejsce Institut für Deutsche Ostarbeit (Instytut Niemieckiej Pracy na Wschodzie). Zatrudnieni w nim austriacy antropologowie przeprowadzali badania rasowe Łemków, Górali, Romów i Żydów, chcąc udowodnić genetyczną germańskość przynajmniej niektórych z tych nacji i znaleźć naukowy pretekst do ich zniemczenia. Dotyczyło to szczególnie tak zwanych czystych rasowo dzieci, które później odbierano rodzicom. W tym celu udali się na Podhale, Sądecczyznę, do wsi łemkowskich i do tarnowskiego getta. Na miejscu przeprowadzali wywiady z żyjącymi tam ludźmi i zmuszali ich, by pozowali do zdjęć, jak twierdzili – w ich środowisku naturalnym. W efekcie powstała obszerna dokumentacja, która obecnie jest przechowywana w archiwum UJ.

Jej pseudonaukowa dwuznaczność poruszyła Dorotę Nieznalską i sprowokowała do stworzenia w MOCAK-u wystawy *Przemoc i pamięć*. Artystka w ciemnym pomieszczeniu zbudowała symboliczną formę ikonostasu karpackiego, w który wkomponowała zdjęcia „badanych” ludzi. Dzięki umieszczeniu ich w sakralnej przestrzeni uwzniośliła ich losy, nadając ofiarom stygmat świętości. Robi to tym większe wrażenie, że na przeciwległej ścianie wyświetlany jest film pokazujący Hansa Franka zakładającego Instytut.

(opr. MHSz)

■ Mikołaj w Alchemii

Tym razem to nie zagraniczna gwiazda Summer Jazz Festiwal nadała ton tej imprezie (a wielkich nazwisk było przecież w jej historii multum – w miniony roku choćby Charles Lloyd i Pharoah Sanders). Porrywający koncert dał bowiem gdański saksofonista i klawecista Mikołaj Trzaska. To muzyczny samouk, potem współtwórca nurtu yass (w ramach grupy *Miłość*), a w końcu wybitna postać europejskiej sceny free jazzu i muzyki improwizowanej, miłośnik żydowskiej tradycji muzycznej, kompozytor ścieżek dźwiękowych do spektakli teatralnych i filmów (ostatnio do filmu *Kler*) i twórca przedsięwzięć muzyczno-literackich (m.in. z Marcinem Świetlickim i Andrzejem Stasiukiem). Tym razem przedstawił cykl tyleż szalonych, co kreatywnych improwizacji, w których towarzyszyli mu cieni brytyjscy reprezentanci wolnego grania: Olie Brice (kontrabas) i Mark Sanders (perkusja).

Znamienne było i to, że Riverloam Trio (bo tak nazywał ten skład jego lider) odbył się w piwnicach kazimierzowskiej Alchemii – wszak właśnie dziesiątki klubowych koncertów składają się od lat na specyfikę krakowskiego Summer Jazz Festiwal.

(kb)



Roman Banaszewski
Twarze IV, pastel, 50 x 70 cm, 1995

Po ciężkiej chorobie zmarła Pani Barbara Czuma.

Mietku, Kasiu, Michale – łączymy się z Wami w bólu. Trzymajcie się.
Przyjaciele i koledzy z „Krakowa”

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziejdzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepea, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numer archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.



Zatrzaśnięte drzwi i oko wizjera

To była jedna z akcji ruchu oporu w Warszawie w 1943 r. Podczas niej kula niemieckiego żołnierza niegroźnie zraniła młodego chłopaka, który po ucieczce z wagonu wiozącego go do Treblińki dołączył do AK. Zakrwawiony ukrył się w najbliższej kamienicy. Stukał do drzwi i prosił o wpuszczenie. Obce oczy patrzyły przez wizjery, ale wszyscy udawali, że ich nie ma w domu. – Nie chodziło o to, czy jestem Żydem czy nie. Przeszedłem cztery piętra w górę i w dół, a nikt nie otwierał drzwi – opowiadał Stanisław Aronson.

Jego wspomnienia zainspirowały twórców konkursu o Nagrodę im. Chrisa Schwarza do zaproponowania artystom sztuk wizualnych tematu drzwi i wizjera, mogącego być także jednym z symboli relacji polsko-żydowskich. Napłynęło 61 prac. Pierwsze miejsce przyznano Karolinie Zielażek-Szeskiej. – Jej błyskotliwy projekt czerpie z koncepcji panoptikonu Jeremy’ego Benthama, więzienia, w którym strażnicy widzą więźniów, ale więźniowie nie widzą strażników. Idea ta została wykorzystana jako symbol wyborów etycznych dokonywanych w czasie niemieckiej okupacji

– uzasadniał werdykt jury prof. Antony Polonsky.

Nagrodzoną instalację oraz maletki finałowych prac można oglądać w Muzeum Żydowskim Galicja (organizatora konkursu) od 5 września do 13 października.

(msz)

PS W odpowiedzi na Apel Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa oraz Związku Krakowian w Izraelu powyższy tekst zostanie rozpropagowany na profilu facebookowym i stronie internetowej redakcji „Krakowa”.

W następnym numerze:



Ewa Lipska rozmawia ze Zbigniewem Preisnerem

Janusz A. Majcherek: Kraków, Floryda etc.

Wybory w Krakowie 1919 (Nie)rozłączni – trudne tematy polsko-żydowskie

Apel do kadr zarządzających oraz pracowników instytucji nauki i kultury

w sprawie wydarzeń dotyczących historii i kultury Żydów krakowskich

W imieniu Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa oraz Związku Krakowian w Izraelu kierujemy do Państwa słowa wielkiej wdzięczności za wszelkie inicjatywy służące upamiętnieniu historii i kultury Żydów krakowskich. Mając na względzie to, że są to wydarzenia budzące często duże zainteresowanie wśród Żydów krakowskich i ich potomków, którzy żyją obecnie w Izraelu i innych państwach świata, zwracamy się z gorącą prośbą, by zawsze, kiedy jest to możliwe, były one zapowiadane i udostępniane w internecie.

Część Żydów krakowskich rozszkana dziś po świecie nie może bezpośrednio uczestniczyć w ważnych dla nich wydarzeniach naukowych i kulturalnych, które organizowane są w Polsce. Mamy świadomość tego, że bezpośrednio transmisje internetowe wymagają nakładów pracy i środków. Dlatego ograniczamy naszą prośbę do tego, by zechcieli Państwo rozważyć publikację nagrań (z koncertów, wernisaży, konferencji, odczytów itd.), które można zamieścić na bezpłatnych kanałach emisji (np. YouTube). Z naszej strony dekla-

rujemy pomoc w upowszechnieniu tych wydarzeń wśród wszystkich osób, z którymi na co dzień współpracujemy. Już teraz dziękujemy Państwu serdecznie za każdy tego rodzaju gest solidarności

W imieniu Zarządów Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa oraz Związku Krakowian w Izraelu prof. dr hab. Jacek Purchla Lili Haber

Kraków – Tel Awiw, 2019 r.

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy

Obserwowała Magda Huzarska-Szumiec

Doprawili Mitorajowi gębę

– Widziała pani już to „coś” koło Mitoraja?

– Nie, a co to?

– Takie coś jakby maska, no, koło Mitoraja pod Ratuszem. Nawet z A-B to widać. Lećże, kochanieńka, zobacz, póki jeszcze leży!

I my, zasłyszawszy ów dialog, poleciliśmy. Rzeczywiście, obok rzeźby *Eros bendato* (Eros spętany) Igora Mitoraja pojawiła się niemal tej samej wielkości maska, na podobnym granitowym cokole i w identycznym położeniu. W taki oto sposób pewna platforma, specjalizująca się w produkcji topowych seriali, chciała zareklamować jeden z nich. A jak to w Krakowie bywa, bach!, i mamy kontrowersję. Po pierwsze, czy to sztuka czy marketing? Jeśli marketing, to pomysłodawca musi sygnąć większą kasą. Po drugie, czy godzi się, aby zacnemu Erosowi doprawiać aż tak szpetną gębę? I po trzecie, wraca odwieczny dylemat: co wolno na Rynku, a czego nie? Jakkolwiek jednak patrzeć, z maską-reklamą przypominającą twarz Salvadora Dalego, chętnie fotografowali się turyści, ignorując niestety dzieło sztuki leżące obok.

Pompowanie balona nad Krakowem

Przeciwników było pewnie tyle samo, ilu zwolenników. Ci pierwsi utyskiwali, że widokowy balon, który wzbijał się nad Kraków, psuł widok Krakowa właśnie, zasłaniając Skałkę. Drudzy podkreślali turystyczną atrakcyjność pomysłu i magię, zwłaszcza po zmierzchu, kiedy to ów balon stanowił konkurencję dla księżycy. Na sześć lat balon z bulwarów wiślanych zniknął, czego mogła pożałować niejedna para, chcąc wyznać sobie miłość lub zaręczyć się w krakowskich przestworzach. Bo i tak się zdarzało. Dla wszystkich zakochanych i nie tylko dla nich mamy dobrą wiadomość – balon powrócił i stanął na bulwarze Wołyńskim. Napędzany helem znów będzie się wzbijał ku niebu, by roztaczać przed śmiałkami, którzy do niego wsiądą, cudowną panoramę miasta. I choć zapewne znów pojawią się głosy sprzeciwu, to może malkontentów uspokoi to, że balon będzie tym razem pełnił również funkcje użytkowe. Przez 220 dni w roku posłuży do pomiaru zanieczyszczenia powietrza, a stosowne informacje pokazywać będzie jego... kolor. Skorzystają na tym także chcący przeprowadzić badania naukowcy, którzy będą mogli wznieść się na wysokość 300 metrów. Może zatem ten balon warto pompować.

Ile waży Pan Tadeusz?

Pamiętacie z czasów słusznie minionych akcję „Lektury z makulatury”? Idea była prosta: wystarczyło przynieść do skupu surowców wtórnych odpowiednią ilość zbędnego papieru, a w zamian otrzymywało się na przykład *Dzieła wybrane* Mickiewicza. Upłynęło wiele wody w Wiśle, a pod Wawelem znów na szalach kładzie się książki. Tym razem za sprawą księgarni Dedalus – pomysłodawcy Wakacyjnego Kiermaszu Książki Ważonej, powstałego przy ulicy Nadwiślańskiej. Wystarczy odwiedzić kiermasz, wybrać z półki interesującą nas pozycję, włożyć do koszyka i zważyć przy kasie. Cena za kilogram nie jest wysoka – 9,99 zł. A jeśli dodać, że są to książki naprawdę wartościowe, między innymi albumy, pisma filozoficzne i religioznawcze, a także bajki dla dzieci, kryminały i tytuły literatury pięknej, to śmiało można stwierdzić, że księgarnia Dedalus wyszła frontem do klienta. Ponoć w cenie kilograma można było kupić od 3 do 5 książek. Szkoda tylko, że był to tylko kiermasz wakacyjny. Warto więc rozważyć, czy nie powinien trwać cały rok.

Znikające ostrygi

Kto pewnej letniej niedzieli krążył wokół Starego Kleparza, nie mógł nie poczuć unoszącego się wokół przepyszny aromatu owoców morza, przyrządzanych na rozmaite sposoby. A kto na ten plac wszedł, z pewnością uradował oko różnobarwnym widokiem krewetek, langust, kalmarów, ośmiornic, a także kolorowych potraw hinduskich. Bo to właśnie takie smaki dominowały podczas letniej edycji Art & Food Bazar – kulinarnej fiesty, która jest tyleż sposobem na posilenie się, ile szansą na bezpretensjonalne spotkanie w gronie znajomych. A że stoiska mieli na Kleparzu także winiarze, tym przyjemniej można było spędzić tam czas. Ostrygi rozchodziły się jak ciepłe bułeczki, grille i inne podgrzewacze pracowały jak szalone, a tłum uśmiechających się do siebie ludzi dosłownie oblizywał palce. Było trochę tak, jak w tawernach nad Morzem Śródziemnym. Wszyscy byli dla siebie mili. Każdy po sobie pięknie sprzątał. Nikt do nikogo nie miał pretensji, gdy przyszło mu nieco dłużej poczekać na swoją porcję frutti di mare. I nie był to sen...



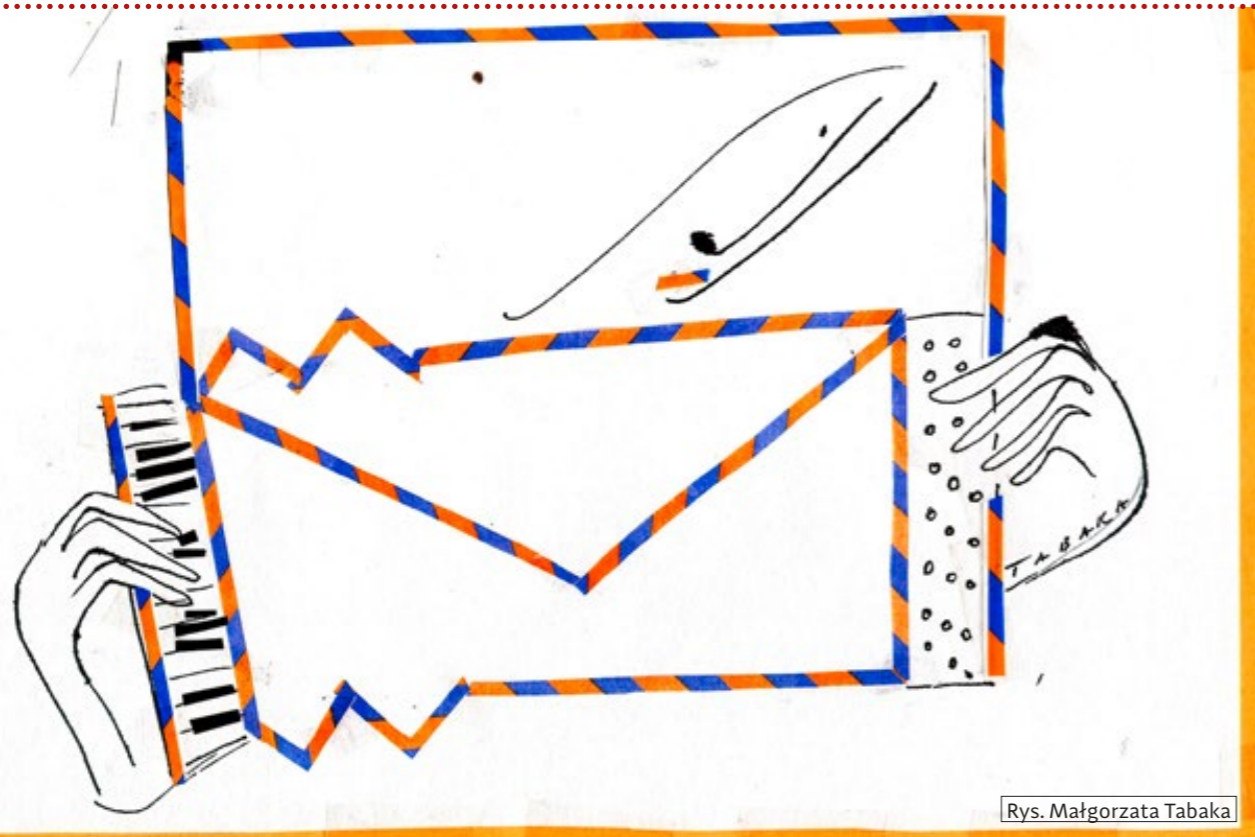
Rys. Piotr Biachut

Samolot na słońce

Wśród wielu wydarzeń związanych z półwieczem lądowania pierwszego człowieka na Księżycu – takich jak choćby wystawa 30 zdjęć NASA w krakowskim Muzeum Lotnictwa Polskiego, zorganizowana przez Konsulat Generalny USA – mogła umknąć informacja o wydarzeniu, które w owym Muzeum na pewno znajdzie kiedyś

poczesne miejsce. Otóż studenci AGH z zespołu Solar Plane skonstruowali bezzałogowy samolot wykorzystujący do poruszania się energię słoneczną. Skrzydlate maleństwo waży ledwie 5 kilo i może fruwać z prędkością do 50 km/godz. Choć pierwsze próby startu opóźniły się nieco przez problemy z pogodą, studenci planują przelot

nad całą Polską. Ciekawe, czego się życzy solarnym lotnikom: długiego promyka słońca? bezchmurnego nieba? korytarza bez zasłaniających światło ptaków? Tego wszystkiego, rzecz jasna, młodym konstruktorom życzymy. Z nadzieją, że takie samoloty na słońce będą kiedyś miały pożyteczne zastosowanie.



Rys. Małgorzata Tabaka



Roman Banaszewski
Twarze, ołówki, 60 x 70 cm, 1995

Klub przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Andrzej X., Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa

Marek Borkowski, Kraków
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Krzysztof Kołtun, Chełm
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
Jacek Purchla, Kraków
Gwidon Dziwoki, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja

Lidia Hanusiak, Kraków
Andrzej Gaworski, Warszawa
Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków;
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwa miesiące 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Polska Holofernesem narodów

Tekst: Jerzy Pilch

Można powiedzieć, że zmieniło się wszystko. Można powiedzieć, że nie zmieniło się nic. Sezon 2019/2020 rozpoczął. Gramy! Janusz Gol nadal w Cracovii. Busola braku zmian. Z większych kataklizmów odnotowuję dla porządku, że K. jest przerażona brakiem Bartosza Rymaniaka w Koronie Kielce. Zmieniła się też nazwa naszych rozgrywek z Lotto Ekstraklasa na PKO Ekstraklasa. Czy to dużo?

Zgodnie z tradycją dość szybko większość polskich drużyn pożegnała się z pucharami. Wychodzi na to, że przez cały sezon graliśmy o to, kto z nas zagra dwa razy w wielkiej lidze i pojedzie do domu. Póki nie gramy, wydaje nam się, że jesteśmy mistrzami świata, póki nie gramy zdaje nam się, że osiągnęliśmy wirtuozerię, jesteśmy królami, despotami piłki nożnej. Wszystkim. Polska Holofernesem narodów. Już wyciągamy wygłodniałe rączki po te puchary, już gramy na europejskim poziomie, już wydaje się nam, że szybujemy, że nasze możliwości w sensie ścisłym przestają nasze możliwości – kiedy Judyta chwytła za nóż. Jej blada twarz z obrazu Caravaggia wyraża zdegustowanie rzeźnika, który poplamiał sobie świeżo wyprany fartuch, różnie zdecydowanym ruchem i... odpadamy – jak zwykle, jak co roku.

Mój znajomy P. obejrzał wszystkie mecze Ligi Europy – ja nie, zbyt daleko jestem już od takich ekscesów. Pełen przejęcia streszczał każdy mecz, opowiadał – chociaż P. z dziada pradziada jest warszawiakiem – o pięknej grze Piasta i Lechii. Rezultat jest taki, że na wozie pozostaje jedynie Legia, co jest w istocie rzeczy logiczne.

À propos albo nie à propos, z tej samej albo nie z tej samej beczki – najwyższa pora, by do Cracovii powrócił Bartosz Kapustka. Niepodobna nie porównać odejścia Kapustki z odejściem Piątka. Kapustka ruszył na Europę jako genialne dziecko Euro 2016, grał ramię w ramię z Robertem Lewandowskim, na którego wtedy jeszcze zdaniem niektórych frajerów czekał Real Madryt.

Grę na Zachodzie zaczął od Leicester City i na tym mniej więcej ten wzlot się skończył – nie żeby ławki rezerwowych, liczne kontuzje i wypożyczenia były mi obce, ale jednak

– kiedy nadzieja polskiej piłki siada na ławce rezerwowych, odnosi liczne kontuzje i zostaje wypożyczona kolejny raz, nie sposób nie pomyśleć – pech, czarna seria.

Z Krzysztofem Piątkiem było dokładnie odwrotnie – ruszył na Europę jako nikomu nieznanemu, jak to do znużenia pisała zachodnia prasa „samotny rewolwerowiec” i odniósł jak wszystkim wiadomo zdumiewający sukces.

Zmieniła się nazwa naszych rozgrywek: z Lotto Ekstraklasa na PKO Ekstraklasa. Czy to dużo?

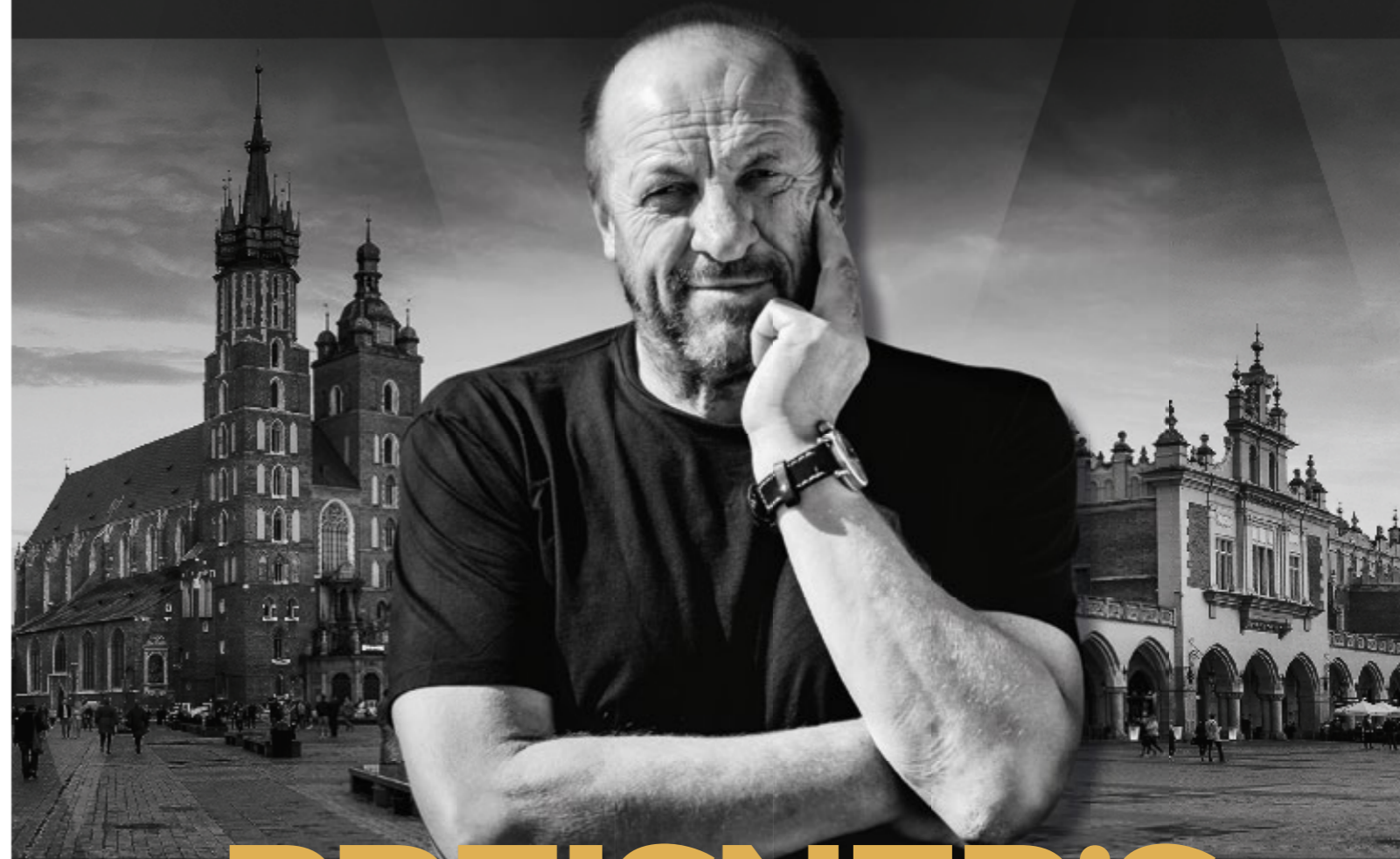
ces. Kapustka, żeby osiągnąć zbliżony do Piątkowego sukces, musiałyby teraz nie wiadomo co zrobić. Piątek, by odnieść sukces znacznie szybciej od Kapustki, nie musi robić nic.

Na tym zresztą, jak mi się zdaje, polega fenomen Piątka: on nie musi, ale mu się chce. Kapustka kiedyś sprawiał podobne wrażenie, czy tak jest nadal? Rzecz naprawdę trudna do udowodnienia



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

Koncert z okazji **40-LECIA** pracy artystycznej Zbigniewa Preisnera

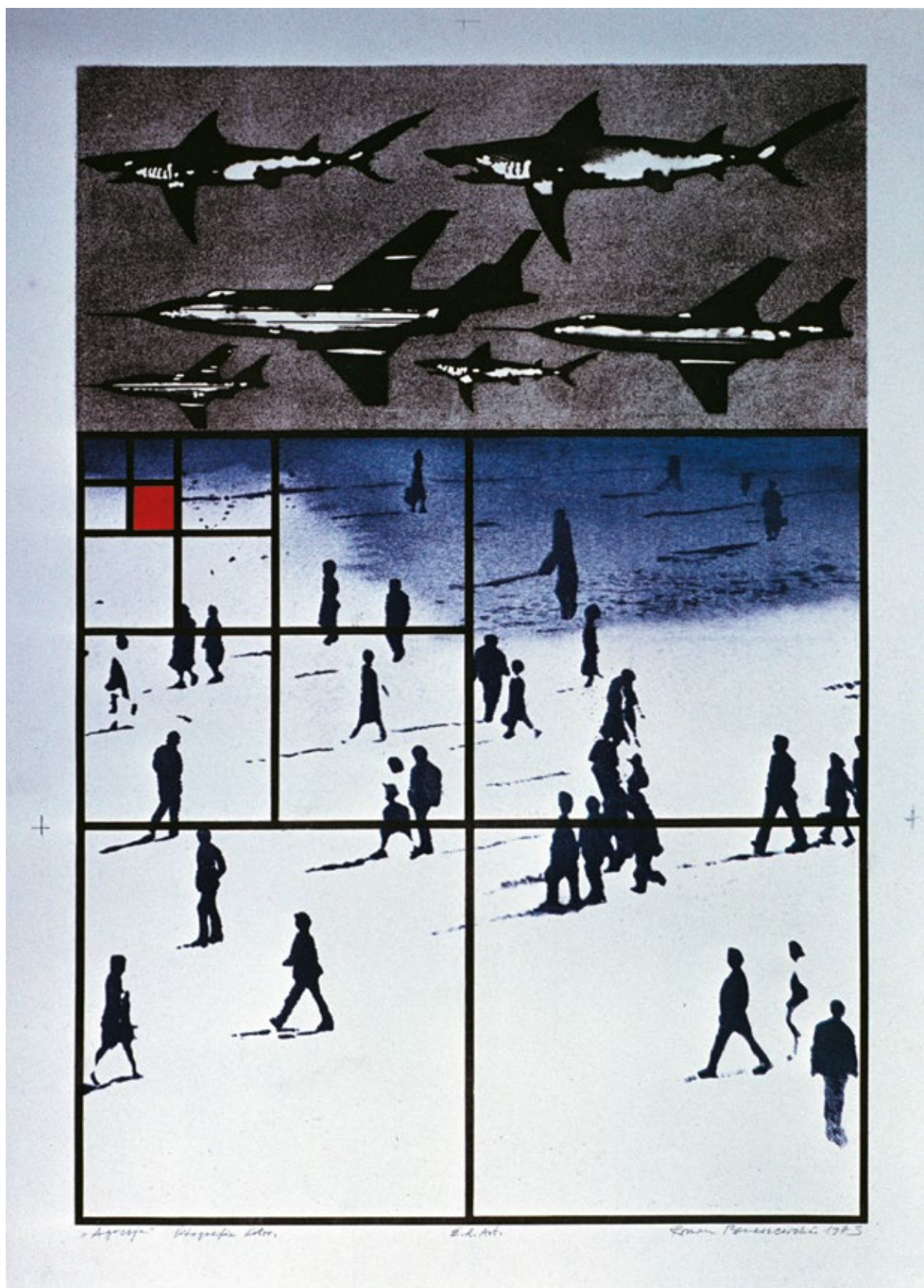


PREISNER'S MUSIC

Lisa Gerrard • Teresa Salgueiro • Edyta Krzemień
Sinfonia Varsovia • Cracow Singers
Wrocławski Teatr Pantomimy
Goście specjalni: Jerzy Trela • Anja Rubik

5 PAŹDZIERNIKA 2019 • TAURON ARENA KRAKÓW

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Roman Banaszewski
Agresja, litografia, 50 x 70 cm, 1968 – więcej informacji o artyście wewnątrz numeru